



995

891.85-3

TADEUSZ MALICKI

# LUDZIE Z GÓR

OPOWIADANIA



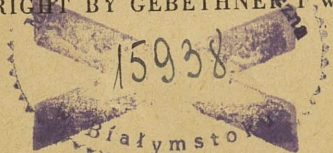
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA 1939



5  
OKŁADKA JADWIGI HŁADKI



Copyright by Gebethner i Wolff



884-311-2

74

Nr. 173/38

Zakł. Druk. F. Wsżyński i S-ka, Warszawa

ZŁY ROK

X.  
R. 249  
19.5.47.



Księżyc położył się jasną smugą na podłodze, zaważił o łóżko i drżącą poświatą obudził Wojtkę. Otworzył oczy ze snu. Rama okienna rozpięta była jak czarny krzyż w jasności miesiąca. Gałąź jesionu dotykała z pola szyby, niby tajemnicza ręka, pukająca w okno. Zielone niebo, oparte o ścianę Giewontu, mrużyło gwiazdami. Za oknem stała tajemnicza cichość nocy, szklanna od chłodu przedwiośnia i rześka.

Tym dotkliwszy był zaduch izby pełnej oddechów, ciężkiej woni kwaśnicy i jadła, izby nieprzewietrzanej i zatęchłej.

Tęsknota za wolnym oddechem otwartych przestrzeni, wypełniającym piersi tylko na wysokiej grani, na strzeleckiej ślebodzie, wyrwała z piersi Wojtkowej długie i ciężkie westchnienie. Usłyszała je czujna Hanka, Wojtkowa baba.

— Coz ci to takie? choryś?

— Ni!

— Bez co nie śpis? Miołeś jakie złe śnisko — nalegała głośno ziewając.

— Ni!

— No to coz ci chybia?

— Telo pikna noc, Hanuś!

— Zwyczajnie, miesionc świci.

— Haj, musioł sie niedźwiedź dzisiok obudzić w gawrze. — Hanka usiadła na łóżku. Poprawiła



czarne włosy, które opadły jej na czoło, w księżycowej jaśni oczy rzucały złe błyski.

— Bez to nie śpis? To cie boli? Juz byś fciół do lasa, co? Łeb u tobie bez mała siwy a figle ci w głowie po nocy. Gazda z tobie nienajpłońsy, chłopie, dycieś przecie wójte beł.

— No, kiez sie majom figle głowy trzymać, jako nie po nocy — przerwał zgodliwie.

— Głupiś! — syknęła Hanka.

— Głupik na wójta nie bierom.

Umilkła pobita własną bronią. Wlazła mamrocząc z powrotem pod pierzynę, którą ze złości mocno pięścią wyrównała.

— Telo ci powiem — warknęła, aby swoje ostatnie powiedzieć — ze nie pódzies juz nika. Dość! Nie bees więcy bycków za kapśłówki mijoł, wis!

Wojtkiem trzęsło od cichego śmiechu. Istotnie, hodowała Hanka czerwonego byczka, poila go mlekiem, wbijała w nie nawet jajko, aby sierść była na nim gładka i błyszcząca, sama koło niego posługiwała, nie dała go służce tknąć. Pieściła, czochrała poza uszy, przemawiała słodko do niego i przymilnie jak do dziecka. Gorzko płakała w dzień, w którym zadecydowała, by Wojtek zabrał go do miasta na sprzedaż. Płacząc dawała rady, jak się z nim ma obchodzić, jak targować z mieszczanami, co za uzyskane pieniądze kupić i przynieść z miasta. Długo jeszcze widać ją było pozierającą zza opłotków ku drodze. Cały dzień nosiło ją po izbie, obrywało się dzieciom z niecierpliwej ręki. A to zdawało się jej, że na daremno bydlę zgo-

ni, bo go nie kupią, a to że chłop jak chłop, nie poradny do targu, za byle co puści, że wreszcie po drodze ograbią go zbójnicy, od których ostatnimi czasy wiele było niepokoju. Wylatywała raz wraz na próg pozierając w dół Skibówek i wracała do roboty, przy której trzęsły się jej ręce. Późnym dopiero wieczorem usłyszała na drodze głosy, wrócili chłopci z jarmarku i uradzali jeszcze na drodze, ponieważ niektórzy musiał być i przynapity, bo śmieli się głośno i śpiewali. Wojtek wszedł do izby, zdjął z pleców płachtę i położył na stole. Dzieciska, jak to dzieci, obległy go dookoła. Były gościńce, pszenna żydowska bułka, czerwone cukierki, dla najstarszego Józka drobniauskie skrzele do kapelusza, dla Hanki chustka, złocista, jedwabna.

Przyjęła ją, od żalości za bydlęciem, chmurnie.

— Sprzedałeś?

— Yhy!

— Za kiela?

— Jesce wysy jakoś fciała mieć.

Uśmiechnęła się przelotnie.

— Nie było pikniejszego bycka nad nasego.

— Nad mojego — poprawiła starannie.

— No niekze ci bedzie. Sytka go obstopili. Gwary beło dość. Kie potem wzieni mieszcany kupycé...

— No, a ka sól, gorki, płótno, dudki — pytała rzeczowo.

— Bedom, bedom, nie turbuj sie o to — zbywał ją półgębkiem unikając jej oczu.

— Co sie tak swijos, chłopie — rzekła groźnie



— ka mos dudki? Dycieś nie przynapiny. Godojze! Kieloś ik dostał?

— No, dość — jakaś się niepewnie.

Przyskoczyła do niego i sięgnęła gorączkowo do opaska, pieniędzy w kieszonce nie było.

— Cy cie obrali z dudków — krzychała aż blada.

— Ni! Ftozby mie miol obroć, dyciek nie pill!

— Krotni milijońscy, chłopie, dyć mów, co jako — krzychała prawie z płaczem.

Musiał wreszcie wyłożyć, co i jak.

— Wis, Hanuś — mówił — stretli my sie z bacom kulkusowskim, co na Pysnej pasa, na jarmaku i ten mi naraił, cobyk sie ku ksiendzu w Kulkusowom obrócił. Myślem se, e dy to nie prec, pódem.

— Zje pocoz to — zapytała zaskoczona. — Co tobie do kulkusowskiego ksiendza?

— No słuchajze, co dali. Idem, idem, a wse se myślem, co tyz ty na to powis.

Hance aż stawy zbiełały u palców, tak ścisłała w ostatecznej pasji pięści. — Teloś sie o mnie staro! co? — pytała dysząc od złości.

— No dyć, Przecieś moja baba, ni? Jo juz dawno miol wiedzieć od tego bacy, co jegomość majom na zbyciu.

— Coz takie — chwyciła się Hanka ostatniej nadziei.

— No, wis, takom flinte, kapsłówkę, nima takij z nasyk chłopów zoden. Jagek tego bycka sprzedol, obróciłek sie wroz ku temu ksiendzu, nie piłek nie — wykręcał.

— Kwardy jegomość, nie popuścił nic ze swojego, no i tak mi sie te dudki mineny — dodał z determinacją.

— Kaz ta flinta — spytała głucho Hanka.

— Coz tobie babo po flincie — zapytał ocierając pot z czoła.

— Ka flinta — spytała jeszcze raz twardo i groźnie.

— Casuje ka trza!

— Zebyś wiedziol, ze jutro do dnia idem w Kulkusowom ku ksiendzu, coby mi dudki wrócił! Niek z głupim nie kupcy!

— Nie pódzies nika — rozsierdził się już i Wojtek — dudki som jest moje.

Rozpętało się piekło.

Nie prędko zapomniała mu Hanka tę krzywdę. Żał mu jej było, że się gryzie ale przecie, co tu gadać, cieszył się swoim nabytkiem jak chłopiec. Schował kapsłówkę w siano na szopie w sobie wiadomym miejscu i, kiedy Hanki nie było na obejściu, bawił się nią i pieścił.

Drutówka to była przedniej klasy, pojedynka, na kapsle, przykładna jak zabawka. W porównaniu z dawną skalkową flinciną — istny cud.

— Ta bee rzezać — dumał pieszcząc śliczną orzechową kolbę.

Nie zawiodła. Pamiętał, jak wylecieli z nią pierwszy raz z Jaśkiem Tyrałą w Uplaz jesienią w michalskim miesiącu. Zobaczyli kerdel kóz, ale nie dało się im podejść ku nim na strzelanie. Podeszły kozy do wierchu i tam się rozdzieliły, jedne ku Ciem-



niakowi, inne ku turniom nad Kościeliską. Za tymi poszli. Wypatrzyli w samo południe w Organach capa, jak leżał na półeczce. Podeszli go od wierchu, wychylił się Tyrała z grani i zaraz się cofnął.

— Leży — szepnął.

Wychylił się i Wojtek. Cap leżał tuż pod nim na strzelanie, ale strzał był trudny prosto w dół.

— Strziloj ty — szeptał Tyrała — zobacymy kielo ta flinta worce.

Bezszelestnie wychylił się Wojtek i przyłożył broń do policzka.

— Ino sie mu dobrze przyprociw, Wojteku — szeptał gorączkowo Tyrała.

Buchnął strzał, lotki rozwiązały capowi łopatki. Spadł z półki na piargi jak wór.

— Ej, rzeze — cieszył się Tyrała.

Pod wieczór zabili w Oknach jeszcze dwie sztuki. Pokazało się, iż flinta warta była byczka.

Sen odszedł od Wojtka. Miesionc świci — dumał — Kielo jo to takik nocy z dobrymi chłopcami pod limbom przespoł, cy to na ptoka, cy na kozy, cy na niedźwiedzia.

Przewinięły mu się przed oczyma dni pełne trudu podchodów, noce rosiste, wonne od dymu watry, ślebobdne, najpiękniejsze. Powstawały w oczach, jak żywe, twarze towarzyszy, albo momenty rozprawy ze zwierzem, nigdy nie zapomniane. Pogwarki o sprawach sercu najmilszych — o polowaczce, o wyczynach śmiałych, chłopskich.

Powstawały w pamięci ranki złociste późnej je-

sieni, kiedy szary szron chrzęści pod stopami. Z daleka, z Koprowej niesie się pozew jelenia-byka, kerdel kóz pomyka ku Kopom, na uboczy na jafarach nad Kudłatą Grońką pasie się niedźwiedź. Chłodny dech ogromnego świata pobudza do życia krew.

Jak dobrze żyć!

Za ścianą zapiał kogut, zazberczały łańcuchami krowy w oborze. Dokuczał, żlił, gniótł piersi ciężki zaduch izby. Wstał ociężale i podszedł do okna bosso, jak leżał. Wysokie czyste niebo zajaśniało jak oczy dziecka. Księżyc przeszedłszy za ledwo jego połowę tkwił jak srebrny talar w zenicie. Góry zabarwiła lekka różowa poświata, tylko regle i złomiska Łysanek tonały w głębokim jeszcze cieniu. Siwy szron leżał na polance popod regle. W chłodzie i czystości wstawał dzień.

Obrócił się do izby. Hanka spała, w całej jej postaci tkwiła jeszcze niechęć nocnej rozmowy. Na ławach pod ścianami spały dzieci. Różowa stopka córeczki Helci zwiślała w bezwładzie snu z ławy, ciepły pot snu zlepiał jej jasne włoski. Józek jak zwykle spał na brzuchu sapiąc z lekka przez nos. Wojtek podszedł na palcach do draga przy kominie i zdjął portki. Ubrał się starannie, onyckami owinał stopy, mocno związał rzemienie kierpcy. Bezszelestnie wślizgnął się do komory i włożył do torby mąkę owsianą, bryndzę, kawał słoniny, kilka moskali. Zdjął z gwoździa rożek z prochem i woreczek z kulami i lotkami, pudełko z kapsłami i nóż. Krzesiwo i hubkę wetknął do opaska i wymknął się z ko-



mory. Złapał serdak, cuchę i kłobuk, i otworzył dzwierzę. Zaskrzypiały. Wojtek, jakby zlany ukropem, obejrzał się za siebie. Oczy Hanki były wbite w niego jak dwa gwoździe.

— Ka? — spytała krótko.

— E dy jo se ino tak wyskocem na kwile.

— Kany?

Wojtek był już za progiem. Wbił kłobuk na głowę, kopnął psa, co mu się przymilnie podwinał pod nogi, i nim Hanka wyskoczyła z łóżka, śmigał jak zając poza oborę, przez potok ku regłom. Nie uważał na krzyk, który biegł za nim, pomstujący i zły. Za chwilę ogarnął go las.

Mignęła się Hance na chwilę biała cucha wśród smreków. Oparła się bezradnie o węgieł.

— Uciók, obieś! Uciók — mruzczała. — No niegzedy i tak, nimo co w chołpie konać — myślała ciepłej.

Zimny szron szczypał ją w bosc nogi. Z zimnem podniosła się w niej jednak złość, że poszedł wbrew jej woli, ukradkiem jak złodziej.

— Ckoj, bestyjo — groziła mu w duszy — ty sie ta wrócis. Weszła do izby spieklona i zła. Zerwała dzieci z łóżek, chociaż dzień wstawał dopiero, złażała służkę. Kwas i płacz rozdrażnił ją jeszcze bardziej. Rzuciła się z furią w robotę z zaciśniętymi ustami.

Wojtek zwolnił dopiero przy Krzeptówkach.

— Chłopy, jakie som — rozważał — musiały pójść w Rycarowe abo w Wiktorówki na ptoka. Nimo ik co sukać.

Nie mniej poźierał pilnie ku Stopkowej chałupie. Kręciła się tam matka Stopkowa, którą od starości opuścił sen. Bez zdziwienia patrzyła na Wojtkę, kiedy stanął nagle przed nią z torbą i flintą w garści.

— Jasiek duma? — krzyknął babinie prosto w ucho.

Olesiaczka była i przygłucha. Pokiwała głową sepleniacz.

— Ni nima... pošli pozawcora z Mocarnym kasi w hole.

Wojtek obrócił na pięcie. Stara zbierała dalej drzącymi rękoma sajty koło pniaka mruząc:

— Nosi ik... nosi zbójeckie nasienie. Nie usiedzi ani kwili. Podniosła się z trudem patrząc prosto w słońce.

E, dy mój beł taki som. Takusieńki.

— W Małomłake, w Pustom, w Pysnom nimom poco iść — bedom hań Dziadusie obidwa. Pódem w Jazombcom, w Chochołowskom, cheba ze bedzie tam Kuśtyjon. Jo go ta hnet wysłakujem, cy jest je. Kieby beł, to sie zespolimy abo sie obrócem w Dumcyne, w Łatanom: w Orawice, dy to nie prec.

Szedł szparko. Niewiele podniosło się słońce, kiedy mijał potok na Kirach. Popod las na Siwej leżał jeszcze w cieniach twardy brudny śnieg, na polanie w słońcu mieniły się ametystowe krokusy wielkimi łanami. Pyszniła się nimi polana, rwała oczy, że uśmiechał się do niej radośnie i beztrasko jak chłopiec. Ciemne szalasy spały w pogodzie ciche. Dymiała się z dachów, niknąca w słońcu, rosa. Na



Hucisku porzucone hamernie i huty ziały opuszczeniem i ruiną. Jedynie młot wodny stukał bez ustanku i potrzeby. Po kobylicach, na których tkwił, spływała po ciemnych mchach woda z upustu srebrzyście i tęczowo. W wąskim gardle pod Starą Robotą lawina zawałiła perć. Nigdzie nie wyszlakował na śniegu śladu człowieka. Na Chochołowskiej hali ciepła cisza tarzała się w słońcu i krokusach. Wojtek ułożył się w wyżnim Kojsovym szałasie, gdzie idzie perć na Bobrowiecką. Małeńki szałas, którego znaczną przestrzeń zajmowało palenisko, czarny był od sadzy i chłodny od zasypany śniegu, który nawiały wichry przez nawpół otwarte drzwi. Jedyny ślad ludzi to stary barłóg z cetyny i jadwiga nad watrą — beczynna — nie dźwigająca kotlika. Pojęczyny chwiały się w przeciągu i sadze opadały płatami. Po ludziach pozostała jeszcze ostra woń dymu, którą przesiąknięte były belki. Wojtek zakrzętał się koło noclegu. Kawałkiem draniczy, przyciosanym ciupagą na kształt łopaty, wyniósł śnieg z szałas, narąbał z sucharzy drzewa, naniósł cetyny. Z nabożnym uczuciem rozniecił przy zawatarniku ogień. Pierwsze iskry uderzyły w dach, niezadługo zaszepotała w kotliku woda. Wojtek uwarzył bryjki i zjadłszy do syta usiadł na progu podając się pieszczocie słońca. Od stóp biegła w dół polana. Nad potokiem, wzdłuż drożyny garbiły się szałas. Pod ścianami od cienia leżały jak srebrna koronka długie języki śniegu. Na martwych trawach płoneły kielichy krokusów. Błękitniały wśród nich małe oczka młaczek wiosennych odbijając

w sobie niebo i obłoki. Kominy Tylkowe, inkrustowane żyłkami śniegu w żlebach, wykwitwały z lasu bladym przed zachodem różem. Ciemne bory Kulowca i Ropy nurzały stopy w rozgwarzonym potoku, niosącym szumne wiosenne wody, zrodzone ze słońca i śniegu. Od zachodu, zatopione w błękitnym śniegu, dźwigały się od Wyżniej wysoko zbocza Wołowca. Tonęło właśnie za nim młode wiosenne słońce. Z grani biła prosto ku niebu złocista kurzawa oparu jak dym z ogniska. W milczeniu zasłuchiwał się Wojtek w szept świata. Serce człowiecze, uciszone jego wielkością, biło wiosennie, mocno. Gdzieś z barków spadły lata i troski, popłynęły z wodą, straciły się w lasach. Równy, nasycony wonią oddech podnosił spokojnie klatkę piersiową. Wszystkie zmysły nasycaly się rozkoszą życia, łakomie, wygłodzone aż do smutku dniami bez nadziei długiej zimy, w czasie której w człowieku wszelkie odczuwanie zapada w bezwład, od zlej nudy i trosk. Wyzwolona z „marasu“ pustego życia, łowiecka ochota ścisnęła wzruszeniem krtani, aż do łez. Czujne oczy, niezależnie od uczuć, przebiegały granie, żleby i upłazy, na których, przez nieokreślony czas miała wyszumieć się i wyżyć więziona miesiącami pasja.

Pamięć dnia wczorajszego została w chałupie, zatrzaśnięta drzwiami.

Z nadchodzącym zmrokiem głośniejsz odezwały się wody. Od Wołowca, wraz z jego cieniem, spłynął chłód przejmujący i dotkliwy. Coraz wyraźniej i jaskrawiej błyszczał płomień w szałasie. Polana





w mroku zszarżała, szerniały lasy, pozieleniało niebo. Wojtek cofnął się w głąb szalasu i siadł przy ognisku. W otworze drzwi przystanął na chwilę księżyc, wiekuisty wędrowiec.

Ocknął się na długo przed świtem, zakrzętnął około jądła i broni, i bezszelestnie wyszedł w mroźną srebrną noc posuwając się w górę ku Wyźniej Chochołowskiej, wyprzedzany własnym cieniem. Czarne smreki stały martwo w księżycowej poświacie, zasłuchane w szum potoku. Przez gałęzie siało się seledynowe światło pod stopy wędrowca, to znów gdy drożyna zapadała w głębokie koryciska, wciągały go w ciemne tunele jak w kraj nieziemski, uzbrojony pazurami wystających korzeni. Wyrastały z tej ciemni naddrzewnie wielkie, zasłuchane. Roily się w ich wierchowcach gwiazdy, ponad które najprzedsniejszym blaskiem błyszczęła zornica — gwiazda zaranna. Obejrzał się za siebie. Daleko nad Mnichami niebo przybladło, cichą stopą nadchodził stamtąd dzień. Nie wiadomo kiedy dotknął drzew. Lekko zachwiały się gałęzie, ciche westchnienie przeszło lasem, jakby budził się ze snu. Księżycowa srebrność rozsiała się po ziemi, stopniała i zgasła. Niebo wydźwignęło się wysoko ponad wierchowce, uwypukliło się chłonąc w siebie blask idącego dnia. Niewidzialny strażnik nocy gasił gwiazdy jedną po drugiej, pozostawiając jedynie drżący brylant zornicy — klejnot, którego nie chciał tracić nawet idący dzień.

Na Wyźniej Wojtek przystanął. Od Rakonia szło po szerokich zboczach słodkie tulanie cietrzewia. Oparty o szalas, zasłuchał się w pieśń. Obudziła w nim myśliwego. Popod węgły szalas u biegł wyraźny, wczorajszy trop niedźwiedzia. Pochylił się nad nim. Niezwykła jego wielkość rozgorzała w Wojtku krew. Niedźwiedź obchodził szalasy, przystawał przy opuszczonym, wystygłym kosarsze, wbijał kufę w śnieg, jakby chciał nasycić nozdrza dawno omdlałą wonią owiec. Trop prowadził w las ku Jarzabczej. Uważnie posuwał się Wojtek za nim. Śpiewało mu i grało w duszy najwyższe napięcie.

ON! Beł haw niedali jako wcora.

Pomykał za tropem od drzewa do drzewa. W szerokim kotle zbocze Długiego Uplazu wylizane było wiatrami i słońcem. Żółciło się zwiędłymi trawami, czerniło falami kosodrzewiny, pod którą bieleł śnieg. Nisko nad potokiem widno było maleńki szalasik na głęboko wciętej w las polanie, u samej stopy źlebu. Na jego drugim boku popod kosówki zobaczył Wojtek niedźwiedzia, czymś pilnie zajętego. Wiatr zawiewał z doliny ku góróm. Pomykał z głośno bijącym sercem krajem lasu, aż dotarł do kosówek. Wolno przepelznął otwartym miejscem i schroniwszy się w ich zbawczy cień — chwilę odsapnął. Starannie opatrzył broń i jał znowu pełzać ku źlebowi. Był już teraz ponad niedźwiedziem. Bezszelestnie zsunął się na dno źlebu, wdrapał się po jego dość stromym brzegu na niewysoką kępę, wystającą ponad kosówki, wysuwając ostrożnie



broń i głowę. Lekki wiatr nie zmienił kierunku, dotknął jego rozpalonej twarzy niosąc z sobą wyraźny smród niedźwiedzia. Poniżej, na niespełna czterdzieści kroków, zobaczył ogromny łeb zwrócony ku dolinie, resztę tułowia kryła kosodrzewina. Niedźwiedź, jakby przeczuł bliskość człowieka, a może czujny węch przyniósł mu o nim wieść, wciągał w nozdrza powietrze, niespokojnie ruszał uszema, aż wreszcie zwolna wychylił się całym ciałem zza kosówki. Wojtek starannie wymierzył na komorę, wciągnął w piersi oddech i spokojnie wypalił. Wraz ze strzałem spadł na góry okropny krzyk niedźwiedzia. Zwierz przysiadł zrazu na tylne nogi, starając się przednią łapą dosięgnąć rany. sięgał ku łopatce zębami i w tym ruchu skiełznął. Rycząc i koziolkując obsuwał się po upłazie w dół. Rozpęd rzucił ogromnym cielskiem, łapy zbrojne w pazury chwytaly darń ryjąc w ziemi koleiny. Ryk raz po raz wstrząsał górą. Zsuwając się coraz szybciej zniknął w lesie, Wojtek trzymając dłonią kłobuk niósł się za nim. Dotarł do lasu. Słyszał łamanie gałęzi i chraści, i znowu ryki, od których myśliwemu dreszcz przechodził po grzbiecie. Gorączkowo chciał załadować flintę i w tym momencie usłyszał, że zwierz oddala się przez łom. Bał się go stracić, schował więc rozek z prochem i ostrożnie wszedł w las. Popod drzewami leżały jeszcze twarde zaspy śniegu, szeroki tor niedźwiedzia złany obficie juchą wiódł go nabożnie i pewnie. Hałas wzmógł się znowu. Wyzierając spoza obwieszonych konarów smrekowych, zobaczył Wojtek niedź-

wiedzia na łysinie wiatrołomu. Zwierz, szarpany bólem, rwał łapami pniaki, to znowu chwycił je zębami odrywając ze straszliwą siłą kurczowo zaciśniętych szczęk wielkie jak sajty — trzaski. Ryczał ciągle okropnie. Nagle jakby oślepy jął łapami macać po pniaku i dźwigać tułów ku górze. Stając się westchnął ciężko i zwolna jął kiwać łbem, jakby w zdumieniu nad utratą sił. Harcząc opadł znowu, wyciągnął przed siebie przednie łapy, jak warujący pies, i z gestem gromnego znużenia oparł na nich łeb.

Zdycha—przeszło przez myśl Wojtkowi, który aż przybladł od widoku tego zmagania się ze śmiercią.

Niebaczenie poprawił się pod smrekiem, trzasła gałązka. Nie widział już jak się stało, że niedźwiedź nagle stanął przed nim. Zionął mu prosto w twarz gorącym, smrodliwym oddechem. Instynktownym odruchem, z całej mocy rąbnął ciupagą pomiędzy uszy. Zwierz oburącz uchwycił stylisko przy obuchu, krew buchnęła mu z pyska i nozdrzy na piersi Wojtka, który uskoczył w tył i potknąwszy się padł na wznak. Za nim runął niedźwiedź. Wojtek leżał ogłuszony z wtłoczonym gdzieś aż do wnętrza oddechem. Ciało niedźwiedzia przechodziły krótkie, coraz radsze dreszcze — aż ustały. Jedno jedyne ciężkie westchnienie podniosło żebra, zwierz zapadł się w sobie i skonał. Z trudem wydostał się Wojtek spod trupa. Serce było niespokojnie, płuca pracowały z trudem. Usiadł zamroczony ocierając z czoła kroplisty pot. Dziwna słabość rozluźniła członki. Cały był utyłany w zwie-



rzęcej jusze, cucha i koszula podarte, ciało na ramieniu głęboko zadrapanie. Oderwał rękaw koszuli i wolną ręką tudzież zębami owiązał i zacisnął węzeł płótna na ranie. Wtedy wstał. Nogi drżały pod nim, jak po długiej chorobie, ręce były zdrętwiałe. Obszedł zwierza dookoła dziwiąc się jego ogromowi.

Ale tyz wielga bestyja, Krista Pana. No, bełbyś ty mie wyonacył, kieby nie ciupaga.

Zabilek — upewniał sam siebie patrząc na groźne zębce, wystające spod warg, wywiniętych przedśmiertną furią i męką.

Po głupiemu narabiałek z tom flintom — medytował. Dy jom trza beło jesce hań na górze nabić, pomaluśku iść i cekać. Nie straciłby sie. Strzylony był dobrze, wyslakowałbyk go, przecie telo nafarbił.

No! Głupik nie siejom, sami rosnom — dworował ze siebie — zabierając się do obielania.

Z trudem posiłkując się wykrzesanym kołkiem, obrócił ciało niedźwiedzia. Żołądek i jelita były prawie puste, znalazł w nich niewiele nasiekanego jaferu i cetyny. Długo się mżoląc, zdjął wreszcie skórę. Zezwłok, uderzająco podobny do człowieczego, podzielił. Skórę ze łbem i jedną szynkę wbił w torbę, resztę zabezpieczył chraścią i gałęziami, wytarł ręce o śnieg i siedząc związał frombije torby na piersi. Głucho stęknął podnosząc się z ziemi, przygniatał go ogromny ciężar.

Cosigek dziśka rzodki — pomyślał — by mnie przecie nie przysiod, telo ino co sie na mnie zwalił. Krapkek głodny, ale zlecem na dół hnet.

Cierniowa to była droga. Perć owczarska nad potokiem pełna była zwalonych drzew, gałęzi, śniegu i kamieni, miejscami była lodowica. Chwilami odczuwał lekki zamęt głowy i szum w uszach, serce biło nierówno. Szedł jednak wytrwale i uparcie naprzód.

Późnym południem, wyczerpany do ostatka, wyszedł na polanę. Z uczuciem niepomiernej ulgi zrzucił w szalasie torbę z pleców, pojadł i zapadł w kamienny sen.

Pod wieczór nieznacznie zaczęły napływać z dołu mgły, sunęły szare i zwiewne, jak żywy stwór wyciągnąwszy przed siebie macki. Objęły nimi las, pochłonęły szalasy, usiadły na polanie zasłoniwszy świat wilgotnym tumanem.

Z ciężkiego snu obudził Wojtka szmer deszczu. Mżył zimny, wnikliwy, świat utonął w szarudze upartej, nieustępliwej, poddając się nocy ciemnej, pełnej szumu. O świtaniu deszcz przybrał na sile.

Bee kwasić pore dni — myślał Wojtek patrząc przez drzwi. Razem z dżdżem biły lodowate krupy lub grube mokre płyty śniegu.

Nie bedem haw casować, obróćem sie dudom, dy mom dość — gwarzył do siebie nie bez przechwałki. Taił przed sobą, że mu w piersi dokuczał jakiś mały ból, który raz po raz nieznacznym ukłuciem niepokoił serce.

Poszedł w szarugę.

Staszek Kwaśnicarz wracał z Małej Łąki popod regle do domu. Wysłuchiwał tam głuszca, ale go



wygnał śnieg, który padał od rana. Zrazu zaczęło się nieznacznym deszczem, koło południa wygnała go kurniawa z szalasu. Kłął strasznie, bo się widziało, że jakiś czas pogoda wytrzyma, a tu masz — kurzy jak w zimie.

Kiz ta diasi, aj diasi — wyklinał — taki świński rok nastał. Bez zime śnigu ino krapke, a fte kie ma być wiesna, kurzi jak sto diabłów. E, dy, to przecie budzi kwietny miesiąc, a tu zima jak w Godniku.

Coz to takie — wrzasnął wystraszony. W alteracji bowiem o mało nie wlaźł na człowieka, który siedział przy perci z wyciągniętymi na drózkę nogami. Siedział nie zdjawszy nawet torby z pleców, kłobuk, ramiona i nogi bez mała zasypane były śniegiem. Staszek przyklęknął przy leżącym.

Przi sam Panu Bohu, je dyto Walcak Wójciaków, wójt!

Targnął go za ramię.

— Wojciechu!

Głowa leżącego zesunęła się lekko na ramię.

— Zyje — stwierdził Wojtek czując ciepło ciała — zyje. Co im takie może być?

Nacierał leżącemu energicznie twarz, ręce i piersi śniegiem. Zauważył ranione ramię i zajrzał z ciekawości do torby.

To to takie — mrucał — musiała go wereda niedźwiedz przysiąść, bez to zesłabli. Twardymi rękoma wykrzesywał z leżącego życie. Po długiej chwili Walczak otworzył oczy i patrząc na Staszka uśmiechnął się niezaradnie, przepraszająco.

— Zemgłotek!

— Ba haj! Kiek wos nasel, beliście mało zywy.

— Ustałek, wis, telo ciężko torba — usprawiedliwiał się Wojtek. — I cosi mie haw boli — pokazał na serce.

— E, bylibyście siedzieli, kieby nie jo — rzekł z dumą Staszek. — Dejciez torbe.

Zdjął z Wojtka ciężar i zarzucił go sobie na plecy.

— No, aleście go umęcyl, teli żwirz to nie figle. cy wos przisiod?

— Ni! Telo ino, co mie obalił.

— Nale wom cosi przecie ublizył na zdrowiu. Mozecie sie dźwignonć na nogi?

Wojtek podniósł się z trudem, mdlący niepokój serca dusił aż w gardle.

— Zańdziemy haw ku Rumance. Hań stela juz wom bedzie lencyj, czy isć, cy wos zwieziemy, hy?

Wspierając się na Staszku szedł Wojtek ciężko dysząc. W oczach wirowały czarne płatki, nogi zglewiały zupełnie. W krtani łaskotało ciągle jak do kaszlu, ciało oblewał pot. Dowlekli się do Rumanki. Wysokie modrzewie, pod którymi tuliła się chata, przykryły się poławnie śniegiem, na dachu było go już na pędz.

— Coz sie im podziało — dziwiła się Rumanka, kiedy weszli do izby.

— Nie pytojcie sie, ba dejcie sie co napić — zagadywał Staszek. — Palenki ni mocie?

Było nieco w szkle, ale nie chciało Wojtkowi przejść przez gardło.

— E, kie juz pić ni mozecie, toście chorzi — uza-



lał się Staszek. Oszołomiony gorącem i ciepłem siedział Wojtek na ławie, jak chory ptak stroszący pióra. Nie obchodziło go nic, że o nim rozprawiano, dziwowano się i naradzano. Maciek Ciaptak, który skoczył do sąsiadki po ośnik, wywiódł ze stajni konia, a że się nie dało ani wozem, ani na gnatkach jechać, wysadzili chorego oklep na konia, torbę wziął Staszek na plecy i tak podpierając go uważnie, by nie spadł, dowiedli do domu.

W milczeniu przyjęła Hanka ten korowód, w milczeniu wysłuchiwała Staszkowej relacji. Zakrzętnęła się koło pościeli, na której ułożono Wojtkę.

Leżał Wojtek w izbie i wstyd mu było, że taki koniec wzięła jego wyprawa. Wstyd i żal. Stała nad nim Hanka, w czarnych jej oczach błyszczały łzy.

— No widzisz, kielos uwojował? Nie gwarzyłak ci, siejdzie w izbie, kie ci dobrze! Ka cie boli, Wojtuś?

— Cosi mi tak w sercu uwira, dychnoné nie do.

Wieczorem przyszła gorączka, rano leżał rozpalony i nieprzytomny. Ledwo się Hanka przekopła przez śnieg do starej Rojki o pomoc. Opatrzyła chorego, obstawiła bańkami, uwarzyła ziółek i drepząc po izbie rozprawiała.

— Miechy sie mu zopoliły. I cosi sie w nim musiało oburwać, abo serce, abo bątroba. Musi lezeć. Pogańskie te chłopcy. Dy przecie lepij im w izbie przy babie lezeć, a nie po wirchach kasi latać.

Ciężki, chrapliwy oddech chorego odmierzał godziny. Hanka ociężale krzątała się około zwykłych

spraw, Rojka z różańcem w ręku odprowadzała zdrowaśki. Przez zamglone szybki widno było rój płatków śnieżnych, które bezustannie wirowały w powietrzu kładąc się cicho i miękko na ziemię.

Nie uciszyła ich idąca noc.

W dwa tygodnie po śmigucznym poniedziałku szli ludzie do kościoła drożyną wytorowaną w tunelu śnieżnym — jak w najcięższą zimę. Jaskrawy blask słońca, które wreszcie przebiło się przez chmury, obnażył białosć świata. Doniosłe płynął dźwięk dzwonów. Tłum w białczańskich kozuchach, sołtysich guniach, w jaskrawych chustach, płynął drogami. Z okien chałup widno było tylko głowy ludzkie, ponad wały śniegu.

Stare chłopcy przystanęły przy karczmie, aby dokończyć fajki żując w zębach krzywe piporasy. Czarne i siwe warkocze włosów odświeżnie namaszczone spływały im na ramiona.

— Zima — strzyknął przez zęby stary Zwijacz.

— Haj — zaświadczyli.

— Śnig!

— Kieli.

— Nie popuści hnet.

— Ej, ni!

— Jakoz bedzie z obsiwkiem?

— Ftoz ta wi?

— Bida!

— Bidecka!

Siwy jak gołąb Krzeptowski Biały patrzył wyblakłymi oczyma w niebo.

— Bacem, byłek jesce chłopce, lezoł śnig do



wielgiego maja. Owce wymierkły sytkie, pote w mijalskim miesioncu wzieno kurzić zaś. Jarmuz ludzie jedli — do ostatka prziseł mór.

Zamilkł, zapatrzony w odległość lat.

— No, ono jesse moze bedzie tak, jako gwarzicie.

— Moze.

— Ale nie musi.

— Nil!

— Cosi jegomość pilnie na zwonak zbyrcy.

— Pódziemy.

Ruszyli kupą. Po drodze wypytywał Dziaduś Ciaptaka, jak z Wojtkiem.

— Straśnie zrzeszoł. Miechy wychłódy, ale sie cosi ze serce podziało, co sie rusy tłuce sie w nim. Telo sie chłop zamartwio, ze nic śnim nie ugwarzis, jacy ino do okna poziro i cosi do sobie mamle.

— Nie musi robowoć — mo dość — rzuciła ironicznie Wikta Grubarka, idąca za chłopami.

Nie odpowiedział jej nikt, bo już wchodzili na cmentarz.

W słonecznej smudze, nasyconej drżącym pyłem, siedział Wojtek przy oknie pozierając w góry. Z okien zwisały długie sople lodu lśniąc i roniąc kroplę po kropli. Wysoka, oblepiona śniegiem ściana Giewontu dźwigała się ku niebu, ponownie zakuta zimą. Blade, zimne niebo patrzyło na białą świat.

Lekkie drżenie rąk i głowy zrobiło Wojtka dziwnie nieśmiałym i bezradnym. Z żalem spozierał na ręce, które wygrzewał w słonecznej smudze. U stóp

bawiła się Helcia małym gałgankiem, naśladowującym „pannę“.

— Jesceście chorzi, tata? — pytała Helcia.

— E, dy takse.

— Cemuzeście nie pošli ku kościołu?

— Płonyk.

— Coz wom hybia — pytała poważnie.

— Haw — pokazał na serce.

Podeszła do niego jasnowłosa i wspinając się mu na kolana, przyłożyła ucho do jego piersi.

— Stuka... raz cichučko... zaś głośno... czemu sie tak spiesy, tata?

Położył drżącą rękę na jej głowce zaciskając mocno szczęki.

— Moja panna tyz choro — rzekła zsuwając się z kolan ojca.

— Uwazymy jii ziola, najracyj gorycke, postawimy bańki — paplała krzątając się koło gałganka.

W sieni zatupotały kroki, otrzepywano śnieg, weszła Hanka, za nią Biały Krzeptowski i Dziaduś z Olesiakiem Stopką. Pozdrowili wedle zwyczaju, dopytali co jako, ale wyczuli, że chory niechętnie patrzy na ludzi. Jeden Krzeptowski Biały, którego wiek wynosił ponad ludzkie zachowanie, starannie wypytywał o przebieg choroby.

— Ta... ta... — mrucał gryząc piporas — jest je takie miejsce w sercu zatkanie zastawkom jak w upuście. Kie sie przesilis, ono sie obluzuje i pote w cłeku krew chodzi jako fce. Abo sie stawi na kwilke i udawi.

— Jest je taki zółty kwiotek, kiebyście śniego wy-



war pili, ale strasznie mało, toby wos może popuściło. Ale trza uważać, bo to kwiatek zjadliwy. Jo go wse na izbie trzymał, kie jeszcze moja żyła, ale nie bacem, cy jeszcze jest je.

— No, to trza pockać do lata — wtrącił Olesiak.

— Tak sie mi widzi, ze tego lata latoś nie będzie — uradzał Dziaduś. — Cud, co sie nie wyrabia. Łoni na ten czas owce na ogrody puscali, a teraz zima, jakij nie bacem. Co sie będzie dziać, kie ludzie siano i potrawy spasom?

— Dy sie przecie może odmieni?

— Może.

Wymówili się od jada, które Hanka chciała podać, i wyszli. Po drodze jeszcze dziwili się wyglądowni Wojtka.

— Zrzezoł, ej zrzezoł — litował się Olesiak. — Co sie śnim podziało, dy to był chłop, chłopski chłop. Do cysta o zdrowie prziseł.

— On z tego nie wyndzie — prawil Biały. — Kie sie w cłeku serce zepsuje, o hop, juz je gotów.

— Skoda chłopca.

— Skoda.

— Bee kuzyć zaś — rzekł Biały pozierając po niebie.

Nad Osobitą dźwigały się chmury wysokim, ciemnym wałem. Mróz zelzał prawie nagle, powietrzem ciągnęła wnikliwa wilgoć, drażniąca nozdrza. Pod wieczór wraz z wiatrem uderzyła śnieżycą w niebezpieczną dolinę. Trwało tak bez odmiany do końca budzikwietnego miesiąca, przy nowym księżycu przyszedł mróz, który nawet w małym maju trzy-

mał. Bydło ryczało głodne po oborach, musiano w ostateczności spasać wszystkie pozostałe ziemniaki i owies poddając bydłu. Nigdzie na całym Podhalu nie można było kupić paszy, dla niesposobności dróg zaś nie można było wybrać się za paszą i sianem na Węgry. Przednówek był tak twardy, jakiego nie pamiętano z najdawniejszych lat. U Mracleniaków zapadli wszyscy na łożnicę, ludzie co starsi marli z wycieńczenia, codziennie dzwoniły dzwony żegnając kogoś w ostatniej drodze na Pęków brzyzek. W dzień św. Stanisława jechano do kościoła kumoterkami, przy silnym mrozie.

Na cmentarzu krzyk i zgilek, co kto miał do dania z ziarna składał na plebanii. Tym dobrem obdzielał jegomość nędzotę, komorników, sieroty, wszelką biedę. Niewiele tam było do podziału, bo wszyscy byli biedą ściśnięci, a poniekąd, serca twardszego, taili, co posiadali bojąc się ogólnego z biedy poruszeństwa. Już tu na cmentarzu w obliczu wszystkich działy się rzeczy gorszące. Wikte Grabarkę, która wtykała szerzynkę z ziarnem za pazuchę, zaczęła Rojka.

— Nazbirałaś i ty dziadulo? Cemu nie idziesz na Witów abo w Chochółów upytać u swoik frajerów, ba haw?

Wikta wyciągnawszy czarne ręce ku niebu krzyczała:

— Moje dziecka musom tyż żyć, nie siedzimy na morgak.

— Nie trza ik było zbierać po ogrodak — wrzasnął ktoś z tłumu.



— Kieś z chłopami po sopak spała, toś sie nie starała, co bedzie pote.

Wypadła z tłumu Denizerka i dopadła Wikte wyrwając jej zza koszuli szerzynek z owsem, który otrzymała z zsyпки.

— Nic ci sie nie patrzy, łachudro, nie — pluła przez szczerbate zęby wdeptując ziarno w śnieg.

Wszczepiły się pazurami za włosy, tak że musiał sam pleban ich rozdzielać.

— Ludzie, lo Boga — krzyczał jegomość — dyć-byście sie hańbili na poświęcanym miejscu do bitki brać. — Milczeli niechętnie. Ktoś zjadliwie rzucił:

— Dy to nie ludzie a baby, jegomość.

Wikte otaczała ogólna ludzka odraza. Samotną jeszcze dziewczką będąc podjęła się z fantazji i dla pieniędzy wozic umarłe wsiowe do parafii do Chochołowa, nim tutaj nastała parafia. Szeroko wtedy żyła, piła, hulała we Witowie, w Chochołowie, w Czarnym Dunajcu. Z tych szaleńczych dróg dziewczka nienasyconej żywotności przywoziła sobie czasem dzieci. Kiedy urwały się zarobki, wyzyskiwała czas odchodzącej urody, aż wreszcie została odosobniona żyjąc jedynie swymi dziećmi. Dla nich robiła wszystko, kradła, podlizywała się, chwytala każdą pracę, zносиła plotki, byle wyżyć, byle utrzymać się na powierzchni życia. Nie miała z dzieci pociechy. Co które odchowała, szło w świat, gdzieś na przepadłe. Najstarszy Jasiek, zrodzony w miłości najgorętszej, zbójnickiej,gnił na Wiśniczu, idąca po nim Józka, jeszcze dziewczka prawie nieletnia, szła

już w ślady matki. Ile jeszcze było drobiazgu w domu, wiedziała tylko sama.

Doprowadzona przednówkiem do rozpaczyc kradła, cyganiła, bluźniła. Wyrwana przez księdza z rąk Denizerki, wyła pod murem cmentarnym.

— Psiekrwie, bogace, zbóje, udawcie się, zdeknijcie. Zeby wos mór i zaraza wydusiła.

Nie słuchał tych klątw nikt. Wszyscy zapełnili kościół. A kiedy jegomość wyszedł z kazaniem, ogólny płacz uderzył w drewniany strop kościołka. Nie nawiązywał do ewangelii, nie szukał porównań, nie pocieszał, tylko: — Wołajmy do Boga — krzyczał sam płacząc jasnymi łzami — aby usłyszał nas z tej nędznej ziemi, z tej łez doliny. Wołajmy głośno — ludzie.

I jak był ogromny, uniżył się na kolana intonując:

— Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny.

Wołali tak głośno, jak sami byli nędzni i zbiedzeni. Krzyk o zmiłowanie rozsadał węgły kościoła. Na jesionach i modrzewiach wokół cmentarza podniosły się czarna chmurą wrony i krążyły pod ściemniałym niebem długo kracząc.

Wołanie ludzkie przebiło niechętnie chmury. Nareszcie uderzył w dolinę halny wiatr. Duł bez przerwy do połowy miesiąca topiąc śnieg. Wody wezbrały zalewając przybrzeżne łęgi, znosząc chałupę Królowi pod Ciągłówką. Utonął wtedy dziad Cyran, a może się po prostu z głodu utopił, nie wiadomo, nikt bowiem nie widział, jak się to stało a zwłoki znaleziono na Bachledach w mule.



Ludzie nadganiaли gwałtownie spóźnione zasiewy i podorywki, nękani bezustannymi dżdżami. Wy-  
nędźniałe bydło i owce poszły w hale, gdzie biedo-  
wało od chłodu i wilgoci jak i nędznej paszy. Rzu-  
ciła się im na racice choroba, z której krowy jeszcze  
wychodziły, choć nie wszystkie, natomiast owce  
wyginęły niemal zupełnie. Rozpacz było patrzeć na  
marniejący dobytek, dla którego ludzie tak długo  
biedowali.

Życie stało się ciężkie i złe.

Trwożnie patrzała Hanka na bytowanie Wojtka.  
Nie opuszczał prawie zupełnie chałupy wysiadując  
stałe przy oknie wychodzącym na góry. Zrazu pró-  
bował zrywać się do roboty, przy której aż skręcał  
się od niemocy serca. Błady, ze zsiniałymi wargami,  
wracał do izby i padał na ławę, wstrząsany niemym  
szlochem. Czuł, że życie wycieka z niego jak woda  
z sita. Walczył z tym tak długo, dopóki nie pokonał  
go ostry atak. Przez zmętniałe od dżdżu szyby pa-  
trzał na świat, bezradny i do dna duszy smutny.  
Nie mógł zrozumieć, dlaczego urywa się mu ścież-  
ka życia nad przepaścią, której głębokości nie mógł  
pojąć i przemyśleć. Wchodził w noc rozpacz, zu-  
pełnie bezradny, nieuzbrojony żadnym odporem,  
targany strasznym żalem i tęsknotą za tym, co  
najbardziej cieszyło jego życie — za włóczęgą  
w górach.

Skulony, przedwcześnie osiwiwały, z głową opartą  
na dłoni, trwał przy małym okienku, z oczyma wbi-

tymi w Tatry. Spływało nań chwilowe ukojenie,  
kiedy myślą szedł w swoje strony. Zrazu, w począt-  
kach choroby był gwałtowny, stargane nerwy nie  
znosiły koło siebie zgiełku dzieci, krzątany, ruchu.  
W czas bezustannego niemal dżdżu, dławił się i du-  
sił w zaduchu izby. Niecierpliwa ręka wymierzała  
dzieciom razy, że unikały go, strwożone jego gwał-  
townością i milczeniem. Nieraz ze strachem pozie-  
rały z obory w okno, w którym widać było bladą  
twarz ojca.

Hanka przestawiła zupełnie tryb życia, aby  
zabezpieczyć choremu spokój. Przeniosła go do  
białej izby, otaczała pieczołowitością, macierzyńską  
cierpliwością. Tajało w nim serce na widok, jak bar-  
dzo odmieniła się kobieta, dawniej równie niecier-  
pliwa i gwałtowna, gryzł się tym, że nie może oka-  
zać jej swej wdzięczności, przez co stawał się coraz  
bardziej zamknięty w sobie, niemal ponury. Oczy  
tylko świeciły blaskiem, idącym od wewnątrz, od  
nienasyconego ognia tęsknoty, który go spalał zu-  
pełnie. Żył już tylko wspomnieniami. Oparty o su-  
mik przyokienny, przeżywał wyobraźnią najpięk-  
niejsze dni w górach. Przebywał ciche uśpione słoń-  
cem doliny, wspinał się na upłazy, podchodził pod  
graniami kozy, zmagął się z niedźwiedziem, zasłu-  
chiwał w ryk jelenia.

Zapadał w takie zadumy, że czuł wyraźnie po-  
wonieniem zapach żywicznej watry, słyszał trzask  
płomienia, widział czerwone jego języki, jak się  
wraz z iskrami podnoszą ku czarnym dranicom da-  
chu. Utonął w tym tak, iż wyimaginowane życie



przychodziło do niego w snach. Od tego momentu rzeczywistość stała się tak daleka i obca, że pozostała z niej jedynie trwoga śmierci. Ten stan przebywania poza rzeczywistością spowodował złagodzenie napięcia. Stał się cichy, głęboka melancholia, zrodzona z rezygnacji, odżegnywująca się od rzeczywistości, opromieniła mu lice tak, że nieraz Hanka łapała się na tkliwym zapatrzeniu się w jego twarz.

Odwiedził go raz jegomość. Szedł sobie nad potokiem i zobaczywszy twarz Wojtka w oknie wstąpił do izby. „Nawidzili się“ z dawnych czasów, od samego przyjazdu plebana. Spróbował zrazu jegomość w rubaszny ton:

— Cóż tam, Wojciechu — próżnujecie?

— E, dy tak se kapieje pomału — odpowiedział Wojtek z nikłym uśmiechem.

— No, no, zaś tam kapieje — zaprotestował proboszcz. — Cóż was boli.

Odtworzył swą chorobę krótko i niechętnie.

— Trzeba by do doktora abo co — zafrasował się jegomość.

— Po co?

— Jakto po co? Dyć przecie nie będziecie chorzeć tak bez ludzkiej pomocy. Serce. Niejeden choruje na serce, a żyje i stara się żyć. Zratowania szuka.

— Po co? — zapytał ponownie Wojtek.

Ksiądz strzepnął niecierpliwie rękoma.

— Nie zawadzi troska ludzka, choć człowiekiem Pan Bóg rządzi.

— No! mnom to ta niepieknie oZRZĄdził.

— W to sie nie wrozojcie, nie wozcie sie — krzyknął ksiądz, który w irytacji zawsze po góralsku gwarzył. — To już jego wola.

— Jego wola była we mnie udezić? A coż jo winowaty? Nie krzyccie jegomość, bo jo mu sie w to nie wrozom, ale uwazujcie, ze mnie udeził w to, co mom najracyj widzieć. W moje sytko.

— Tak Bóg uderza, kiedy trzeba.

— Za co?

— Za grzychy.

— Dy wy ta moje znocie. Nie hrube były.

Patrzył ksiądz w ciemniejące okno żując bezradnie jakieś myśli.

— Powidzcie mi, jegomość, za co hań cierpiom ci we wsi? Lejba, kwas, bida, głód, śmierć — za co to sytko?

— Bóg wie, co robi — opędział się ksiądz bezradnie.

— Ba haj. Telo to i jo wim pedzieć.

— Nie wasza na to głowa, by o tym myśleć — pojednawczo rzekł ksiądz. — Gdybyście się ważyli sądy boskie rozsądzać, jeszcze większy byłby jego gniew. To wam powiem, co sam wiem: trzeba ufać w miłosierdzie boskie i w nie wierzyć.

Wojtek patrzył przez okno w dal.

— A do doktora trzeba jechać. Jest taki w Mikułaszu, co ku niemu jeżdżą z daleka.

Z tym się rozstali.

Długo dumał jegomość, patrząc na wielki jesion u Walczaka, nad nieszczęsnym człkiem i nad tym,



jak słabym narzędziem jest on sam, kiedy nie mógł rozproszyć ciemności zalegających Wojtkową duszę.

Kwaśno bez przerwy. Przechodziły bądź to ulewę naremne przy dusznym powietrzu, bądź też oziębiało się tak, iż graniami sypał śnieg. Wtłaczały się wtedy w dolinę mgły ciemne, ciężkie, mżące drobnym deszczem bezustannym, dokuczliwym. W chwilach przejaśnień widno było góry oprószone siwizną śniegu. Budził się wtedy niepokój o ostatek bydła i owiec na halach. Niedobre stamtąd przychodziły wieści. Baca Murzański ledwie z życiem uciekł z szałas. Oberwała się wanta spod Mnicha i zwała prosto na szałas gniotąc i grzebiąc swym masywem wszystko, co było w szałasie z kilkoma chorymi jarkami. Życie zawdzięczał jedynie temu, że stało się to koło południa, kiedy wraz z juhasami doił owce w koszarze, stojącym z boku. Huk i łomot, tudzież kurzawa pachnąca siarką, unosząca się na miejscu wypadku, przejęła wszystkich nieopisanym lękiem. Obniżyli się nad Rybie Jezero i siedząc przemoczeni i zmarznięci przy wiatrze, rozprawiali o Mnichu, który dał się niedawno widzieć samemu Murzańskiemu.

W Ornaku zamuliło polanę zupełnie, tak samo w Małej Łące, w Mułowej zabił się mały honielnik poślizgnąwszy się na śnieżku, z Pyszej musieli zejść z powrotem z owcami do Klikuszowej, a to dla choroby owiec, jak i dlatego, iż pozostałe resztki niedźwiedź wybijał co noc. Na Wniebowstąpienie w jakubskim miesiącu nie pojechał nikt do

Ludźmierza na odpust, tak wielkie wody zalały całą dolinę. Owsy stały zielone, przeważnie pokładzione na ziemi. Życie w chałupach stało się piekłem od ustawicznego dżdżu, ciężkiej z tego powodu pracy, jak i rozpaczy, iż zasiewy marnieją, a ziemniaki gniją w naci. Dzieci, poszturgiwane przez rozdrażnionych rodziców, płakały, chłopcy pili jak opętani, przychodziło coraz częściej do bitek i zgorszenia. Obce bandy kradły po dziedzinach, młodzi chłopcy wykradali się z domów, z czego dochodziło po luptowskiej stronie do grabienia i mordu.

Znaleziono po tamtej stronie, w Koprowej, Byrcarzów Staszka z rozłupaną głową, nadzianego loftkami, nie wiadomo czy od hajników, czy też własnej zbiesionej kompanii. Józka od Wikty Grubarki wściekła się zupełnie i jawnie z Gadejami chodziła na zbój. Opowiadano o tej kompanii rzeczy okropne. Kiedy schodziła na Polany, piła w starej witowskiej karczmie, jak niegdyś matka wybierając wśród chłopców co piękniejszego i mocniejszego. Dochodziło pomiędzy jej bandą do krwawych rozpraw, na które patrzała podniecając podpitych do najdzikszych ekscesów. Kiedy raz obstępiono jej ostatniego kochanka Jędrka, Kuśtyjonowego syna, zasłoniła go swym ciałem, a Sobka Fatłę zacięła ciupagą przez kark, tak iż na całe życie władzę w ręce i nodze postradał. Rzucili się na nią kupą, ale się wybroniła, po czym półnaga, w obszarpanej koszuli, z odkrytą piersią każdemu boczkowała tańcząc przez trzy dni z rzędu. Nieprzytomną unieśli chłopcy przed żandarmami, nasłanymi przez



Fatłę do lasu, i od tej pory nie było o niej słyhać. Do Wojtka dochodziły te wieści stłumione, zupełnie mu już obce i dalekie. Tonął nadal w pomroce żalu za utraconym dawnym życiem. Bez lasu, bez gór, bez strzelby w dłoni czuł się zupełnym kaleką, życie straciło woń i smak. Wlokły się dni ciężkie, niepokieszone, zbyte snem.

Z końcem jakubskiego miesiąca zginął z domu Józek. Nie było go kilka dni, wreszcie przyszedł domęczony, ale roześmiany i butny. Wytrzymał gniew matki, a kiedy burza nad jego głową przeszła, wśliznął się do izby, w której wysiadywał Wojtek. Nie podniósł nawet głowy, kiedy usłyszał kroki syna.

— Tata — szepnął chłopiec.

— Coz takie?

— Byłem w Suchej Dolinie i w Kopak.

Mały ogieniek zaświecił w oczach Wojtka. Obrócił się ku synowi pytając:

— Zje po cóżeś hań chodził?

— Na capu.

— Jako?

— Na capu. Bylimy z Olesiaków Władke i z Tatarów Józke.

— Skądżeście wzieni sprzęt?

— Władek Olesiaków wiedział, kany jego taty flinta casuje no i...

— Zabiliście co?

— Haj. Dwa capy i sarne.

Wojtek odwrócił od syna głowę. Ciężka, piekąca łza zwilżyła mu oczy.

Tak to tak — mruczał do siebie — tak to wej.

Pierwsze dni bartłowiejskiego miesiąca wsączyły w serca ludzkie odrobinę nadziei. Nastaly dni chłodne, ale pogodne, szło ku pełni. Aczkolwiek w polach wszystko było jeszcze zielone, mieli ludzie nadzieję, że jeżeli pogoda dotrzyma, owsy dojdą. Pierwszy dotyk jesieni wyzłocił przed wojtkową chałupą kilka brzostowych liści. Patrzał na nie Wojtek zapadniętymi oczyma. Przez sieć zwięzłych, ciemnych konarów siało się słońce na podwórze, kładąc na trawniku drzące, złote centki. Wokół było cicho, tylko potok po kamieniach szuścił. Dzieci pognały ku drodze, skąd słyhać było monotonny śpiew i bicie w bębenek cygana-niedźwiednika. Wojtek, ogarnięty nieodpartą chęcią, dźwignął się powoli z ławy i nie bacząc na uginanie się kolan i niespokojny rytm serca wyszedł z chaty. Owczarz Baca, wygrzewający się na progu do słońca, poruszył gwałtownie ogonem i rzucił się ku gaździe, którego tak dawno nie widział na dziedzińcu. Rosły nad potokiem ku regłom szeregiem modrzewie prastare, świerki, wyciągające ponad ścieżkę ramiona puszyste od delikatnej zieleni. W brzegu rosły gładkokore jesiony, wyzłoczone suchymi żółtozielonymi mchami. Ścieżyna wiła się jak biała nitka wśród traw. Ciężko walcząc o oddech posuwał się Wojtek ścieżyną, zapatrzonego w las i góry. Zacisnąwszy do bólu zęby szedł ku regłom. Przyjął go i otulił ich cień i zapach. Przysiadł nad potokiem wsparłszy dłonie i brodę na ciupadze. Mały niebieski motylek, zwabiony białością koszuli, usiadł na chwilę na napięst-



ku rękawa wachlując śliczne lazurowe skrzydełka. Wśród traw i dzikich bżów uwijał się rdzawy strzyżyk, zawisał na cieniutkich nóżkach główką na dół pilnie wypatrując, w pachwinach, prześwietlonych słońcem liści, muszek i liszek. Czarne, duże mrówki wędrowały niestrudzenie chodnikiem. Przystawały na chwilę przed zaporą nóg człowieka, strzygły łapkami, jakby drapały się w głowę nad trudnym problemem, wreszcie zdecydowanie wdrapywały się na kierpce idąc dalej. Wysoko stukała żoła.

Sytko coś kasi kona, ino jo — dziód, gorzko dumiał Wojtek. Lace — szeptał patrząc na strzyżyka — lace, nie boli go nic...

Okropny ból ścisnął serce za utraconą siłą, za życiem, za swobodą.

Nimas la mnie pociesenia — szeptał z beznadziejnym smutkiem. Z gorzkiej zadumy wyrwały go czyjeś kroki. Z za kotary krzewów wyszedł na perć jegomość. Ogromne buciska deptały żwir, że aż skrzypiał pod nogami, czarna czamara kryła potężne ciało, przyprószona siwizną głowa była odkryta. Szedł wolno szepcąc pacierze. Zdumiony widokiem samotnie siedzącego Wojtka, przystanął.

— Pochwalony.

— Na wieki, kazeście ta byli, jegomość?

— Nagodził Pan Bóg słonka na chwilę, to człek rad plecy grzeje — odpowiedział ksiądz siadając z westchnieniem koło Wojtka. — Wyszliście i wy z izby?

— Prógowałek, cy udolem.

— Popuściło was trochę?

— Ni... małoż żywy sie haw dowlók. Kuniec.

— Koniec Pan Bóg w garści trzyma. A wy sie nie staracie nic o siebie. Kto widział i słyszał, żeby się tak poddać niemocy bez ratunku. Musicie pojechać do doktora do Mikułusza, słyszycie mnie?

— Słisem.

— I to wnet, jak tylko pogoda sprzyja. Pojadę z wami.

— Bóg zapłać, jegomość, za dobre słowo.

— No — nastroszył się ściągając kepiaste brwi, zasłyszawszy w głosie Wojtka opór — no, Wojciechu, nie trzeba tak...

Szukał w sobie słów, które by trafiły do zmartwiałego człeka.

— Nima la mnie pociesenia, jegomość. Wybrołek sie haw, coby sie odpytać świata no i, nimeście na deśli, naucylek sie, wicie, cegosi.

— Czego?

Wojtek wskazał na ścieżkę. W białym pyłe leżało lazurowe skrzydełko motyla.

— Wicie latał haw motylek, tu mi usiad na rence. A tera go ni ma. Przileciała sikorka i juz po nim. Nie stało sie nic, nifto sie o to nie zamartwia, słonko tak samo świci jako przódzi, żoła po pnioku stuka, mrowcice masierujom, po swoim jantarasie... ino ze mnie haw nie bedzie. To sytko, jegomość.

— Taka już jest doczesności kolej — wyszeptał ksiądz.

— Ino cłek temu nie rozumi, zakiel som nie pocuje na sobie. Podźmy, jegomość.

Dźwignęli się obaj z ziemi. Wolno zmierzali ku



chałupie przysiadłszy jeszcze chwilę na ławie pod przyźbą. Słońce krwawiło się nad Osobitą żarząc przedwieczorną złocąc chmury, płynące granatowymi skrzydłami gdzieś z Orawy. Z kościoła odezwał się dzwon na Anioł Pański. Cicho szeptał jegomość swój paciorek. Podniósł się wreszcie niechętnie z ławy. Czuł, że nie domówił z tym nieszczęśliwym człekiem ostatnich słów. Najważniejszych. Jakieś przecucie i głębokie wzruszenie sznurowało mu krtań.

— Ostańcie z Bogiem, Wojciechu.

— Boże was prowadź, jegomość.

— I wicie, tak sobie myślę, Wojciechu, że człowieka Pan Bóg doświadcza i w proch miele, aby mu w czym innym nagrodzić.

— Ano... mielom te boże młyny bez kuńca.

Ksiądz zniknął w opłotkach. Zza węgła wypadła rozpromieniona Helcia.

— Tata, wicie, tata, cygan z niedźwiedzie chodzi, z takim, jakoście wy zabili. Teli żwirz, a tańcuje pod muzykę, wicie — prawiała rozgorączkowana.

Ogarnął ją ramieniem.

— Cysto piknie jak cłek — gwarzyła dalej. — Tańcuje i mrucy.

Ścieżką ku domowi szła Hanka w wieńcu innych dzieci. Na ramieniu niosła kosz, chustka opadła jej z głowy, białe zęby błyszczały w uśmiechu, pierś jeszcze pełna dźwigała koszulę. Szerokie macierzyńskie biodra kołysały się w takt kroków — stąpała silnie jak kwitnące życie.

Wojtek przymknął oczy.

Kiedy księżyc wyniósł się na niebo obtarłszy o rosę pozłótkę z lic, Wojtek, który nie spał, usłyszał ciche kroki popod zręby chałupy. Zaciekawiony wyjrzał przez okno.

Syn Józek stapał chyłkiem ku wrotom.

Osadził go na miejscu pytaniem: — Ka to? Chłopak obracał w rękę kłobuk przestępując z nogi na nogę.

— Ka idzies — zapytał miękko.

— Smówili my sie — mamrotał — smówili my sie, tata.

— Z kim, kany?

— Z Olesiokowymi i Tatare do Syrokiego Żlebu na zrab do dnia wyskoczyć. Jest je hań rogoc pikny.

— Pockoj — szepnął ojciec. Zniknął na chwilę w izbie, pogrzebał w skrzyni i wyniósł do okna zawiniątko.

— Neści.

— Co to takie?

— Flinta... moja.

Chłopiec stał jak oniemiały. Rzucił się wreszcie ojcu do rąk, jasne oczy błyszczały jak gwiazdy w świetle księżycy.

— Bee twoja — szeptał ojciec — ino uważuj, prochem nie kłam, nabij jako trza, przymizoj dobrze, do reśty naucys sie.

Józek zniknął jak mara.

Czujna Hanka otworzyła drzwi do izby. — Trza ci co — zapytała.

— Ni. Podź haw na kwile posiedzieć.



Usiedli przy sobie na ławie. Objął ją ramieniem ciepło, jak za dawnych lat. Oparła lico o jego pierś. Głaskał ją po policzku wychudzoną, drżącą dłonią, wreszcie ujął jej krągłą brodę i podniósł ku sobie jej głowę. Cicho położył usta na jej pełne, gorące wargi. Objęła go mocno ramionami i tak trwali w milczeniu, w jasnej, miesięcznej poświacie.

— Uważaj na dzieci, co by było sytko sprawiedliwie, jako sie nolezi. — szeptał jej w same usta.

— Coz ty, coz ty takie — szarpnęła się spłoszona.

— Cicho ze Hanuś, zakiel nie skońcem. Dudki, jakie som jest, trzymaj w garzci. Kieby ci sie udało kupić te ogrody od regła—kup. Józka nie trzymaj na łańcuchu. Nie sil go, niek sie wkłada pomalućku w robote. Do reśty ty ta wis sytko, jako trza.

— Wojtuś — łkała mu na piersi. — Wojtecku.

— Nie płac. Ono mie przecie kiesi udawi. Lepi, coby my uradzili, zakieła jesce cas.

Milczeli. Ostatnim wysiłkiem zwalczając własną naturę wyszeptał: — Beło mi z tobom dobrze żyć—Hanuś.

— Jako i mnie z tobom—odpowiedziała jak echo.

— Nie pozirałek ku innym, jacy ino ku tobie.

— Jako i jo.

— Telo, ze mnie case w góry poniesło.

Rozpłakała się cichym szlochem.

Nad ranem Wojtek Walczak Wójciaków wystrzelił sobie z pistoletu w samo serce.

Ponura wieść szła od chałupy do chałupy. Wiała od niej groza, kneblująca usta. Stali ludzie w opłot-

kach pozierając ku chałupie Wojtkowej, trzęsąc w zdumieniu głowami nad niedolą sąsiadki.

— Wzieno go — szeptali. Nie cekoł, jaze go udawi. Sam na sie renke położył — szeptali ze zgrozą. Stara Rojka, jak i Wikta Grubarka, po pierwszym wstrząsie nie mogły nadażyć z plotkami. Biegały od chałupy do chałupy rozkoszując się bladym lękiem, który ścinał ludziom lica na tę okropną wieść.

Staszek Kwaśnicarz z Olesiakiem, z żalu nad utratą towarzysza, upili się do nieprzytomności, rozbili u Riegelhaupta szynkwias, a potem trzymając się obydwa w pasie poszli na Starą Polanę ku Tatarom zmówić się o muzykę na pogrzeb. Rejna, wdowa po Jakóbie Walczaku, i Tyrałka, wdowa po Jaśku, kiedy ich obaczyły, toczących się drogą, wzięły pomstować na nich przejęte straszną wieścią. Opędzali się im obaj, ale kiedy Tyrałce wyrwało się, że będą jak Walczak pod płotem po śmierci leżeć, zhisurmanili się całkiem.

Pod płote? Wójt majom leżeć pod płote — krzyczał z pasją Olesiak. — O wy, psiekrwie zatracone — i już szukał jakiego kulika, aby im przyłożyć, ale się nieprzystojnie ku niemu zadkiem obróciły i uskoczyły na bok.

Staszek Kwaśnicarz, który gdy był przynapity, jakał się, głądził: de... deucie pppp.. kój, kkkkrzesny ooojce, dddy to siu... siu... siuty.

Baby darły się na całe gardło, zleciały się inne, zrobił się męt, że ledwie chłopcy uszły cało.



Stary proboszcz, porażony straszną wieścią, stał w oknie plebanii patrząc ze smutkiem w góry.

— Nie mogłem... Bóg świadkiem nie mogłem trafić do tego człowieka — mrucał, to znów wzdychał ciężko. — Straszny rok, zły rok. I to człowiek, na którym budowałem wiele.

W progu stanął kościelny. Chrzakał i wiercił się długo, zanim jegomość zwrócił się do niego.

— No cóż powiecie, Jakubie?

— Jakoz będzie jegomość z pochówke?

— Jakto. Jutro trzeba go przecie grzebać.

— No dy tak, ale kany?

— Tam gdzie jego ociec, wedle tej gruszki z pasyjką.

Kościelny kręcił się, krzakał, wyginał szyję, wreszcie łamiąc ręce w stawach rzekł:

— Nie wim, cy sie da tak zrobić, jegomość, we wsi strasne poruseństwo.

— Przez co?

— No, ze niby sam na sie renke położył.

Ksiądz odwrócił się plecami do kościelnego, milczał długo, wreszcie rzekł:

— Rób, jak kazałem.

Nie minęło i dwie godziny, kiedy na ganku stanęli gromadą chłopci i baby. Kręcili się długo pod surowym spojrzeniem księdza, wreszcie stary Jasiek Mrowca wyłożył, co i jak.

— Cłek beł fajny, wójte beł, prawda, ale...

— Jakież ale?

— No, dyć wicie, jegomość, sami — strzelił do sie.

• Tłumaczył jegomość, iż uczynił to w stanie zupeł-

nego zamroczenia zmysłów od choroby i melancholii, na którą zapadał. Wypominał im wszystko, co tylko dla nich, dla gminy i dla kościoła uczynił. Drżącymi rękoma podtykał im pod same oczy papiery z onej zbiórki na organy, gdzie pokaźna kwota na jego nazwisko wraz z żoną stała, powoływał się wreszcie na swój księży autorytet.

Słuchali i trwali w uporze, nieustępliwi i twardzi. Niechętnie patrzył im w twarze. Widział w gromadzie prawie samych tych najoporniejszych dla każdej gromadzkiej sprawy, niechętnych wszelkim wspólnym poczynaniom, tępych, nieużytych. Uniżył się, wytargował na nich, że z oporem zgodzili się na samym kraju cmentarza, przy kostnicy go chować. Kiedy wyszli, proboszcz dyszał ciężko — i kłął. Na drugi dzień krewniaki i towarzysze zakryli wiekiem trumnę, wysłaną białym góralskim sukrem, na którym leżał uciszony Wojtek. Stuknęli trumną potrzykroć w próg chałupy i wynieśli na dwór. Ksiądz zaintonował pieśń, odpowiedział mu kościelny i echo odbite od regła. Cała wieś, ruszona ciekawością i współczuciem, ciągnęła gromadnie. Nieutulenie płakał Józek. Hanka szła za trumną w czarnej chustce, milcząca niosąc w sercu najdroższy skarb wyszeptanej w same usta wiekuistej miłości męża.

Na skropioną przez księdza mogiłę nie upadła ani jedna jej łza. Jasiek Sikoniowski, co się ożenił u Sa-balów, Tatar i Brzega stanęli nad otwartą mogiłą, i kiedy pierwsze ciężkie grudy gliny uderzyły w jej białe wieko, zanieśli się geślową pieśnią.

Strzelcy, towarzysze górskich wypraw, wypalili



z flint i pistoletów. Cmentarz szumiał pogwarkami i plotkami, dopiero spędził wszystkich deszcz, który po kilkudniowej pogodzie jął znowu siąpić. Baby, poowijane łoktuskami, uciekały do domów, chłopu ku karczmie. Na skraju cmentarza pod żółtym kopcem pozostał Wojtek, przykryty darnią, z uciszonym sercem.

Lało znowu bez końca. Nadzieje ludzkie gasły, na ich miejsce narastała rozpacz. Owsy jeszcze na święty Michał stały zielone, gdzieś tam tylko do słonka, po Gubałowskim świeciły z rzadka kopy. W pierwszych dniach października uderzył zimny orawski wiatr, po nim spadł śnieg, a w nocy mróz, który trwał. Opadły ręce. Jeden lament i krzyk niósł się wsią. Szczególnie baby odchodziły od zmysłów patrząc na zniszczone plony, na głowy dzieci płatających się po izbie i na straszny, biały, zimny świat, grożący głodem i morem. Lęk chodził popod węglę budząc grozę. Jakieś szeptu i podszeptu szły od chałupy do chałupy, roznosiła je Wikta. Oczy bab świeciły jak oczy kocurów, gwary szły po dziedzinie, od których stawały włosy na głowie. Widywano zjawy i wilkołaki na pustych miejscach, przy młynie, niżej kościoła stary Pęksa idąc przynapity wodzony był przez złego, trzy razy pohukiwał za nim, ale się nie obejrzał za siebie i mało żywy do domu zaszedł. Miare grozy przepełniła wieść, że sam Wojtek po cmentarzu chodzi, czegoś szuka, pochyla się nad mogiłami, nasłuchuje i wypatruje. Widzieć go miała żywymi oczyma Wikta. Kiedy opowiadała o tym w chałupie u Mrowców, napół ślepy i ogłu-

piały dziadek, co jeszcze „za Napoliona“ służywał, skrzeczał:

— Kół trza... kółek jaworowy do biała z kory obłupić, zakrzesać i umartemu przez serce wbić... nie bee więcej chodzował...

— beł u nas jeden taki, kasi od Bochnie, chłop dobry i, co sie nie dzieje, zabili go. Lezeli my fte pod miastem hispańskim długo. Nie feieli się cysarzowi zdać. Duzo my krwie tam stracili. No i ten, Mijoł go wołali, tam zginon. Pochowali go kamraci i zapomnieli. Jak na wojnie. Siedzimy my przy wiatrze raz, społe pijemy one wina gorące, ukwalujemy, ci na tamburze w kości grajom, inni zasie łatajom odzież, buty. A był fte se mnom kamrat jeden, górol od Iscawnic. Siedzieli my, gwarzem przy wiatrze, a ten se poziro do miesionce i gwarzi:

Mrowca, kie my sie dudom obróćim?

Wse my o tym gwarzili. Góry dokoła nas nieduze ale przecie góry, telo ze smreków na nik nimas. Miesionc ćwici, jaze sie serce ściska.

— Fto ta wi kie — mówiem i przepijom do niego. A tu mie fte cosi za renke chyciło i gwarzi: dejze i mie, kamracie.

Pozirom pilno, coz ta za jeden taki śmiały i, jazelk zmiertwioł, dy to przecie Mijoł. Nie wiada, kie se przy nos siod, biały na gembie, i zimno od niego ciagnie. Wyjon mi ten puharek z palców, a mnie jakby zamroziło — nie gwarze do niego nic, ino sie dziwom.

— Coześ taki, — pyta sie ten z Iscawnic.

— Nie widzisz nic?



— Ni.

Fte jo mu o tym Mijole. To musi cosi znaczyć, prawi on, abo wom cosi miół odkazać, abo cosi po wos fce. Na drugi dzień śturmowali my do takiego kłaśtora. Kule lecom gęsto, co po kwila ftosi sie na ziem wali. Ślusuj, wołajom, ślusuj. Przi mnie upad jakisi taki młody żołnierz, doślusowali my, ftosi mnie trąca, pozirom, a to znów ten Mijoł. Trzista djabłoweś ty zjod, ej zjod, myślem se, i fte mie postrzelili w noge. Lezem jo wiecór, w nodze wierci, ten górol z Iscawnic pada, nie bedzie ci nic. A jo mu zaś o tym Mijole. Cosi ta ugwarził ze mnom i kasi posed. Lezem pod tym miesioncem biołym, trzepie mnie raz zima, raz zaś gorąc po grzibietówce chodzi. Kiek zaś do sobie prziseł, prawi mi ten górol: Nie bój sie tera nic. On juz nie przidzie?

— Bez co.

— Bok go kolke przebił bez serce. Odkopałek i przebiłek. — Iście, nie doł sie mi widzieć więcy.

Wpatrzony w ścianę sępimi oczyma, żuł piporas i nie odzywał się więcej.

Poszło to między ludzi. W sam święty Łukasz, kiedy ksiądz mszę kończył, cmentarz zaroił się od rozszalałego tłumu. Na czele szły baby: Wikta, Denizerka, Rojka i inne, tudzież stare chłopcy z łopatami, kopaczkami, rozkrzyczani, wściekli. Z pobladłymi twarzami rzuciły się baby na grób Wojtka. Darły ziemię łopatami, kopaczkami, nie chciała się poddać, tak była zmarznięta. Wreszcie wyważyły pierwsze bryły. Jakub, kościelny, który rzucił się bronić mogiły, został pobity i odepchnięty. Z po-

krwawioną twarzą pobiegł do kościoła krzycząc na cały głos:

— Jegomość, ratujcie!

Ksiądz właśnie mszę ukończył i klęczał zatopiony w modlitwie. Jak był w białej komeżce, wypadł z kościoła a za nim ci, co nabożeństwa słuchali. Wypadli na cmentarz. Potężnym ramieniem rozpychając tłum dotarł do mogiły. Bez kropli krwi w twarzy, z rozwianym włosom, złożywszy ręce na piersiach zmierzył się z tłumem oczyma.

— Co wy... co wy... — zdołał wykrztusić ze siebie.

Tłum napierał na niego.

— Usunście sie jegomość, nie brońcie. Samobójec... bez niego sytko...

Wikta, sina od chłodu i pasji wysunęła się na przód rycząc:

— Tuście go dali pochować między krześcijany? Wy — ksiądz? Bez niego bida, lejba, śnig, nędza i śmierć za nami idzie.

Podniosły się do góry ręce z łopatami i kilofami.

— Pąkcie sie... nie brońcie... biercie sie stela... Wyrucić samobójce, na gnój, na gnój śnim.

— Kołem go, kołem przebić, coby nie skodził.

Jakieś głupie, bezmyślne dziecko rzuciło w księdza pecyną gliny. Trafiła w pierś, brudna plama zakwitła na białej komeżce. Tłum umilkł. Ksiądz patrzył w milczeniu na gromadę, wreszcie podniósł ramiona do góry i wielkim głosem zawołał:

— Panie, Panie, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią.

‡ zwracając się do ludzi jał krzyczeć:



— Wyście tu sędzie nad nim, ty... i ty... pokazywał palcem na Wikte i innych. Cofali się, przejęci zgrozą.

— Dalej, rzucajcie dalej kamieniem, kto z was jest bez winy.

Rozdarł komeżkę na piersi i czekał. Tłum parł w przerażeniu ku wrotom. Jedyne Wikta krzyczała:

— Nie bójcie się, ludzie, wróćcie się, coż wam zrobi?

Ktoś zatkał jej usta kułakiem, inny wywłókł siłą z cmentarza. Proboszcz, któremu głosu brakło, klęknął nad mogiłą i wielkimi dłońmi bezradnie zbierał darń, ziemię, kładąc ją pieczołowicie na grobie, jakby odziewał zmarłego. W ruchu tym był dziwnie troskliwy, iż poniektórzy przysunawszy się ku niemu dopomogli naprawiać zło. Cichym głosem zain-tonował wtedy jegomość:

— Wieczne odpoczywanie raczże dać im, Panie...

Rozleźli się ludzie po cmentarzu, wsiąkli pomiędzy groby i skwapliwie stracili pomiędzy opłotki.

Pogoda trwała przez kilka dni. Zwieziono, co jeszcze nie zgniło, nie wymarzło. W noc sylwestrową siedząc przy kaganku w izbie plebańskiej, za której oknami huczał wiatr, pisał ksiądz Józef:

Skończyło się w tym roku na tym, iż owsy i potrawa popuste, ziemniaki niedobre. Cała opatrność Boska, iż gdzie indziej we Węgrzech tanio... przy tym wszystkim ludzie zdrowi. Dzięki Bogu. Niechaj Mu będzie cześć i chwała na wieki. Finis. 1864.

## BRATOWIE



Staszek siedział okrakiem na krokwi i wiązał banty. Stawiał chałupę. Z wysoczyzny spozierał na swoje obejście na jasnej, równej polanie, pławiącej się w słońcu.

Otaczał ją murem las, pnący się reglem coraz wyżej i wyżej ku niebu. Z nad lasu sterczały ogromne zwaliska Łysanek, a wyżej sklepił się biały Giewont. Świat tonął w delikatnej jesiennej mgiełce, złocił się modrzewiami, czerwienił skoruszami. Niebo, błękitne jak gencjana, oparło się na wierzchołkach nad doliną, nie ćmiła go ani jedna chmurka. Jedynie z wyrobiska leśnego, hen na Orawicach, smużył się prosto ku niebu siwy dym.

Głęboki potok oddzielał Staszkową „parcel” od sąsiedniej, bratowej. Tam był matczyny majątek, bo ojcowe wydzielone już było między braci. Na matczynym siedział teraz Jasiek. Głęboko brunatny kolor płazów jego chałupy, gorący w barwie, przeświecał przez na wpół obnażone jesiony. Fioletowe, rozczapierzone cienie liści, lekko drgających od nagrzanego powietrza, tańczyły na ścianie. Zielone szybki okien odbijały oślepiająco blask nieba. Czarna czapa dachu, nakrapiana żółtymi i siwymi mchami, dźwigała się wysoko, uwieńczona starodawnym grzebieniem. Szczerniałe pazdury godziły w niebo. Chałupę otulał i wgarniał pod siebie ogromny smrek. Tkwił w jego korzeniach skrzyżzał



kamienny, ustawiony na sztorc, dźwigając nieforemny, żelazny krzyż, ulany w dawnych tatrzańskich hutach. Nazwisko fundatorów, ryte na skrzyżali, rozplynęło się w deszczach i kurniawach, razem z pamięcią ludzką. Rdza, nadgryzająca żelazo, ściekała z deszczami na kamień barwiąc go na czerwono, jakby Pan Jezus, rozpięty na krzyżu, krwawił po dzień dzisiejszy.

Staszek odwrócił głowę. Stara zawiść wykrzywiła mu twarz zbójckim grymasem.

— Tyj psikrwi wse dobrze. Nie musi sie starać, do gotowego prziseł.

Nienawiść gorąca jak ukrop uderzyła mu do głowy. Od małości, odkąd siebie pamiętał, nienawidził brata. Różniły ich charaktery, a ostatecznie poróżnił spadek po matce.

Staszek był skryty i mściwy. Gwałtowność jego narastała stale, aż do dławienia w gardle, aż do utraty tchu. Kiedy nie miała się w czym wyładować, zatajała się w snuciu planów pomsty, w wybuchach słownych, pełnych wściekłości i gróźb. Chciwość i zazdrość, razem z pierwotnym temperamentem, urobiła w nim powściągliwość, hamującą wszystkie odruchy aż do chwili, kiedy mógł skutecznie uderzyć w ofiarę. Był namiętny na zimno, mściwy z premedytacją, chciwy z wyrachowania.

Dopóki młodszy Jasiiek był słabszy, poniewierał nim Staszek o byle co. Ojca nie mieli dawno, matka, zatyrana gazdówką, była bezsilna wobec starszego syna, który i ją tyranizował. Wieczne swary

i bójkki wyczerpały jej energię, nadwątloną pracowaniem. Nadszedł jednak czas, kiedy Jasiiek jak młody wilczek zaczął się bronić i odgryzać, gdy wyrównały się ich siły fizyczne. Ustały bitki, ale nie ustały poswarki i kłótnie, zatruwające wszystkim życie.

Na miejsce bójek przyszła rzecz gorsza, walka o pierwszeństwo — o byt. Staszek grał na skrzypcach, Jasiiek grał lepiej, Staszek tańczył po weselach i chrzcinach, Jasiiek tańczył pięknie. Obaj byli szumnej urody, wysocy, śmigli. Staszek jasnowłosy, o czarnych oczach i długich rzęsach, twarzy pełnej, męskiej, Jasiiek czarnowłosy, o siwych jak niebo oczach, wąskogłowy z orlim nosem. Chodził Staszek ku jednej dziewczynie w Kiry, chodził ku niej i Jasiiek. Jaśka wszędzie radośnie witano. Szczery, hojny, radosny i beztroski, towarzyszył się chętnie, a co ważniejsze, miał wysokie poczucie honoru i godności. Ze Staszkiem chodzono chętnie na pijaństwa i bitki, ale z Jaśkiem przebywano chętniej nawet nie przy wódce. Ludzie mówili o nich „bratowie“. „Idom bratowie“. Wiedziało się wtedy, że idzie Staszek z Jaśkiem.

Łączyła, bratała ich jedna jedyna sprawa: „rob-sicerka“. Na tajemnych wyprawach myśliwskich działali zawsze spolem, z tą tylko różnicą, że Staszek, zgodnie ze swym charakterem, bił wszystko i gdzie popadło, siuty, kozy, łanie, i w każdym czasie. Jasiiek podchodził zwierza i strzelał lepiej, nie pohańbił się też zabiciem samicy. Kłusowali jednak dla zysku, dla zaspokojenia pasji i zawsze razem.



Zwierzynę spieniężał Staszek, zyski dzielił sprawiedliwie z bratem, lecz swoją część ciułał, grosz do grosza, pijąc za bratowe. Jaśkowi pieniądze szły przez palce, na lepszy „sprzęt” albo na zabawę, wreszcie podtykał je matce.

Wybrali się raz jesienią w Kopy. Były wówczas dni niezwykle pogodne do późnej jesieni. Wylegiwali się na słonecznych upłazach, zagłądali w błękitne cieniem dolinki. Zapadali na noc to w Rycarowem pod starą limbą „ka jesce Sabala casowol”, to w kolibie w Hlinie. Nocami brały już tęgie przymrozki, po niebie błędził młody księżyc. Z Koprowej dochodził ich ryk jeleni.

— Così go boli — żartował Jasiek.

Zabili już dwa capy i tęgiego rogacza, schowali ich tymczasem do chłodu między kamienie i mchy nad potokiem, skąd wiało lodowate zimno.

— Jak myślis, bracie, kieby my się ku tym jeleniom znieśli w Koprowom — namawiał Jasiek, którego ich ryk magnetycznie pociągał.

— E. Zło krew, bojno hań iść, mogom być jogry z panami, dy teraz hań polujom.

— No moze. Ale nos je przecie dwu, coz nom zrobiom?

Poszli. Wynieśli się nocą w Wielki Wierch Koprowy, i długą granią Gołych Wierchów Smreczyńskich obniżali się, wiadomymi Jaśkowi przechodami, ku Kudłatej Grońce.

Z dna doliny dochodził ich coraz wyraźniej ryk kilku byków. Nie ważyli się jednak zejść w dolinę.

— Przecasujemy haw nad Grońkom. One tu by miały kuniecznie wyńść, kie bedzie namieniało na świtanie.

Zaczęło świtać. Zrazu majaczyły w oczach czarne kosówki na popielatym od szronu tle traw, później coraz wyraźniej wyrastały przed nimi w dole lasy, przykryte strzępiastymi mgłami. Czarna sylweta gór poszarzała, a potem zaczęła się nasycać błękitem i złotem. Kiedy pierwsze promienie słońca uderzyły w wierchy, rykowisko ustało. Naszła na ziemię wielka cisza.

Nagle Jasiek drgnął i kierpcem trącił siedzącego niżej Staszka. Siedzieli na takim zaworze, gdzie dwa żleby schodziły się z sobą. Na małej płasience w drugim żlebie stał jelen-byk. W żlebie był jeszcze siny półmrok, widać było jedynie ciemną sylwetkę i wielki wieniec, połyskujący do światła. Wiatr mieli zły, w plecy, ku dolinie. Bezszelestnie, nie porozumiewając się z sobą zsunęli się w drugi żleb. Między nimi a jeleniem wyrósł potężny garb, dzielący oba żleby, porośły kosodrzewiną. Jak purpurowe proporce wyrastała ponad kosówki jarzębina-skorusz, w całej jesiennej krasie. Wiedzieli, że pomiędzy tym morzem kosówki przewijają się nikielnie chodniki zwierzęce, wąskie płasienki zarosłe jaferem i ferecyną. Staszek szedł pierwszy. Gdy wyczuł, że znajdują się nieco niżej jelenia, począł pomału wchodzić na grzędę. Natrafił szczęśliwie na płasień i szedł jak duch bezszelestnie. Jedynie szuściła, zwarzona szronem, trawa, ślisko szemrały gałęzie kosodrzewu, ocierające się o plecaki. Jasiek szedł



kilka kroków w tyle. Zobaczył, jak Staszek wydo-  
stał się na grzbiecik, na którym rosła zbitym wałem  
kosówka. Spośród niej sterczała zębata, spękana  
turnica. Szare płyty, porośłe twardym, suchym  
mchem, dźwigały się ponad żleby kilkudziesięcio-  
metrową ścianą, pękniętą przez pół. Był tam wy-  
godny komin z dobrymi chwytami, Staszek nie na-  
myślając się jął wspinać się do góry, Jasiek podą-  
żał za nim. Ostrożnie wychylili się zza małej szczer-  
biny wysuwając broń.

Pod nimi obrywała się turnica, prawie gładką  
pionową ścianą, aż do żlebu, zasutego białym, gru-  
bym piargiem. Miejsce było brzydkie, „śtyrbne”.  
Żleb opadał prawie pionowym kominem w dół, olo-  
dzony, w surowym jeszcze cieniu. Na przeciwle-  
głym zbocz, po osypisku szły w zbitej chmarze  
łanie, za nimi posuwał się wolno przystając co chwi-  
la wielki byk. Pochylał wspaniałą głowę ku tyłowi,  
że aż wieniec dotykał grzbietu, z nabrzmiałej szyi,  
zdobnej ciemniejszą grzywą, wyrывał się głuchy  
pomruk.

Bracia patrzyli ze ściśniętym oddechem na wspa-  
niałego zwierza — bezradni. Jeleń był już poza  
zasięgiem strzału.

— Końdek obdalno. Ni ma co burzyć — szeptał  
spokojnie Jasiek. — Przebieg nas.

W tej samej chwili zafalowały kosówki na grzę-  
dzie, zaszuszczyły niespojnie. Z morza zieleni wychy-  
nął rogacz jak czerwony pocisk, zbeczał donośnie  
pędząc na oślep do żlebu.

Byk przystanął z krótkim przerywanym pomru-

kiem i obróciwszy na miejscu, zsuwał się po osy-  
pisku ku rogaczowi zbliżając się coraz bardziej na  
strzał. Huk broni targnął powietrzem. Zwierz opadł  
na kolana trwając chwilę w tej dziwnej pozycji,  
wreszcie tułów przeważył się ku ziemi. W pyłe osy-  
piska zsuwał się coraz szybciej pociągając za sobą  
drobny piarg, aż wreszcie całym ciężarem utknął na  
dnie żlebu. Łanie, ruszone strzałem, wydostały się  
na grzbiet, przystanęły na chwilę strzygąc łyżkami  
i wyciągając długie szyje pozierają ku żlebowi.

— Lezi — krzyknął Staszek.

— Lezi.

W gorączce, nie zastanawiając się ani chwili wy-  
skoczył na szczycik turnicy. Ściana, opadająca ku  
żlebowi, była niemal gładka. Stał na wąskiej  
grzędzie, pod szczytem, wypatrując, którędy było-  
by najlepiej zejść i w tym samym momencie kru-  
cha grzęda urwała się mu pod stopami. Nie zdążył  
nawet krzyknąć, kiedy dłoń brata Jaśka złapała  
go za włosy. Ta sama dłoń wyszarpnęła go z nad  
przepaścistej ściany i osadziła mocno na granie.

Staszek siedział chwilę patrząc nieprzytomnie na  
Jaśka. Pot perlił mu się na czole i skroniach.

— Bełbyk sie ozkwasil do cysta, kieby nie ty —  
szepnął drżąc jeszcze na całym ciele. Nie mniej bla-  
dy był Jasiek.

— Bezto, żeś naremny — odpowiedział Jasiek —  
Musioleś to ścianom iść?

Zeszli po boku kosówkami. Na białych piargach  
leżał martwy byk — szesnastak.

— Wis, wis, bez dziada niejednen chłop ginie — po-



wtórzył kilkakrotnie Jasiak biorąc się do czyszczenia jelenia. — Kieby nie ten rogoc, bëlby jelen zył. Straśnie to pikny żwirz. Ale tyś, bracie, głupi, dyj-byś juz bël, bez twojom naremność, umarty.

Przesiedzeli do wieczora w kosówkach. Zmrokiem wbili mięso w torby, Jasiak zarzucił łeb i rogi na ramiona i wynieśli się na grań.

— Tele miał konary na głowie — chwalił się Staszek opowiadając towarzyszom o jeleniu; o przebiegu wypadków zamilczał.

Przyszedł czas żeniaczki Staszka.\* Wziął sobie Zośkę Ciućki z Bystrego, hrubego gazdy córkę. Dostał za nią gruntu tyle, ile miał swojego po ojcu. Przed weselem zagadnął matkę:

— Mamo? Jakże będzie z wasom cęściom i z chałpom? Cy nos nie wycęściujecie za zywoyecia?

Matka łatała właśnie bieliznę. Spojrzała na syna spoza okularów, obłożonych włóczką na nosie, długo i badawczo. Nieswojo poczuł się Staszek pod tym ciężkim spojrzeniem.

— Synku, dy jo jesse zyjem i siedzem przecie na swoim. Co beło ojcowe dałak wom, sąd i opiekunowie podpisali, mało ci? Was tata, dejze mu ta Boze wiecne spocywanie, bël gazda hruby, ale przizenił sie ku moji chałupie, bo to beło jedno przy drugim. Nie beło miendzy nami nigda o majontki kwasu. Pockojze, cobyk przecie na swoim umarła. Kazbyk sie podziała?

— Dy jo wos nie pilem, fciolbyk ino wiedzieć co jako, cy sie mom stawiać na ojcowym, cy zoninym, cy tyz mi ten chałpe docie?

— E, dy jo se ta jesse zyjem.

Na tym się skończyło. Poszedł Staszek do żony na Bystre, ale mu było ciężko tak gazdować. Nie zamierzał stawiać chałupy do czasu, aż matka pomrze.

— Dy jo starsy, ono by wse mnie patrzyło po mamie.

Jasiak ożenił się z Koślanką, dziewczką wielkiej urody, ale biedną. Miała wysoko nad nimi, na Spyrkówce, chałupę po ojcach i pod pół korca gruntu wszystkiego. U niej siedział Jasiak, nie chciał zostać przy matce, aby nie drażnić Staszka. W gorącym czasie robót pozywał nieraz Staszka do obróbki na matczynym.

— Kieloś głupi — mówił Staszek — Coz ji będziemy pomagać? Dała mi to co? Nie rób i ty, bestyjo głupia, to sie warcyj ozmyśli.

Tak się to ciągnęło. Sypały się dzieci u Staszka i u Jaśka. Jasiak, pogodny zawsze, wesoły Jasiak zwiesił głowę — chorowało i umarło mu dwoje dzieci, śliczny Jędrus o wielkich oczach „strzeleckich“ i córka Hania. Udusił ich krup. Jednego roku padł mu koń, w drugim dorznął byczka, który połknął gwóźdź.

Pocieszała go żona Marysia: „Jasiu, dy sie nie trap tela, wse tak nie będzie. Domęcy, domęcy i popuści kiesi“. Aby się ratować, zakontraktował się do „krócenia lasu“ w Orawicach. Tej pracy sprostać mógł jeno człowiek zdrowy, mocny i odporny. W okrutne mrozy musiał się pięć z doliny w ubocz, w śniegu po pas, i walczyć z olbrzymimi smrekami,



twardymi jak kamień od żywicy. We wściekłym pośpiechu trzeba było kłaść te drzewa, im więcej, tym większy zarobek. Od świtu do zmroku trwać przygięty przy pile, oblewać się potem, aby stygnąć nagle pod ostrym, orawskim wichrem. Z obolałym krzyżem i ramionami schodziło się w dół wyrębu do koliby, skleconej z kory i cetyny, warzyć samemu najlichszą strawę — byle gorącą, i spać w ciasnocie pomieszczenia, płonąc z jednej strony od płomienia, gdy druga strona ciała marzła. W kurniawy nie było mowy o pracy, przesypiał zły czas w kolibie jak świstak i czekał.

Jednego dnia przyszedł goniec od matki, Wojtuś „ciotcyn“ ze złą wieścią, że matka chora i wzywa syna do domu.

— Coz ji takie? — spytał Jasek.

— Babka barz chorzy, lezom nie mówiom nic, ino wse pytajom: Chybojcie po Jaśka, chybojcie. No, tok prziseł ku wom, cobyście sie śnieśli dołu, a wartko.

Przenocowali w Orawicach przy pile, wziął Jasek wypłatę i gnał ze ściśniętym sercem do matki. W izbie siedział Staszek kurząc fajkę. Ciężki odór niewietrzonej, przegrzanej izby uderzył w Jaśka. Na łóżku, pod półką pełną obrazów leżała matka. Cicho pochylił się nad nią.

— Coz wom to, mamó? — zapytał serdecznie.

Podniosła jedną powiekę, w oku błysnęło światło. Z trudem wyszeptała:

— Jezdeś? Fciolak tobie jesce widzieć...

— E, mamó. Nie godojciez figli. Cosi wos chyciło, ale popuści. Coz wom to takie?

Nie miała siły odpowiedzieć. Powieka opadła, tylko pierś pracowała ciężko. Staszek opowiadał:

— Posługowali koło bydła, trza im było dźwignonć ceber i cosi sie w nik zerwało, bo się już ni mogli nijakim świacie dźwignonć z ziemi. Dobrze ze tu zasła ku nim Kantkula, to jom dowlokła w izbe. Odkazywali po mnie, tok prziseł. Trzeba cosi kasi koło ni robić?

— Doftoraś nie pozywoł?

— Ni. Ftoz bee płacić i po co? Dy to stary trzuppek, nie bedzie długo tego chorowania, ni!

Jasek popatrzył w twarz brata pociemniałymi z gniewu oczyma. W pierwszym odruchu chciał trzasnąć pięścią między te chytne oczy, ale się opamiętał. Pochylił się nad matką, oko patrzyło przytomnie i bystro. Słyszała. Położył twardą zrogowaciałą dłoń na jej czole, czoło było chłodne. Koło ucha w siwych kosmykach włosów zauważył siną plamę.

— Nie władzem renkom i nogom — wionęła mu w usta.

— Boście płoni, przeńdzie, kie sie osatacie. Polezcie se cichućko, ja sic hnet obrócem, telo ino ze przywiezem doftora.

Wrócił późno. Niewiele tam doktor miał do opukiwania. Kiedy ją Jasek dźwignął, zrobiło mu się słabo. Widać, nikt nie zakrzętnął się od dwu dni około chorej. Ze ściśniętym sercem patrzył na ten kształt człowieka, sterany życiem, złamany cho-



robą. Ręce nabrzmiały sinymi żyłami, nogi opuchły. Skóra zwiotczała, zwisała torbami.

Lekarz załatwił się szybko. — To jest, gazdo — mówił myjąc ręce — udar apoplektyczny. Władza prawej strony ciała została odjęta. Nie wiadomo, jak to dalej będzie. Może się to powtórzyć szybko raz, dwa razy i koniec. Może trwać długo, nawet lata. Ja tu zajrzę jeszcze, gdyby straciła przytomność, poślijcie po mnie.

Zalecił, jak chorą odżywiać, nakazał dać chorej koniecznie kobiecą opiekę i odjechał.

— No wis, wis — szeptał Staszek — tak to jest je. Juści, dobrze by było, coby ftosi przy nik hań posługował. Mom jo znać takom jednom gdowe Rejne u nos na Bystrem, to jom hawok przisłem. Ty sie, bracie, dzisiok hań ostań, a jo zarusiecki raniućko z Rejnem przilecem.

Z tym wyszedł.

Jakiś czas trwała cisza. Jasiiek stał jak zmartwiał nad łóżkiem matki i patrzył w jej zmarszczoną twarz. Lampeczka, wisząca na sumiku między oknami, oświeślała jej lica, żółte światelko nadawało im wyraz trupi.

Poruszyła ustami. Pochylił się nad nią.

— Jasiu — szeptała — nie fcem hawok obcego. Przidź ty ku mnie ze swojom.

— Nie starajciez sie, mamu, nie męccie sie. Pockojcie, to wom upościelom, zaroz wom będzie lekcyj.

Przeniósł ją, lekką jak piórko, na puste ojcowe łóżko. Brudną, cuchnącą pościel wyrzucił do sieni, nabił siennik słomą na oborze. Ze skrzyni wyjął

plótna, które jeszcze sama tkala, przyoblekł łóżko i pościel. Nie lekko szła mu ta niewieścia praca. Najciężej zaś poszło umycie obnażonego ciała matki. Nie chciał, aby obca kobieta zobaczyła jutro to zaniechlujone ciało. Targał nim ból i wstyd i lęk przed obnażaniem matki. Przemógł i to. Widać i ona przeżyła tę chwilę ciężko. Pot wystąpił jej na czoło i skronie.

Gdy ją złożył na czystej pościeli, westchnęła z ulgą. Noc bez snu ciągnęła się obojgu w nieskończoność. Czujnym, myśliwskim uchem nadśluchiwał jej oddechu. Był nierówny, chwilami chrapliwy, to znowu zacichał zupełnie. Wtedy zimny lęk zatrzymywał i jemu serce. Zwolna szary świt wsączał się w izbę. Lampka zgasła, chora widocznie usnęła, zadrzemał i Jasiiek. Zbudził go skrzyp dźwierzy w sieni i obijanie kapcy ze śniegu. Do izby wszedł Staszek z obcą kobietą.

— Zyje? — zwrócił się do Jaśka. Jasiiek milcząco potwierdził.

— Prziwiodłęk haw Rejne.

Rejna złożyła tobolek przy kominie, zdjęła chusię rozglądając się po izbie. Było tęga, szeroka w biodrach, o czerwonej, pijackiej twarzy. Spojrzanie miała szybkie, lekliwe, spod czoła.

— Musicie sie haw starać, coby matka mieli sytko, co sie nolezi, a i gazdówke obrządzić. Jak myślis, Jasiiek, kieby my tak krowy wzieni, a matce ostawiliby my Kwietule? Dy im tera nie potrza, telo ino, coby mieli mlika krapecke. Jo mom latoś siana dość, a tu bedzie mnij obyrtacki przy bydle.



— Nie rusymy hawok nic — mruknął Jasiek — dy oni przecie jesce zyjom.

— Ni, to ni, jak uwazujes, jo ino tak gwarzem, coby im ulżyć.

Pokręcił się po izbie, poszeptał z Rejną i zabrał się do domu. Jasiek pokazał Rejnie co i jak, oprowadził po gazdówce, pouczył. Kiedy wrócił do izby, matka wodziła za nim okiem. Coś chciała przemówić, więc się nachylił.

— Zawrzyj kumore... — szepnęła.

— No, mamó, bee, sytko dobrze, kie pozdrowieje cie. Jo sie obróćem dudom ku swoji, to jom tu wygnam do vos na kwile.

Pogłaskał nieśmiało jej siwe włosy i wyszedł.

Zaczęły się wlec uprzykrzone dni, tygodnie. Chora przychodziła do siły o tyle, że już nie zapadała w stany nieświadomości. Drażnił ją stale bezwład ciała. Podpatrzył, jak unosiła zdrową ręką martwą prawicę i patrzyła z zaciśniętymi ustami, jak ta opadała bezwładnie. Zachodził tu dzień w dzień i patrzył czujnym okiem na gospodarstwo Rejny. I Staszek zachodził zrazu często, potem coraz rzadziej, i to na chwilkę ograniczając się tylko do szeptów z Rejną.

Matka z uporem prosiła Jaśka, by się przeniósł z żoną do jej izby. Wykręcał się, jak mógł, bał się ludzkiego gadania, pragnął uniknąć nienawiści Staszka, nie chciał, by jego starania wpłynęły w jakikolwiek sposób na wolę chorej. Był jakby rozdarty na duszy, bo tu trzymało go serce synowskie, ostatnie zaś ciężkie lata nakazywały mu szukać doraź-

nych zarobków, by jakoś opędzić najpilniejsze potrzeby. Z wyrębem był koniec. Nie mógł się oddalić na całe tygodnie w góry. Chwycił się budarki. Krwawa gorycz go zalała, kiedy Staszek wręcz odmówił zapłaty Rejnie zwalając ten ciężar na Jaśka.

— Dy jo jom wysukoł, a ty sie staraj o rešte.

Miało się ku wiośnie. Można już było matkę ułożyć na stołku przy oknie. Okrutna żałość ścisnęła serce Jaśka, gdy ją tak zobaczył, samotnie siedzącą z oczyma wbitymi w góry. Została z niej taka mała drabina człowieczka, skrzydełko lekkie. Siwa głowa chwiała się na chudej szyi, zamglone oko patrzyło załzawione w świat niebieski przez mętne szyby. Witała go codziennie bladym uśmiechem przez to okno.

Brano się do obróbki w polu. Zagabnął Jasiek Staszka, jak to będzie z matczynym.

— Wis, bracie, jo ni mom casu na zbyciu. Kieby nos beła wycęściowała, to byk wiedzioł, la kogo robiem. Skróś ni zyjem jak cygan bez chałpy. Kieby była pedziała tak a tak, to jest twoje a to moje, to by my wiedzieli, co jako kany, a tak? Coz jo sie tu bedem krencił.

Jasiek nie miał już chwili dla siebie, pracował jak wół. Nie szło mu już tyle o matczyne, jak o to, by ludzie nie gadali, że przez synów matczyzna gazdówka kapieje. Od tej charówki szerniał jak ziemia. Nawet sługi nie miał za co wynająć. Rejna nie wychodziła poza progi chaty, tyle co do obory. Krowy paś ostatni już syn Jaśka — Józuś. Jedno opędził, już trzeba było chwytąć się drugiego. Tu koś-



ba, i to ostra, przez kilka dni przy miesiącu poza północ, rankiem, tylko słońce przygrzało, przerzucali siano razem z Maryską. Dni były ciepłe, pogodne, więc wynieśli matkę na ogrody, aby zwolnić Rejnę. Pomagała niechętnie, urażona. Staszek, który tuż za potokiem kopił, zaszedł na południe ku matce, popytał jak jej tam, sumitował się, że musi i tu, i na żoninym obrobić, że z duszy serca by rad, ale nie może pomóc. Konia by się przydało do zwózki donajac, ale nie ma za co. Chyba, żeby mu matka pożyczyła swojego.

Staruszka trzęsła bezsilnie głową słuchając tej nieszczerej gadaniny.

Siano zwieźli szczęśliwie, krótka chwila oddechu pozwoliła Jaśkowi wyskoczyć w góry na „robsic”. Kiedy wrócił, zastał matkę niespokojną i znowu w łóżku. Czuła się widać gorzej.

— E, mamó. Nie musicie się frasować, kie mnie kwilke doma ni ma, dy jo sie przecie w górak nie stracem, wrócem sie wse, nie bójcie sie. Jo je letki.

Matka poruszyła ręką. Był to ruch przyzywający. Rękaw katanki uchylił się i Jasiiek zobaczył na ramieniu sińce.

— Co to takie, mamó?

Z piersi chorej wyrwał się bezradny szloch.

— Mamó, godojcie, co je to?

— Rejna... wse mie scypie, bije me... dudków fee po mnie na gorzółke.

W Jaśka jakby piorun trzasł.

— Biję? Wos? Krista pana i cemużeście nie mówili o tym?

— Bałak sie... bałak sie... mówiła, ze mnie podpoli... ze mie spoli z chałpom, kie sie poskarze.

Wypadł na oborę. Właśnie Rejna posługiwała koło krów. Chwycił ją za kark i trząsł w nieprzytomnej wściekłości bijąc jej głową o ścianę.

— Coś ty robiła matce, suko? Jakie twoje pierońskie prawo jom bić?

Rejna harczała. — Gazdo — krzyczała — la Boga. gazdo, puście. Dusem sie. Gazdo...

Opamiętał się, pchnął ją na gnój krzycząc:

— Tu lez bestyjo, nie rus sie stela.

Wpadł do izby trzęsąc się jeszcze z wściekłości, zerwał jej łachy z draga i chustkę i wyciepał do pola.

— Neści co twoje i bier sie stela a wartko, bo cie przy sam Panu Bohu zabijem.

Wieczór przybiegł Staszek.

— Wicie, wicie — dziwił się — widziała sie bezkuryja fajna, a tu — mos. I co tera bedzie?

— O tok sie fciół tobie spytać — odwarknął Jasiiek.

— Trzeba sukoć drugij.

— Takij Rejny, co?

— No no no, fcoz ta wiedziół, ze to takie? Ale co si kasi trza konoć, ni? Spytajmy sie matki.

Podszedł ku łózu, postął chwilę, wreszcie zapytał:

— No, mamó, jakoz tera bedzie? Trzeba kogosi innego ku wom posukoć, coby sie wom nie kotwiło, ni?

— Mamó — wtrącił Jasiiek — dy tak przecie ni



może być, cobyście haw ostali sama. Przy sam Panu Bohu nie wiedzieliście nic o tym Rejnie, cegoście nie gwarzyli przódzi? Tak was nie ostawimy, mamó, odpowiedzcie przecie.

— Ostanem haw... sama — stękała z uporem.

— Tyś, bracie, starszy, godoj. Przidzies haw ku mace na gazdówkę czy ni? To sie przecie musi jakosi skończyć. Jo tak dali nie pociongne, nie dam rady nijakim światem.

— A czemu ty nie przidzies?

— Dyc tu robujem, Bóg świadke, żyły w sobie nie cujem.

— No to niek matka ośądzi, jako ma być. Juz cas, cobyście swoim ożrondzili. Jo tu haw siedzieć tak za darmo ni mogem, swojego musiem pozierać. Kiebyście podzieli, co jako, cyja chałpa, ftoe pole cyje, to byk sie ściongon ku wom. Ale to musi być powiedziane... zaraz.

Chora z lękiem ściągnęła na siebie koc. Chuda ręka niespokojnie targała jakiś węzełek tkaniny. Bezsilne łzy płynęły po jej twarzy. Przeczając pokręciła głową:

— Ni... ni... cęściować nie bedem.

— No, to my sie dogodali — rzekł Staszek. Idem. A ty se, bracie, rób, jako fces. Ino se nie myśl, ze nie bedem na tobie uwazował.

Na widok nagłego ruchu Jasza szybko zamknął za sobą drzwi. Jasiek usiadł ciężko przy łóżu matki.

— Mamó, nie płaccie. Sami widzicie, kielo mi ciężko. Bedom ludzie gwarzyć, że o wasze stojem, ze na wasze dobro lecem. Nie bydźcie tacy kwardzi.

O Staska idzie, coby nie pyskował. Odezwiście sie przecie.

Gładził jej dłoń i czekał. Milczała. Z ciężkim sercem wstał z zydla.

— No, niek bedzie, jako fce. Ściongnem sie z Maryskom ku wom, inacy nie udołem.

Tak się stało, że Jasiek musiał zejść z żoną ku matce. Na stawianie własnej chaty nie miał pieniędzy, u żony mieszkać daleko, nieporęcznie, u matki najlepiej. Ciagle jednak widział przed oczyma wykrzywioną nienawiścią twarz Staszka.

Zimą zaglądali częściej do chałupy znajomkowie matki. Przychodziły rówieśnice i towarzysze jej młodości. Śródpustnej niedzieli przyszli stary Rysula i Mateja.

— Pokwolony.

— Na wieki — odpowiedział Jan — witojcie.

— Bóg zapłać za witackie, jak sie ta macie sytka.

— E dy takse, po końdocku a wse.

— Jak ta idzie, krzesna? — zagadnął chorą Rysula.

— Leze, ani zyjem, ani umirom — odpowiedziała chora.

— Tak to, tak — westchnął Rysula — żyć ciężko i umierać nie letko.

— Tońcyłek na wasym weselu — zahuczał Mateja — pobili my sie z twoim, skróś tobie.

Leciutki uśmiech rozjaśnił lica chorej.

— Jo by cie fte nie doł twojemu brać, ale cóz, kieś ty mie nie fciała — żartował dobrodusznie stary. — Może i lepi, bo moja baba, cok jom pote



wzion, hnet wyprzegła, jacy ino pieć a śtyrdzie-  
ści roków w izbie zawadzała. Terozek dwa lata ka-  
walir a i tyś sama.

— Toś sie ty, Jasiiek, ku matce ściongnon? — py-  
tał Rysula — Stasek to nie fciół?

Mignęła za oknem sylwetka i do izby wkroczył  
Staszek.

— No i dobrze, to my haw sytka i w kupie.

Z wejściem Staszka chora zaczęła być niespokoj-  
na.

— Trza wom co, mamó?

Chora zdobyła się na silniejszy głos:

— Posłuchojcie, wy krześni i wy synkowie, mojom  
ostatniom wolom. Chałupa i gront, co go mom po  
swoik ojcek, moje rodowe, dajem z dobry woli Jaś-  
kowi. Staska wycęściwoł ociec, po babie ma dru-  
gie tela. Bedom mieć tera oba po równi. Jasiiek mie  
chowół, on mie żywił, on sie o moje staroł. Tu was  
zaklinom na Boga żywego, jako stoicie sytka, i tu  
musicie zaprzisiodz, zeście slisieli i zek żywa  
i przy rozumie tagek ozzondziła.

W milczeniu wstali obaj starcy. Rysula zdjął ze  
ściany czarny krzyż, położyli na nim obaj ręce.

— Przisiengamy, i tak nam Boze dopomóz i jego  
męko, świadcyc bedziemy na kuzdym miejscu  
i przed kuzdym cłkiem, jakoście fcieli mieć. Ja-  
men.

Ucałowali krzyż, ucałowała i chora. Staszek stał  
blady przy kominie.

— To tak, tak to? — syczał, duszony nienawistną  
pasją.

— Cichoze — zgromił go Rysula. — Matka jesce  
mówiom.

— Pochowa mie Jasiiek przy ojcowi. Jest je tam  
w skrzyni w kumorz suknia i chustecka. Do ręców  
mi docie, synkowie, ten krziz, ino nie zabaccie.

— Dudków u mnie ni ma nijakik — mówiła już  
z trudem — skoda sukoć. Jasiiek na mnie nakładał.  
Kwietule trza przedać, krowa nicpote. No i sytko.  
Juz sie drugi roz nie uwidzimy, jak my som tu wroz,  
to sie tyz piknie odpytujem, i dzienkujem za sitko  
i prosem o wybacenie, i Boze wom dopomóz, jako  
i mnie dej spokojnie umiranie. Jamen.

— Jamen — odpowiedzieli obecni.

— Tu jesce nie jamen, jesce ni, mamó — wrza-  
snął Staszek — Jakozeście to wycęściowali tak  
sytko la jednego? Cy jo nie was syn.

— Cicho — warknął Mateja — powiedziane, za-  
przisiężone, ni ma juz o tym gwary nijakij.

— To tak? Sytkaście proci mnie? To ta psiokrew  
was tu pozwala ku matce — wskazał na Jaśka —  
cobyk nie wiedziół nic, ale jo tu prziseł i patrzem.  
Jo was przewiede. He, bracie, nie pódzie ci to tak  
po letku. Jesce i jo mam haw cosi kasi do gadania,  
wis.

— Nimos tu do gadania nic — wtrącił Rysula —  
slisołś som, jako matka ozzondziła, i świente. Ku-  
niec.

— Jasiiek nos tu nie pozywał, przyšli my tu z do-  
bra woli, zaprzisiongli i świadczyć bedziemy, ka  
trza. Musis temu zrozumieć.



— Mamo — krzyknął Staszek — to już ostatnie wase słowo?

Chora pokiwała głową.

— Tak? No to dejże wom Panie Boże ciężkie skonanie za mojom krziwde. A wy se zapamiętajcie, jakoście tu som, jo tego tak leciutko nie puscem, co mi sie nolezi.

— Nolezi ci sie — nic. To je matcyne, rodowe, ona tym ozzondza, jako fce — rzekł Mateja — a to, co ci sie nolezi, jo ci hnet wypłacem.

To mówiąc wstał sięgając swym ogromem pułapu. Chwycił Staszka za koszulę na gardle i za opasek i ozwał nim drzwi.

— Nie bedzies matce zycył ciężkiego konania, psia kudło. Bier sie stela, bo ci dobijem.

Tak powstała śmiertelna nienawiść Staszka do brata.

Matka dawno w grobie legła, jeden i drugi proces, wywołany przez Staszka, zatwierdził wolę matki, koszta ponosił Staszek. Zrazu chciał sprzedać ojcowiznę, aby nie patrzeć na Jaśkowe obejście. Rozmyślił się jednak.

— Ckoj, bracie. Jo ci tu krotni milionsey odpłacem.

Odgrodzili się od siebie płotami. Postawił Staszek chałupę naprzeciw Jaśka z nienawiści, z niezaspokojonej chęci pomsty, żeby go mieć ciągle na oku. Samo istnienie brata stało się żegadłem, które rozpałało w nim nienawiść.

Szły lata. Staszkowa chałupa szcerniała od słońca. Dzieci powyrastały, braciom nie działo się źle.

Nie chodzili już spolem na granie na „robsic“, ale Staszek pilnie śledził i podpatrywał Jaśka. Każdy jego krok, każdą nieobecność karbował sobie w pamięci. Był zdecydowany na najbardziej łajdacki, najbardziej „niehonorny“ krok wydania brata w ręce strażników, skoro tylko będzie miał pewność, że rewizja da pożądany skutek. Do tej nienawistnej służby wprawiał i synów. Sam zacierając równie chytrze wszystkie ślady uprawiał kłusownictwo na dawny sposób.

Nadszedł wreszcie dzień Staszka — dzień pomsty.

Nastały ciche, pogodne, jesienne dni. W ten czas chłopci chętnie chodzili we wierchy za kozami, „na capu“. Najłatwiej było spotkać o tej porze Jego — niedźwiedzia. jak przed snem pał się na jaferach po upłazach radośnie pomrukując.

Poszedł Staszek w Hlińską i Pośrednią Grań. Musieli tam już być przed nim chłopci, bo zwierzył był ruszony i nie dopuszczał na strzał. Zmarnował dwa dni, torba była pusta. Poszedł w Piarżystą i w Mury szukać szczęścia. Po południu usiadł pod Grubym Wierchem, aby nieco odpocząć. Od zachodu ciągnął wał chmur, szedł halny.

— Bee na noc duć — pomyślał Staszek — a tu, zło krew, torba pusta.

Wyjął lornetkę zza koszuli na piersi i jął dokładnie przetrząsać turnię za turnią, każdy upłaz, bułę, wantę, aż ku Gładkiemu Wierchowi.

W pewnym momencie zobaczył na turniczce wyżej Czarnej Ławki sylwetkę kozicy. Trwało to mgnienie oka i nagle padł strzał. Cap uskoczył gra-



nią kilka kroków i jak podcięty runął z turni na piargi ku dolinie pięciostawiańskiej, tocząc się coraz szybciej w dół. Poszła za nim kamienna lawina.

Staszek nie odejmował lornetki od oczu. — Fto by to miał być — myślał — Musem go uwidzieć.

Pomału zza grani wynurzyła się głowa ludzka, zamajaczyła sylwetka strzelca. Ciężko było patrzeć Staszкови pod zorzę, aż strzelec obniżył się co tchu z grani i stanął na wąskiej półeczce w turni.

Wszystka krew uderzyła Staszкови do głowy; tam stał brat — Jasiak.

— Tuś prziseł ka i jo. No, to my sie stretli. Teroż jż mój.

Pożar nienawiści zapalił mu czarne oczy. Zwolna podniósł karabin do policzka. W tym momencie Jasiak wolno zaczął schodzić z turni. W podciętej ścianie biegła wąska skośna rynna, latem śliska od wody, jesienią lodowata. Pomału, krok za krokiem obniżał się Jasiak w rynnę, prowadzony muszką karabinu brata. Nagle — skielznął. Ciało straciło oparcie na wyslizganym kamieniu, nogi odpadły od ściany, i całym ciężarem strzelec runął na piargi tocząc się śladem capa, coraz niżej, aż legł bez ruchu, rozkrzyżowany, pod wielką wantą.

Staszek potrzął bez tchu.

— No no widzis. Widzis jako odpłacił, Jasiu!

Omiótl szklami całą dolinę. Nigdzie żywego ducha. Ostrożnie jak kot, czając się za wszystkie występy zeszedł w Czarną Ławkę, prześlizgnął się piargami aż do miejsca tragedii. Jasiak leżał przy

wancie, lewa strona policzka była rozbita na miazgę, błękitne oko wypłynęło z oczodołu.

Ręka dziwnie wywinięta bieleła się białą kością, która przebiła rękaw koszuli. Z ust płynęła krew. Staszek pochylił się nad ciałem brata i dotknął piersi. Odpowiedział mu głuchy jęk.

Wyjął flaszkę z wódką i wlał ją w gardło brata. Ranny otworzył pozostałe oko, patrzyło błędnie i mgliście. Po chwili zabłysła w nim świadomość.

— Stasek... — jęknął głucho.

— Yhy. Stasek. Brat — wyszczeł drugi. — Przisełek na cas podziwiać sie do tobie, jako skapiejes, bestyjo.

Powieka nad okiem zadrgała i opadła.

— No to my sie stretli bracie, co? Fto by to pomyślał, mieli, mocny Boze, teloś beł śmiały, a tera se tu leżis... i nie wstanieś, jacy na sądny dzień.

— Poratuj mie — wyrzeźił ranny — telo... coby do sałasa... mie śnić...

— Wicie, wicie — cudował się Staszek — jo tobie do sałasa mom nosić? Po co? Nic z tobie nie bedzie, choćbyś z tego wyseł — jacy sietniok. Som Pon Bóg ci odpłacił za mnie.

Pierwszy podmuch halnego wiatru uderzył w dolinę. Mały kłębek chmur wypłynął zza Walentkowej i Zamarłej. Gładka atlasowa woda na stawie zmierzwiła się od tego podmuchu i szerniała, jedynie krwawe odbłaski płonącego nieba pełgały po falach, jarzące i chybkie.

Pod uderzeniem wiatru Staszek oprzytomniał. Schował do plecaka flaszkę z wódką.



— No, jo sie haw odpytom od tobie, bracie, i powiem ci prowde, zek fciol do tobie strzelić jak do capu, kiek cie uwidziol, ino beło jesce końdek obdalno. Som Pan Bóg inacy ozrzonozil, cobyk sie z tohom nie babrol. Bądź zdrów i niek cie diabli do samego piekła poniesom.

Obniżył się ku capowi, wbił go w torbę i puścił się w dolinę.

— Widzi mi sie, bee do rania śnig — mruczał do siebie, zgięty pod ciężarem.

Rozbity człowiek leżał bez ruchu na ziemi. Wiatr huczał coraz mocniej w turniach, po niebie cwałowały chmury.

Noc, rozkrzyczana wichurą, schodziła na ziemię. Szary tłumok ludzki drgnął, począł się powoli i mozolnie czołgać po ziemi. Ustawał — kiedy zapadał w omdlenia — i budził się z nich już nieświadomy, w jakim się znajduje świecie, aby pęłzać dalej.

Wreszcie ustał.

W czarnym jeziorze nieba pośród chmur zabłysła gwiazda. Wiatr wył.

Na rano śnieg okrył górski świat.

JÓZEK DEZENTER



Od czasu jego nieszczęścia spotykam go codziennie na miejscu dawnej chudoby. Siedzi wśród ostro pachnących łopuchów, szary jak pniak, w potarganej cusze, bez kłobuka, z gołymi stopami podwiniętymi pod siebie.

Siwe kępki zarostu i zupełnie czarne jeszcze włosy zasłaniają mu zgasłe oczy. Czasem podnosi głowę do góry i patrzy w wodę. Sine wargi mamrocą coś do samego siebie, suchym patykiem uderza w wodę bezmyślnie, tępo.

Brzeg potoka jest w tym miejscu niewysoki, urwany powodzią. Gołe korzenie olch wiszą jak splątane czarne sieci, oblepione obrzydliwie kępami cuchnącego, odbarwionego siana. Ramię uspokojonej i błękitnej rzeki podchodzi pod sam brzeg, szybkim rozśpiewanym nurtem. Od czasu do czasu obrywa się z korzeni pecyna zeschłej gliny i spada z pluskiem w wodę mącąc jej roześmiany błękit. Spłoszone pstrągi błyskawicznie przecinają nurt.

Dalej jest biały nagi kamieniec, na którym wala się szczątki drzew, zamulone piaskiem, wyblizowane do słońca jak kości. Delikatna trawka, wyhodowana w cieniu żabicy, kołysze się jedwabistocie pod tchnieniem wiatru, gdzieś tam przebliskują małe oczka martwej wody, zarosłe jaskrawozielonym glonem i rzęsą. Przyplątała się tam, nie wiadomo skąd, wysoka, bladozłota, rozdygotana od



nalotu owadów — rzadki gość — dziewanna. Tam przesiaduje Józek, lub pod naporem jakiegoś niepokoju błądzi po kamieńcu. Jeśliby tak przykładać miarę do ludzkich nieszczęść, to czymże było cierpienie Józkowe w porównaniu do niedoli wszystkich, a przecie Józek Dezenter „juz sie ni moze osatać“.

Przez jakiś czas był ośrodkiem zainteresowania osiedla, ba nawet litości ludzkiej, potem wszystko poszło w zapomnienie. Wieleż bo to spraw innych, nowszych zastąpiło stare dzieje?

Nie mogę i nie chcę omijać go obojętnie. Zdaje mi się zawsze, że pod wpływem ludzkich słów obudzi się do życia. Kiedy mu mówię: pokwolony, nie zwraca nawet na mnie oczu. Jest mu zupełnie obojętny ton mego głosu. Nie unika mnie, nie chowa się przede mną, nie potrzebuje jednak zupełnie mego współczucia. Po prostu nie przyjmuje do wiadomości mego istnienia, chociaż moje wędrówki powtarzają się codziennie. Jest, tkwi na swym miejscu, trwa i żyje, ale poza sobą w jakimś innym wymiarze.

Kiedy się Józek brał do życia, to za całą podstawę swej egzystencji miał jedynie mocne ręce, żywiołowy, nieczym nie poskromiony temperament, a całej gazdówki pod ćwierć korca. Nędzna chałupa i w dodatku na młace skapiała do cna razem z ojcem, który po kilku latach milczącego chorowania — umarł. Słysząc było tylko jego kaszel, ostry, suchy, wstydliwie tłumiony. Zostało ich dwoje, siostra Zośka i on. Zośka poszła „posługować ku ciot-

ce“, a Józek do roboty. Ciotka jakoś wydała Zośkę za Franka Kurucowego. Józek na weselu tańczył, pił, a potem razem z weselnikami opuścił chałupę szwagra, jeno od drzwi się odwrócił i krzyknął:

— Ino ty mi, śwagrze, siostre sanuj, bo ci dobiem, jak świnty Mijoł diabła, kiebyś jom krzywdził.

Była w tej pogróźce ostatnia Józkowa pieszczota pod adresem Zośki.

Przez kilka lat nosił się z owcami po halach jako juhas. Zimą pracował przy drzewie w lesie i tu, i w Orawicach. Latem przy owcach, w najokrutniejsze sikawice, w zimne mgły, czy w pogodne rozśloniecznione dni, chadzał ubrany jedynie w portki, koszulę i kłobuk. Tak samo w zimie przy drzewie, tyle jeno że miał serdak pod ręką.

— Mnie ta bida grzeje — śmiał się — i żył. Nadwyżkę zarobku przepijał beztrósko, wesoło. Takiego wzięła wojna w swoje żarna. Poszedł z innymi, tyle że o innych mówiono, pamiętano, mieli bowiem rodziny i bliskich. O Józku pamiętała tylko Zośka.

Jakoś w drugim roku wojny pojawił się w siwym kabacie, w czapce na bakier. Słyszano wtedy nocami jego wysoki, silny głos. Niósł się z karczmy z pijacką gromadą wyśpiewując na całe gardło. Urlop się skończył i Józek zniknął. Znalazł się dopiero na ustach wszystkich, kiedy nagle w nocy otoczyli żandarmi ciotczyną a potem szwagrową chałupę i przetrząsnęli wszystkie kąty. Oniemiałym domownikom powiedzieli, że za ukrywanie dezentera spotka ich surowa kara.



Wtedy dopiero Józek urósł w oczach wsi do niebywalej potęgi. Józek — ich wsiowy chłopak, „z przepytaniem dziad“ porwał się przeciw potędze samego „cysorza“, przeciwstawił się okrutnej dyscyplinie i w mundurze z gwerem w ręce obrócił się plecami do tej obłąkanej rzezi wojennej, on, sam jeden. Był poszukiwany, na jego głowę wyznaczono wysoką premię, stał się kimś, o kim się mówi z podziwem, z uznaniem, z lękiem.

Kwitło wtedy najpiękniejsze gorące lato. Góry огоłocone z ludzi pławiły się w cichej słonecznej śródodzie, jedynie nędzne, zmałałe kierdele owiec błakały się po szmaragdowych halach. Wonne ognie płonęły po szałasach, przewalał się echem śpiew dziewczek w ciszy nocy, wygwieżdżonych po sam strop. Juhasów prawie nie było. Któraż by dziewczka zdradziła, która wydała tę bujną „honorną“ głowę „ziandarom“? Zrazu nie ośmielał się Józek schodzić nawet ku szałasom, ale chodziły ku niemu dziewczęta, niosąc w dani jego sławie swe młode, stęsknione ciała i także chleb, żętycę i ser. Z najmilszą sęrcu Antošką spędził niejedną noc, niejedną pogodny ciepły dzień, pod obwisłymi do ziemi konarami smreków, pod Bobrowiecką Przełęczą, na chłodnych mchach.

Bacom odwdzięczał się za pobłażliwe milczenie sztuką „misa“. Bajali o tym długo, jak to Józek jednego dnia pojawił się przy szałasie na Wyżniej Chochołowskiej z gwerem i skrzypcami. Opowiadał baca:

— Prziseł raz ku nom Józek dezenter na sałas.

Mioł gwer fajny, to se go postawił pod renkom, telo beła cujno bestyja. Wyjon złóbcoki i gro. Bylek ino som na sałasie, bo się sytka zabrali z owcami w upłazy. Ten se siod na progu sałasa, pozira po graniak i gro. Do razu cosi go postawiło na nogi. Gwarzi ku mnie: Baco, postawcie wody w kotliku i warzcie a wartko.

— Je a po coz to?

Pokazuje bestyja smyke, co go rzebe w garzci trzimie we Wołowiec: widzicie, pada, kozy.

Pozirom, naozaist pasom sie we Wołowcu kozy. Beło ik cosi z mendel. Prasnoł złóbcoki, chycił gwer, jesse roz ku mnie krziknon: warzcie wode, i teloś go widzioł. Uśmiołek sie mu dość, ze taka goroncka, alek wody nie warził, bo ku kozom beło obdalno, i nie wiedziołek jaki śniego študer. Nie dało mi to pokoja i pozirałek przecie co po kwila ku grani. Te kozy wzieny i zniesły sie niedługo ku Jamnickij, straciły sie. No myślem se — hop, juz po polowacce. Za jakisi cas slišem cosi strzeliło roz, drugi i trzeci. Kiz ta diasi takie maniebry. Wzionek sajty łupać na połednie, jessek mało co urobił, a mój Józek juz haw. Śmieje się do mnie i gwarzi: woda uwazona? Poziram do niego, torby ni mas. Cozbyk mioł wode warzić — rzeke — dy jo na takie figle nie głupi.

— Tak to — pada — a patrzy do mnie ostro. Pocie ze mnom, baca. Prociwił się mu nie bedem, pošli my ino końdeczek w chuścioki a tu mos, torba lezy a w ni dwa capy hrube.

— Kieście się śmieli ze mnie — dźwigojcie. Beło tego co dźwigoć, beło co i warzić. Kie my juz sytka



pojedli, bo już i juhasy i dziwki na południe zegnali, pytom się go ka trzeci, dycieś przecie do trzok razu strziloł.

Śmioł się ino i pada: — Teloście, baco, nienazar-ty? Ten trzeci je pod graniom, tego trzimiem la so-bie do swoji kuchni. E, od ty kwili tok go już mioł za cosi.

Tak żył Józek przez lato i jesień. Kiedy się baco-wie znieśli z owcami a dziewczki z krowami w doli-ny, nie było o nim nie słyhać. Na drugie lato przy-było w halach więcej „dobryk chłopców”. Józkowy przykład i chwała i rozpad powolny państwa zro-biły swoje. Rozbili się na gromady. Jedna w Cho-chołowskiej, jedna w Kościeliskach a ostatnia w Pięciu Stawach i Gąsienicowej. Działali społem mając jakie takie oparcie o dom. Przynosiły im ba-by chyłkiem to mąkę, to sól, a nawet wódkę. Wpa-dali i sami w ciemne noce do domów, dufni w gro-zę, jaka od nich wiała.

O Józka nie starał się nikt. Skąpy i bojaźliwy szwagier nie pozwolił się Zośce z nim skomuniko-wać. Kiedy wreszcie w trzecim roku i szwagra wzię-li do wojska, jednego z ostatnich, bo chłop był dość „rzodki“, zdobyła się Zośka na to, że pod samą je-sień poszła ku Józkowi. Wiedziała tyle, że się gdzieś w Osobitej i Wołowcu kręci.

Poszła na Chochołowską Polanę. Popatrzyły na nią dziewczki nieufnie i spytały: coś za jedna.

— Józkowa siostra, odpowiedziała śmiało.

— No to ostań śnami, on sie ta tu nońdzie. I zna-lazł się. Ciemną nocą stanął w dźwierzach szałas,

wysoki, pachnący dymem ognisk i od dymu śniady. Długie włosy opierały się prawie o ramiona. Nie chciały mu dziewczki tych włosów przycinać, tak się im widział w nich piękny.

— Zośka. Tuś.

— Jo. Hawek.

Stali tak przez chwilę naprzeciw siebie, wresz-cie wziął ją nieśmiało w ramiona, i przycisnął do piersi. Przytuliła się do niego z cichym jękiem: — Bracie.

Opadły im ręce, jakby zawstydzili się tej piesz-czoty, do której nie nawykli.

— Tyś. Przisłaś ku mnie?

— Przisłak dopirz teroz, bo mojego ni ma duma.

— Kaz jest je?

— Zabrali go do wojska kasi do Peštu.

I nagle jakby w gorączce zaczęła mówić: — Fcio-łak ku tobie nie roz, nie dwa iść, ale mi nie doł, boł sie. Gwarził, że skroś mnie mogom tobie wysłako-wać, ale jo wim, o co mu sło, o te krapkie monki. Fciołak iść ku tobie, Józuś, wierzis?

— Cozbyk ci nie wierzył?

Zakrzętnęła się około szerzynki i wydobyła z niej dwie piękne białe koszule, onycki i ciepłe rękawice.

— To lo tobie, Józuś.

Popatrzył jej w oczy. Coś i jemu zamigotało w nich ciepłem niezwykłym.

— Bóg zapłać, siostro.

Tak się rozstali. Pod zimę, kiedy już głód za-czynął zaglądać do wsi, znalazła Zośka w pajcie pod



sajtami zawiniętego w szerzynkę obłupionego ro-gacza. Znachodziła w tym samym miejscu nie raz, nie dwa, mięso. Czuła ciągle koło siebie tę wszech-obecność i opiekę brata i było jej ciepło koło serca. Bóg widział, jak była jej potrzebna pomoc. Trwało tak do wiosny i urwało się nagle. Spadły ostatnie ogromne śniegi w górach, nie dochodziła z nich żadna wieść. Nocami huczały halne wichry a czasami aż do wsi słychać było grzmot lawin. Jednej nocy zapukał ktoś cicho w okno. Zośka zerwała się z łóżka z nadzieją, która gorącą krwią uderzyła jej z serca do lic. Józek. Odsunęła zasuwkę. Wyczuła że do izby wkroczył obcy człowiek.

— Nie śnić — rozkazał. — Przisłał mnie tu ku tobie Józek. Kładem haw torbe, jest w ni miso. Prześnij to ka, bo torbe wezmę ze sobom.

Wiała od niego obcość i chłód. Drżącymi rękoma rozmotła Zośka frombije i wyjęła z torby wielką, oślizgłą masę mięsa. Milcząco podała obcemu torbę. Nieznajomy bezszelestnie zmierzył ku drzwiom. Wtedy Zośka głosem, z trudem wydoby-tym z krtani zawołała: — Swoku, ka Józek?

Cień zatrzymał się na chwilę przy drzwiach i rzekł:

— Józek chory.

— Coz mu takie?

— Oberwał się z nawisem w Tomanowy. Zasulo go, ale my go wygrzebli żywego. Krwiom wse plu-je, musioło mu sie ziobro złomać i do miechów wbić. Dajemy mu swistace sadło pić, to go popuści. Casuje tera w sałasie na Wyśnim Ornoku. Wartu-

jom przy nim chłopci ale na ten cas nikogo tam djasi nie poniesom. Na ostańcie z Bogie.

Długo czekała Zośka na dalsze wieści. Bała się sama iść, aby nie pociągnąć za sobą żandarmów, a znów trwoga o brata targała nią jak wicher.

Maleńki szałas w Wyżnim Ornaku przytulony do ogromnego smreka, stał się na jakiś czas przy-musowym schronieniem dla Józka. Leżał przy ognisku na ziemi, w gorączce, okryty baranicą. Dniem i nocą paliła się watra tuż u jego nóg. Ból w prawym boku i ataki duszności stały się powodem bezustannego zalewania się potem, by za chwi-lę dygotać zimnem gorączki.

Kurniawy i na odmianę deszcze były w dach sza-lasu. Wiosenne wichury zwały się całą mocą w dolinę wyjąc i łamiąc drzewa. W momentach półoprzytomnień, drżał z trwogi, zdawało mu się ciągle, że wali za nim pogoń. Zrywał się, szukał gorączkowo broni. Napół dzwigniętego przywalała jakaś mocna dłoń do podłogi. Wtedy widział czy-jeś czerwone oczy wpatrzone w siebie, na nowo rozpoczynały się diabelskie harce na grzebieniu szałas, nawoływania i jazgoty. Krzyczał również z wysiłkiem, natężając chore płuco. Gruby głos Jędrka uspokajał go na chwilę.

— Cichoze, chłopce. Cichoze.

Z ciemności wysuwała się ręka z napojem chło-dzącym usta. W szałasie od czasu do czasu zmie-niali się towarzysze. Pozostawało wewnątrz dwu wiodących długie rozmowy, których treść nie do-



chodziła do świadomości Józka. Jeden wartował na progu doliny.

Przyszła dzień, w którym Józek przytomnie rozglądał się dookoła. W dolinie śnieg zniknął, na polanie słońce wyczarowało krokusy. Był najwyższy czas, aby uciekać głębiej w góry. Wynieśli się przez Siwą Przełęcz, Kułowiec, Ropę i zalegli w Jarzabczej. Józek szedł z nimi. Dychał ciężko, od czasu do czasu czuł w ustach smak krwi. Towarzysze zauważyli jednak rzecz gorszą, iż ogłuchł na jedno ucho i — jakby zgłupiał.

— Prziseł o rozum — szepnął Maciek, kiedy pierwszy raz zrozumiał niedorzeczność odpowiedzi Józka.

— Musiała mu jakasi zyłka w mózgach penknąć.

Z każdym dniem, owiewającym go rzeźkim wiatrem, stawał się silniejszy. Milczał jednak ciągle, nikogo nie wspominał, nawet Zośki. Któregoś dnia odbił się od towarzyszy i poszedł samotnie w Osobitą i w Orawice. Na próżno wychodziła Antośka na Bobrowiecką przełęcz wyskając donośnie — nie zeszedł ku niej, nie słyszał, czy nie chciał słyszeć?

Nie wiadomo, jakim cudem wyczuł w listopadzie wolność. Na równi z innymi pokazał się we wsi. Pozywano chłopców „z gór“ na posłady, na wódkę, częstowano, czym tylko było można, za cenę opowieści. Józka pomijano, zapomniano, że on pierwszy chłopcom drogę „ku ślebodzie wysłakował“, że na jego to głowę nałożono premię, widziano jedynie, że jest „przygłupi“, odmieniony. Tak jakby

się go bano. Chodził samotnie po wsi, samotnie pijał w karczmie.

Ciemnym listopadowym wieczorem zaszedł do Zośki. Stała właśnie przy kominie warząc wieczernę, za stołem siedział jej chłop w wojskowej bluzie i czapce na głowie. Józek zawahał się na progu, jakby chciał zawrócić, ale Zośka pochwyciła go z cichym okrzykiem radości za rękaw.

— Józus. Prziseleś ku nom — powtarzała raz po raz z niedowierzaniem. Otarła zapaską zydel i postawiła bratu przy łóżku. Usiadł milcząc. Patrzył jeno na siostrę, to na szwagra, który mamlął pod nosem:

— No no no, nas zbójnik się pokozoł, no no no... Kaześ bywoł?

— Nika.

— A z cimżeś prziseł?

— Z nicym.

— No no no... ino se nie myśl, że bedzies haw siedzioł. Jo cie żywić nie bedem. Ni mo tu twojego nic.

Zośka, zmartwiała z bólu, stanęła pomiędzy nimi i milcząc podała bratu kubek gorącego mleka.

— Bóg ci zapłać, siostro — rzekł Józek wstając. Drobnny garnuszek zniknął w jego dłoni i w tej chwili struga gorącego wrzątku chlusnęła na szwagrową głowę.

Neści, bo to twoje — warknął Józek z mściwym uśmiechem. Odwrócił się jeszcze od drzwi i krzyknął: — Bedem i jo niedługo na swoim, wis.

Od tej pory Józek powrócił do pracy. Chwytał się każdego zajęcia, przy cieślach, przy drzewie



w lesie, przy koniach. Gdy nie było roboty, kłusował na świtanie w rzece łowiąc pstrągi. Nauczył się uśmiechać i być potrzebnym na każde zawołanie. Łapczywie zbierał grosz do grosza, obliczał każdy swój krok i cenił go sobie pieniądzem. Spłonęły te jego „dudki“ z chałupą, w której siedział kątem.

Rozpoczął na nowo. Było takie bezpańskie splacheisko ziemi i kamieńce nad wodą. Tam pobudował jakby cygańską szatyrę i w niej sypiał razem ze swym pierwszym dorobkiem, psem — Bućkiem. Prawo ludzkie zaglądnęło i do tej szatry. Choć to były kamieńce i śmietniki, kazano mu ruszać stamtąd precz. Nazywano to „dobrem publicznym“, tę ziemię niczyją, którą co kilka lat brała w posiadanie powódź. Jakimi drogami, za czyją poradą dotarł Józek do odpowiedniej władzy, kto mu pomógł, kto się ulitował, nie wiadomo, dość, że dostał papier zezwalający na dzierżawę tego „gruntu“ za cenę jednej złotówki rocznie aż do czasu przeprowadzenia regulacji rzeczki.

— No, tok sie już tera sprościł na pana — mruzczał do siebie — tera i ja płacem podotki.

Ogrodził ten kawałek „swej“ ziemi żerdziami, które przyniosła woda. Brzeg to był niewysoki, podnoszący się coraz bardziej ku polom, od rzeki ocieniony olchami, zarośnięty szczawiem i łopuchami. Niżej brzegu kamieniec aż do lustra rzeki wartkiej, spienionej. Na środku tego poletka rosła piękna karpacka wierzba. Pod nią zamierzał Józek stawiać „izbę“.

Rzucił się w wir wścieklej pracy. Najmował się do każdej, znał się na każdej, a żadnej nie odrzucał. Wolnymi wieczorami bystre jego oczy wypatrywały rzeczy niepotrzebne, wyrzucane poza chałupy, walające się po śmietnikach. To, co było bezspornie niczyje, zabierał do siebie. Okrawki blachy puszki z konserw, paczki i wióry z paczek. Zwoził cierpliwie na taczkach z kamieńca okrągłaki naniesione przez wodę. Z nikłych zarobków człeka do wszystkiego, głodując krwawo, kupił wapno, zgasił je w beczkach z cementu. Wykopał rów i murował nocami i niedzielami „fondamenta“. Za czteromiesięczną pracę około rozbiórki i przebudowy jakiejś willi dostał budulec z drewnutni stojącej na podwórzu. Zwiózł go wozem, do którego zaprzągnął sam siebie. Z pierwszymi mrozami na Józkowej „parceli“ zaczęła stukać siekiera. Stuk obudził ludzką czujność. Zaglądnął jeden i drugi, co też Józek „dezen-ter“ wyrabia, przyszedł, pokiwał głową patrząc i odszedł. Śmielszy zapytał: Coz ta takie stawias, Józek?

— Dyc widzicie. Budujem sie.

— Jo myślał, ze bees stawioł młyn nad wodom.

— Je, cozybik meł? — zapytał z półuśmiechem Józek.

— No dy — wsy.

Następnego przybłądę, powitał już ponurym spojrzeniem. Izbeczka to była niewielka, okrokwiona drągowiną, pobitą deskami z paczek i blachą z puszek. Na samym froncie dachu pysznił się napis: Cacao Suchard i fragment pocziwego psiego



łba ze znanej reklamy. Nikłe źródółko pod wierzbą ujął w niską cembrowinę, obitą blachą „Galkar, oleje i smary“. Świeciła ta blacha do słońca najczystszej błękitem emalii.

Należała do tej izdebki jeszcze pajta, zrobiona z dawnej Józkowej siedziby, pajta na drzewo i — kozę. Nie było to wszystko razem dzieło architekta, raczej dzieło mrówki nad miarę cierpliwej i upartej, znoszącej ze wszech stron świata budulec na gniazdo.

— Tera, to już może ku mnie zajechać som cy-sarz w karycie — pokpiwał dobrodusznie sam z siebie.

Szło ku wiośnie. Nadludzki trud człowieka, który wszystko to wydźwigał na własnych barkach, wydrapał „pazdurami“, tajał i znikał w słońcu. Wierzba sklepiąca się nad chatą pachnęła upojnie srebrząc się baziarni. Nikłe kaczeńce i pierwiosniki wykwiwały w młaczystym terenie. Daleko jarzyły się w słońcu zawałone śniegiem Tatry. Raz wraz zwolna podchodził Józek nad wodę i patrzył jak płyną bezustannie bystre, spienione fale. W nie-spokojnej głowie notował pilnie, gdzieby zajazić, gdzieby porobić odboje, aby odepchnąć od siebie jak najdalej tę wodę, dzisiaj tak jedwabiszcie miękką. W korzeniach nadbrzeżnej olchy, w czarnym i milczącym baniorze wypatrzył błękitnego pstrąga. Stłumił w sobie zbójecki odruch kłusownika. „E dy to przecie mój“ „Pasł“ go. Podpatrywali go ludzie i wykpiwali: Józek pasie swoje bydło.

Kiedy trzeba było skosić nadmiernie bujne

chwasty, pod obróbkę zagonka ziemi, nie było już końca przekpinkom:

— Kopi Józek jscawowe siano. Majowe. To je gazda hruby, brzegowy.

Wrócił do swych zarobków. Deszcze następnych lat spłukały na dranicach psi łeb i Cacao. Odprysła fabryczna emalia Galkar, dom wtopił się w wysokie rudbekie i białe floksy pod oknem. Od strony rzeczki młode wierzby wyrastały z czarnych pnączków, którymi Józek grodził przemysłnie wodzie drogę. Rok rocznie wpłacał „podotek“ i rok rocznie wnosił podanie o sprzedaż tej działki — bezskutecznie. Czarna praca, granicząca z nędzą oszczędność pozwoliła mu wreszcie ciulać grosze, które chował w macherzynie na piersiach, pomny na pożar u Ciaptaków. Umysł wiecznie żądny „ziemeczki“ planował, zamierzał wielkie sny. Sny o własnej ziemi gdzieś na grapie, do słonka.

„Coby były jesionki i choć jeden świrk“.

W niedzielę przed świętym Michałem siedział Józek przed swoją izbą. Słońce szło nisko nad grzbietem Tatr, ale jeszcze grzało. Bachledzki Wierch zółcił się rżyskami, pasły się na nim srebrne owce. W szczybinie wykwiwał jak najpiękniejszy zimowit już ośnieżony, liliowy od słońca — Lodo-wy. Józek pozierał w góry pieszcząc łeb Bućka. Nagle pies nastroszył uszy i warknął. „Ftosi idzie popod płot“ pomyślał Józek obojętnie. Czekał, jak z daleka padnie przewisko albo obelga. Nie stał o parszywe ludzkie gadanie, nigdy na nie nie reagował. „Młynoz co wsy miele“, „Brzegowy gazda“,



„Podotnik“ nie wyruszały go z cichego spokoju i obojętnej wzgardy dla ludzi. Pies jednak podniósł się groźnie na widok obcej postaci we furtce. Józek patrzył jak nieprzytomny na drobną kobietę postać w odświeżym przyodziewku, w kwiecistej chuście. Nagle zerwał się na równe nogi.

— Zośka. Siostro. Tuś?

Drobna postać oderwała się od płotu i wionęła ku Józkowi ze szlochem.

— Zośka. Co ci to?

Spod chustki, nasuniętej na czoło, spojrzała ku niemu piękna jeszcze twarz Zośki.

— Mój... mój mnie przepędził z chałpy do pola — wyszeptęła, wstrząsana płaczem.

— Cichoze, nie brzejse, podź do nuka — mówił Józek wiodąc ją do izby.

— Ka miałak iść, jacy nie ku tobie! Telo mi juz omierzło sytko, ze ci powim prawdę, cok rada ze sie juz skończyło. Bronila byk sie, kieby były dzieciska, ale tak? Niekze se siedzi som, zbój. Telo mie dobił o... i wzięła pokazywać sińce na ramionach i twarzy.

— Dobił? Tobie?

Aż zbladł. Mocne muskuły na szczękach drgały napięte.

— Pockoj, jo mu odpłacem.

Tak zostało. Z Zośką przybyły na okna kwiatki, przybyło łóżko ze spiętrzoną pościelą, a na szczycie pyszniła się poduszka z białą obłóczką, na której było wyszyte:

„kohany juzef“.

Przez te wyszycia przeświecał malinowy wysp. Brak było Zośce skrzyni, rodowej skrzyni, malowanej w kwiaty, nie śmiała jednak napomykać o tym bratu.

Wróciła i ona na Józkowym grzbiecie. Długo przeżuwał Józek wstyd i pohańbienie siostry. W rozdeszczony wieczór wybrał się do szwagra. Szedł jak dawniej za „dezenterskich“ czasów, niewidzialny i bezszelestnie. W okienku błyszczało światelko. Tuś, mruknął do siebie. Namacał dłonią klamkę i cicho wkroczył do izby. Szwagier siedział za stołem i jadł wieczrę. Kiedy zobaczył Józka, ręka z jadłem zawisła w powietrzu.

— Coś konoł z Zośkom? — warknął Józek.

Szwagier uśmiechnął się lękliwie.

— E dy przecie niek sie wróci, szwagrze—rzekł.— Jo ji nie broniem, sama posła.

— Sama? Tyś jom wyciepał do pola, bestyjo nie-nazarta.

— Tak do mnie gwarzis? To jo ci powim, ze mom tyz tego dość, widno ze zbójnickiego fajtu dziwka. Jo jom za kudły tu przywlekiem dudom.

— Ty? Mojom siostre? Za kudły?

W nagłym ślepym gniewie uderzył szwagra pod brodę, aż się zwałił z ławy pod stół. Wyciągnął go za nogę na środek izby i bił cicho, w milczeniu, zawzięcie.

— O Jezu. Dyć mie nie bij telo. O Jezu — krzyczał bity.

— Mos już dość, co?

Kopnął go jak szmatę w róg izby, a potem spokoj-



nie zebrał łachy Zośki, wrzucił do skrzyni i wywlókl ją za próg.

Szwagier pozierał z wściekłością na tę jego krzątanicę polykając krew kapiącą z nosa i warg.

— Podom cie do sądu, zgnijes w hereście — jękał niemrawo.

— Nie podos. Ni. Bees cicho siedziol, boś dziod nie chłop. Ty ino baby bijes. A kiebyś podoł, to ci odpłacam tak, że juz drugi roz bees cicho siedziol, wis. Bees cichučki — umarty.

Pojawienie się w izbie skrzyni przyjęła Zośka milcząco, z zadowoleniem. Poczula się przynależna nareszcie do tej izby na zawsze. Jak Józek — wzięła się zażarcie do pracy.

Wieczorami, kiedy jej ręce nie ustawały, czy to przy szyciu bielizny, czy innej robocie, snuli swoje plany.

— Jest je taki fajny fałatek ziemi tu na Walowyj do słonka. Bee tego bezma pod trzi korce. Kieby my to mogli wzionć, jak myślis?

— No, no, dy telo dudków jescce ni momy.

— E, dy sie przecie nie musi zara płacić.

— Ziemecke trza zaraz płacić, fto by jom inacy doł. Nom — dodał z goryczą.

— Jo sie juz ozpytywała, co jako kany. Dadzom. Trza ino połowe wpłacić.

Liczyli, namiętnie liczyli uciulane dudki. Ciagle jeszcze „hybiało“.

— Momy jescce kwilecke cas.

— Kunia by trza kupić — podniecała Zośka. — Zwieźliby my, co trza, nie płaciłoby się tela za sytko.

— Yhy.

Liczyli. Na piersi Józka pęczniała macherzyna wypracowanymi dudkami.

Nadeszło wreszcie lato, że się odważyli prosić „jementre“ o „śpicmape“ do kontraktu. Ważyli jeszcze w myśli co i jak, jeszcze nieśmiałość i lęk wstrzymywały ich przed ostateczną decyzją. W jeden niedzielny ranek wybrali się na Walową. Wolno z rozważą opatrywali miejsce, które miało stać się ich własne. Były tam i jesiony i świerk. Pod lasem na samej granicy szczyrzył się odkop gliniany, spod którego widać było skrzyżale zdrowe, dobre na „fondamenta“. Pokazywali sobie rękoma: haw stanie chałpa, haw obora, haw bedzie siaty owies, hań grule. He, raty, kiele to bedzie gazdostwo, ni?

Z miejsca wybranego pod chatę widno było cały łuk Tatr, siny, przygnieciony zwałami chmur. Powietrze było duszne, zaczął siąpić deszcz. Wolno, statecznie zeszli z góry do domu. Zośka, rozradowana, kręciła się po izbie warząc obiad. Drobnie szybki zamazywał deszcz, w izbie mimo południa było mroczno.

— Siapi.

— E niekze ta.

Wieczorem posłyszeli szum wody. Przywykli do bezustannego belkotu, tak że nigdy nie słyszeli jej gaworzenia. Ten szum niezwykle zaniepokoił Józka. Wyszedł w noc z latarnią w ręce ku rzece. W małym kręgu światła zobaczył bure wody płynące niespokojnie i szybko w ciemność. Woda szła jeszcze równo z brzegami. Huk i szmer zacinającego



bezustannie deszczu wkradły się niepokojem w Józkowe serce. Tama? Czy tama odbije ten groźny hurt wód? Czy wody wedrą się wyżej brzegów i zaleją izbę?

Wrócił ciężko i legł na ławie milczący. Deszcz padał bez przerwy. Nastął dzień żółty, mętny, z bezustanną ulewą. Wodę widać już było z okienka chałupy. Stanęli oboje na brzegu brodząc po kostki we wodzie. Tama trwała, giętkie złote gałęzie wierzbiny kołysały się pod naporem wody, woda płynęła już ponad tamę. Szła z przeraźliwym pędem, brudno-żółta niosąc szczątki drzewa, belek i desek.

Od czasu do czasu płynęły wielkie drzewa, wyrwane z korzeniami. Przewalały się wolno w nurcie wyciągając ku niebu konary. Przez omglę dżdżu zobaczył Józek w górze niewyraźną sylwetkę mostu. Most jeszcze stoi. Chwycił się tej myśli jak deski ratunku, mimo to jednak trwali na deszczu bezradnie czekając, wierząc że ustanie lejba a z nią uspokoi się ten ponury żywioł, napęniający serca trwogą. Koło południa wody przybyło, wieczorem nie widać już było gałęzi wierzbowych.

Wrócili do chaty. W milczeniu zbierała Zośka niebogaty dobytek do skrzyni, pościel zawinęła w wielki toboł.

— Podź, Józku, wyniesiemy toto do Skupieniowej obory. Hań woda nie dońdzie.

W ciemnicy zupełnej, w szumie ulewy, obładowani ciężarem, broczyli przez łąkę Chłopeckiego na suchsze miejsce ku drodze. Powietrze było nadal

duszne i parne. Najniklejszy wietrzyk nie poruszał stężonych warstw powietrza, jedynie bez ustanku, z dokuczliwym, targającym nerwy szelestem sączył się deszcz z czarnego nieba i ryczała rzeka.

U Skupieniów nie spali. Niepokój nieba i ziemi udzielił się bydłu. Ryczało w oborze, gdzie złożyli swój dobytek. Gnani tym samym niepokojem, wrócili znowu do swojej izby. Usiedli na rozebranym barłogu w milczeniu. Późną nocą wyrwał ich z półsnu głośny huk i trzask. Zerwali się na równe nogi.

Most. Musiało most zabrać — wyrzekł Józek zbierałymi wargami. I jakby z tym zerwanym mostem opuściła go wszelka nadzieja, usiadł ciężko z powrotem. Zośka wypadła z latarnią w noc. Brodząc przez ogród doszła do miejsca, gdzie powinien być brzeg. Wyczuła stopą uchyl gruntu i nie ważyła się iść dalej. Otoczył ją znowu poszum ulewy.

Świtaniem nerwy ich nie mogły już wytrzymać napięcia. Z zapadniętymi od bezsenności oczyma wyszli na ogród. Woda dochodziła do studni. Kępa olch nadbrzeżnych pochyliła się nisko i chwiała pod naporem wartu. Ta kępa natchnęła Józka nadzieją obrony. Wyjął z pniaka siekierę i brodząc w wodzie dotarł ostrożnie do olch. Nieco powyżej kępy woda wydarła wielki lej i parła całą siłą na Józkowe obejście.

Przynies powróż — przekrzykiwał Józek ryk rzeki. Zadarłszy kiecki szła ku niemu. Zośka z powrotem. W mig się porozumieli. Józek owinał wysoko sznurem pień najtęższej olchy i podał Zośce koniec



powrozu. Sam jął podcinać olchę. Zośka baczyla, aby naciskiem powroza skierować padające drzewo konarami w wyrwę przeciw wodzie. Głuchy trzask i olcha pochyliła się nad nurtem. Nie widział Józek, jak się to stało, że Zośka razem z drzewem znalazła się w wodzie. Olcha zaczęła obracać się z prądem. Przerażony człek skoczył na rozedrgany od uderzeń wartu pniak. Z nurtu widno było jeszcze ręce Zośki, to głowę i usta otwarte do krzyku. Usiadł na pniaku i zdołał jeszcze pochwycić sznur ciągnąc Zoşkę ku sobie. Nagle sznur jak wąż wyskoczył z wody, i Zośka znikła w nurcie. Nim zdążył na brzeg, nie było jej już widać. Oszalały, rzucił się z biegiem wody, krzycząc: Zośka, Zośka. Jednostajny szmer dżdżu i ryk wylewu chłonał w siebie jego rozpacz. Tak go, biegnącego i krzyczącego, przytrzymali ludzie na Bachledach. Krzyczał, kopał, siepał się w ich rękach, rwał włosy z głowy.

Dali mu u Księdzularza wódki, aż się oszołomił i ucichł.

Wrócił na swoje. Wieczorem woda zabrała izbę. Spłynęła leciutko, jeszcze w niej migotało przez szybki światło latarni. Józek, który tylko instynktem wiedziony uchylił się na czas, widział jak światełko zamrugało raz, drugi i wreszcie cała chałupa zniknęła w powodzi i ciemności.

Stanął na suchszym miejscu i tak stał do rana. Ze starganych włosów ciekła na zapadłe szerniałe policzki brudna woda. Rozdarta pod szyją koszula przemokła i przylgnęła zimnym i ciężkim łachmanem do ciała. Bezradnie próbował przykryć owo

rozdarcie dłonią i wtedy wyczuł pod palcami macherynę z pieniędzmi. Dygocąc od wewnętrznej gorączki wyjął ją z za pazuchy, chwilę jakby ważył na dłoni i opuścił ją w wodę.

— Neści, zeżryj i to... nienazarta...

— — — — —

Od tego czasu spotykano go codziennie nad wodą. Nie robi już nic. Jest obłąkany.



ŚRYBELNIA NA PYSZNEJ



Kamienista drożyna do śrybelni na Pysznej urywała się nagle przed zwałem lawiny. Ogromne masy śniegu, spadłego nad spodziewanie późno, w kwietniu, kiedy już zaczęły dołem przeświecać kopliny, oberwały się na lewym zboczu doliny kosząc pralas na ogromnej przestrzeni.

Pobojowisko smreków, wyrwanych z korzeniami, połamanych pędem powietrza, zalegało całe zbocze, zatarasowało dno doliny piętrząc potok kilkunastometrowym wałem pni, korzeni, want i chraści. Daleko jeszcze, po drugiej stronie potoku leżał pokotem las. Starodrzewy, olbrzymy, strzaskane, połamane w drzazgi niepojętą siłą, bielily się jak nagie kości, skrwawione rudzizną powiedleń zieleni. Splątane z sobą konarami i obnażonymi nieludzko korzeniami, jakby barowały się z sobą w nienawistnym boju, zamknęły, zawaliły na głucho dojście w głąb doliny.

Wśród czarnych kikutów korzeni sterczały wanty-skaliska, wyorane z ziemi. Zwieszały się z nich kożuchy uwiedłego jaferu, zetlałe, powiewające na wietrze jak włosy, czyniąc to miejsce podobnym cmentarzysku, przeoranemu pazurem diabła.

Okropna groza straszliwej śmierci hawiarzy, wracających z bani ku wsi w wielkopiątkowy odwieczny, zawisła nad tym miejscem. Szli samopięć z górnej bani Ornackiej w gęstej kurniawie i wi-



churze; karple zapadały głęboko w śniegu, że musieli ciężko walczyć o każdy krok. Wbijali oczy w mrok przecierając co chwila zalepione śniegiem rzęsy. Wiatr zmieniał raz wraz kierunek, wirowisko płatków śnieżnych ruchomą zasłoną zacierało, mgliło znajomy krajobraz. Sobczyk, prowadzący drużynę, czuł, że zbłądził. Ścieżka w lesie znikła pod śnieżnym puchem bez śladu. Przerzątał krzyk powietrza, mroczność dnia, niesamowitość ciężkiej okiści o tej porze roku. Odbity od perci, oślepiiony śnieżycą, nie wiadomo jakim cudem dotarł do młyna przy pyszniańskiej śrybelni. Na widok zwalistej masy ponurego domostwa przystanęli.

— No! Fałaz Bogu — mruknął stary — kie juz wimy ka my som. Wicie, wicie jako nas przewiodło, — dziwował się Ciulacz. — Byliby my sie we-wiertali kasi w Pysznom.

Naradzali się chwilę, czyby nie przenocować u młynarza.

— Kie my juz som haw — rozstrzygnął Sobczyk — to juz dudom nie prec i dolinom ślebodnij iść. Podźmy!

Ciulacz i Marusarz poszli za Sobczykami, odstręczeni niesamowitością miejsca. Czarna sylweta młyna, głuchy hurgot nie zastawionego koła w miejscu, gdzie praca już dawno ustała, wreszcie nieunikniona konieczność zetknięcia się z Klimuntem Galem, o którym szły dziwne opowieści, od których nawet dorosłym robiło się strasznie, zadecydowały o ich okropnym losie.

Minęli cicho śrybelnię, przebijając się ciężko przez

głębokie śniegi. Niemy las pochylił się zgarbiony, przypadł niemal do ziemi, strwożony białym szaleństwem wirującego śniegu. Sobczyk, torujący drogę, przystanął nad słuchując. Gdzieś wysoko szedł powietrzem dziwny szum i łoskot, i nagle rozpełtało się nad nimi piekło. Z rykiem runęło na przerażonych ludzi powietrze, ściśnięte zsuwającą się lawiną. Pod jego naciskiem w tumanach śniegu i białej mgle ruszył z miejsca las. Krzyk powietrza był tak okropny, że zdawałoby się, iż wielkie starodrzewy uniosły się w powietrze w milczeniu i bez westchnienia, wyrwane z korzeniami z ziemi, płynęły cicho tonąc w zawierusze.

Inne kładły się od razu i już umarłe dźwigały się do góry korzeniami stając na wierzchołkach. Niby czarna krew osypywała się ziemia spośród korzeni, oblepionych grudami kamieni. Drzewa te zwierzały się z sobą ramionami konarów, węzłiskami korzeni spletywały się w dziki kłęb, jakby walczyły o miejsce do umierania i tonęły, unieruchomione w zwałach śniegu.

Ucichło. Wzbite pod niebo masy śnieżne opadały coraz delikatniejszym pyłem, kurniawa—nasycona śmiercią lasu — ustała. W chaosie lawiny zniknęli nieszczęśnicy ludzie na wieki wieków, nim zdolali uświadomić sobie, że bierze ich w objęcia — biała śmierć.

Rankiem dnia następnego druga grupa hawiarzy, która pozostała w ornackiej bani, zobaczywszy z wysoka ogromną łysinę wśród pyszniańskiego boru, zeszła nadłożywszy drogi ku niesamowitemu



pobojowisku. Czarny młyn był napół zasuty śniegiem. Dach od północnej strony rozpadł się przez pół i pochylił się nad obaloną ścianą, w którą jak taran wbił się smrek druzgocząc ją zupełnie. Wał koła młyńskiego, poruszający kamienne żarna, pękł, nachylone koło brało na siebie cały hurt wody potoku, zatarasowanego lawiną i — milczało. Jego nieruchomość powiększała grozę. Jedyne drzwi, wychodzące ku srybelni, zasypane były twardym jak lód zwałem śniegu po sam szczyt domu. W milczeniu, hawiarскими łopatami zaczęli odkopywać wrota; długo trwało, nim usunęli śnieg i łom gałęzi, naniesionych pędem powietrza. Zaskoczeni martwą ciszą, zaświecili w sieni kaganki. W izbie siedział za stołem Klimunt Gał. W oczach odbijało się niesamowite światło kaganków, czerwonym poblaskiem, jak u leśnego zwierzęcia. Czarne warkoczyki włosów w nieładzie opadały na czoło. Ogromne ręce, wielkie jak bochny, nieludzkie prawie, były pokrwawione i odrapane. Koszula na piersi schłastana. Widać było, że walczył z zatarasowanymi dźwierzami, siepał się i szarpał z mocą, której nie mógł podolać nawet swą nadludzką siłą. Straszniejszym od walki musiało być u tego olbrzyma poddanie się losowi. Groza wiała od niesamowitego człeka, który siedział przed nimi w milczeniu i śmiał się okropnym grymasem pokazując białe zęby. Podniósł się wreszcie zza stoła, ogromny jak wielkolud, i w milczeniu mijając ludzi, wyszedł na próg. W ślad za nim opuścili izbę hawiarze, Klimunt trwał długo w bezruchu, oślepiiony jasnym światłem dnia.

Objął spojrzeniem grozę otoczenia, w milczeniu patrząc na obaloną ścianę młyńską, na powalone koło, na wał drzew, kamieni i śniegu, dźwigający się wysoko.

— Juz sie nie obyrta — mruczał patrząc na koło. — Kielo cicho. No! Zrobił swoje.

— Fto? — zapytał ktoś z gromady.

— Diasek — wychichotał Gał. — Zegził sie.

Odsunęli się od niego z zabobonną trwogą. Nie odezwał się więcej. Obrócił się z powrotem do izby i wyszedł z toporem w dłoni. Przebijali się społem przez zwał lawiny na drugą stronę ku drodze, zesunęli się z niego i ze zgrozą zobaczyli na śniegu chłopską cuchę. Nieco dalej leżała torba i jedna rękawica. Gał ją krążyć wokoło. Zapadał się w dziury, pełzał popod nastyrmane pnie, pozierał pilnie dookoła, aż wreszcie skinął na hawiarzy. Ze ściśniętym sercem i wstrzymanym tchem patrzyli na wystającą ze śniegu ludzką rękę, czarną o skurczonych palcach, jakby chwytając się powietrza.

Kopali. Łopatami, zgrabiałymi dłońmi odsuwali delikatnie stwardniały śnieg, nie chcąc zasypanego, nawet po śmierci, urazić ostrzem. Z calizny śniegu odsłanili drugą rękę i ramię zgięte nad głową, jakby ją chciało bronić od walącej lawiny. Otwarte usta pełne były śniegu. Na piersi leżał ciężki głaz, który uderzeniem wycisnął z piersi życie. Tak leżał stary Sobczyk w poszarpanej odzieży, połamany, bezkształtny. Tuż obok wygrzebali obu synów, splecionych z sobą w uścisku, stężyłych na kamień.



— Piąci ik sło wcora — rzekł Gał — kasi jesse musom być dwa.

Grzebali dalej. Zimne słońce wyniosło się w górę. Świat skrzył się w słonecznej żarzy; wysokie, zimne, niebieskie niebo patrzyło w milczeniu i obojętnie na ich trud. Przekopywali tunele. Gał, samojeden, podnosił i dźwigał pnie, wygrzebywał i spychał wanty — daremnie. Około południa poniechali pracy.

— Musom być kasi inendyj.

— Musi być, ze przizostali na zadku i tam ik zajeno.

— Haj!

— Kabys ik haw naloż w tym marasie.

W milczeniu ułożyli równo na ziemi odkopanych, przykryli strzępami odzienia, zebrali sprzęt i ruszyli ku wsi. Na lawinie pozostał Klimunt Gał i patrzył za nimi. Tkwił tam ogromny jak jodła, że chłopci jakoś szparko przyśpieszyli kroku, aby jak najprędzej znaleźć się daleko od tego straszliwego miejsca i ponuro uśmiechniętego człeka.

Nazajutrz, w wielkanocną niedzielę, posuwał się hawiarską drogą tłum chłopów. Na przedzie szła stara Ciulaczka, której syn leżał jeszcze pod lawiną. Siwe włosy świeciły w ciepłym słońcu jak srebrne. Pomarszczone, zwiędłe ręce kurczowo ścisnęły na piersi chuścinę. Wargi mamląły, mełły, żuły od wczoraj jedno i to samo:

— Józus... mój Józus...

Wlokła się za nią Marusarka, podpierana przez swego chłopca, milcząca i dostojna w niemym bólu.

Sobczykowa, która straciła w lawinie wszystkich żywicieli, męża i dwu synów, nie miała sił opuścić chałupy. Ostatni jej i najmłodszy szedł w gromadzie, milczący nieufnie spozierając spod brwi. W ręce trzymał kawał moskala, który od czasu do czasu łamał ostrymi jak u łasicy zębami. Chleb ten zapracował ojciec, leżący tam na śniegu, ze zgniecioną piersią. Za tłumem, który mienił się w wiosennym słońcu barwami świątecznych szat, ciągly gnatki powożone przez starych chłopów, a za nimi kuśtykał wolno, samotnie Rysula, mały, niski chłop, wiecznie błędzący po górach człeczyna, opętany manią poszukiwania skarbów.

Cichy gwar niósł się wśród gromady. Wiosenne słońce grzało dostatnio, doliną stały kopliny, czarne od pyłów naniesionych wiatrem. Nad potokiem na cieplicach nikła zielona trawka radowała zmęczone zimą oczy. Fioletowe kielichy krokusów ametystowym łanem kładły się na garbie Smytniej. Dzwonił w nie cichy, kwietniowy wiatr, pachnący wilgocia i przeczuciem idącej wiosny. Świerkowe lasy straciły chorobliwą zimową żółtość. Najbujniej, najhuczniej budziły się do wiosennego życia — wody. Niosły się dnem doliny szumne, srebrne, huczące, w białej jak śnieg pianie. Przeskakiwały brązo-czarne, oślizgłe żabice spływając w głębokie baniory, w których zacichały na chwilę przeświecając szmaragdem, granatem i opalem. Płynął za nimi powietrzem mały pluszcz, ptaszek wesóły i żwawy, nurzając raz po raz w wodnym bełcie swe ciało. Poza nimi dźwigały się pod niebo białe turnie,



obrzeżone czuprynami lasów, spękane, patrzące w dolinę czarnymi oczodołami grot. Od Smytniej weszli w głęboką jeszcze zimę. Objął ich cierpki chłód lasu i tajemnicza mroczność. Zbliżali się ku miejscu trwogi. Na widok pobożowiska, jakie pozostawiła za sobą lawina, ludzie umilkli. Z lękiem patrzyli na zwalony las. Kiedy wreszcie zoczyli trzy szare postacie, otulone cuchami, leżące niemo i w bezruchu na śniegu, padli wszyscy na kolana. Wbili oczy w ziemie śmiejąc spojrzeć w twarze umarłym. Ponad cichość i szum wód słyszeć było jedynie żalosne wołanie Ciulaczki:

— Józus... mój Józus...

Tak trwali. Po chwili dopiero zauważyli, iż na szczycie zwału stał Klimunt Gał, młynarz ze śrybelni. W białej koszuli, na której błyszczała w słońcu wielka, srebrna spinka, wsparty na ciupadze, patrzył czarnymi, przenikliwymi oczyma w tłum. Na ustach jak zwykle błąkał się zły uśmiech. Mierzył ich wszystkich oczyma, jednego po drugim, aż wbił oczy w Rysulę. Chłopina skulił się w sobie, zmalował jeszcze bardziej i zmięszał się nieznacznie z gromadą. Wtedy Klimut Gał zesunął się z lawiny i zniknął.

Tłum zakrzętał się około umarłych. Zesztywniałych jak kłody znoszono na gnatki okrywając samodziłowymi kocami. Konie strzygły uszami i chrapały. Inni łopatami jęli kopać w śniegu dukty. Ciulaczka, siedząca pod smrekiem, z czołem opartym na dłoni, przez której palce przeciekały srebrne włosy, patrzyła martwo na ruch i skręt

ludzki. Zamglone oczy wbiła w lawinę, sine usta szeptały... szeptały bez przerwy.

Ludzie krzatali się tak beznadziejnie kilka godzin. Zrozumieli wreszcie, że trud ich jest bezowocny, do reszty odebrał im energię i chęci Gał, który znów stanął milczący na lawinie. Poszeptali chłopie ze sobą, zabrali sprzęt i podeszli do Ciulaczki.

— Pocie matko dudom — rzekł stary Kośla. — Nie damy rady. Trza będzie pockać, jaze słonko śnig wytopi, to sie sami nańdom.

Wstała milcząc, popatrzyła w stronę ornackiej bani i pogroziła jej uwiedłą dłonią. Potem poprawiła chuścinę na sobie i ruszyła za innymi. Marusarka, która cały czas milczała, utraciła w chwili odejścia wszelki odpór. Gdzieś spod samego serca uderzył w las krzyk przenikliwy i ostry:

— Dziecie... moje dziecie! ka moje dziecie? Sukojciez, ludzie, dobrzy ludzie, sukojciez moje dziecie! — Chwiana okropnym krzykiem, chwyciła się oburącz drzewa, pod którym stała, i biła głową w pień jęcząc i wyjąc. Oderwali ją siłą i ponieśli znów sztywną i zmartwiałą ku gnatkom.

Popielił się świat mrokiem, kiedy dotarli do Sobczykowego osiedla, gdzie ułożyli umarłe.

Na białe, zamarłe w śniegach i lodach, Tatry wpłynął zwolna czarny wał halnego wichru. Uderzył z mocą w doliny i duł do umęczenia. Huczały lawiny, odkrywała się naga ziemia, szła wiosna. Wreszcie poczerńniał Błyszcz i Bystra. Żółciły się zdymiska na grani. Jednego dnia zeszedł do dziedziny Rysula z wieścią, iż Gał odnalazł Józka Ciu-



łącza i Marusarza Jędrka. Ciulaćza znaleziono w pozycji stojącej, jak obejmował drzewo, i tak się ostał zasypany. Marusarza zaś tuż przy potoku, nadzianego na konar smreka jak na pal. Zabrano ich w doliny. Od tej wiosny hawiarska łopata nie uderzyła w caliznę Ornak. W ciemnym lesie pod Pyszną, w napół zawalonym młynie ostał Klimunt Gał przy starej śrybelni.

Kilkanaście sążni nad dnem potoku, ku zachodowi, czernił się otwór śrybelni jak lisia jama. Wąski i niski, prowadził w głąb sztolni, kutej w kwarcycie. Nieszeroki korytarz wejściowy rozdzielał się na dwa ramiona, rozwarłe ku południowi i północy, ku komorom, w których ongiś łamano kwarcyt srebronośny i odwożono na takach do młyna. Południowa komora, obszerna i wydajniejsza, zawaliła się dawno, grube na chłopa stemple powyginały się i połamały, strop zapadł w próżnię wysokim lejem żwiru i kamieni, przez które przesączała się wolno, z cichym szelestem woda. Zalewała dno komory przeciekając do potoka. Pozostał dostępny jedynie przedsionek tej komory, gdzie trwały jeszcze stemple, obrosłe pleśnią i grzybami. Szła wieść, iż były w tej komorze maszyny dziwaczne, mielące — a powiadano, że nawet pomnażające srebro. Klimunt Gał wiedział, iż były to zwyczajne żarna, na których mielono drobnicę, większe zaś bryły odsyłano do młyna. W przedsionku tym powietrze było ciężkie i zatęchłe. Bezustannie słychać było szmer

wody i osypywanie mialu i żwiru. Sztolnia była umarła. Na północ głęboko biegły komory białe i chłodne, mieniające się przedziwnie w świetle kaganka. Stemple stały tu jeszcze zdrowe i mocne dźwigając ciężki pułap. Posuwanie się wyrobiska znaczyły na ścianach sadze kaganków i koryciska świdrów, wierzących caliznę dla odstrzału. Na dnie pierwszej komory walały się resztki sprzętu, połamane kilofy, zardzewiałe, czerwone łopaty, przegniłe, rozpadające się pudła tacek, skorupy i łachy, pozostałość po hawiarzach. Inne były puste, milczące. Gdzieniedzie czerniał wypalony sadzami napis na ścianie, zamierzchły rok lub tajemnicze znaki, dziś — pozbawione zrozumienia.

Kiedy Klimunt Gał wśliznął się do tych komór, powitało go trzepotanie roju nietoperzy. Ostry przenikliwy ich wizg przeszywał powietrze. Oslaniając światelko dłonią posuwał się, pochylony, pewnym krokiem ku ostatniej komorze. Wejście do niej było wąskie, podparte słupem dno zalegał żwir i miał jakby nowego wyrobiska, u końca zaś kopał się stożek piargu aż pod strop zawalając zupełnie dalsze dojścia. Gał powiesił kaganek na stemplu i jał łopatą odrzucać osypisko. Zsypywało się z szelestem na dno komory. Stożek, odrzucany potężnym zamachem ramienia wielkoluda, malał, aż wreszcie pod łopatą głucho zadudniła ziemia. Kopacz podniósł się i wyprostował grzbiet ocierając z twarzy kroplisty pot, wywołany zaduchem miejsca. Zdjął kaganek ze słupa i na palcach przesunął się z komory ku wejściu. Była noc. W wąskiej szczelinie otworu ja-



skrawo świeciły gwiazdy nad zwichrzoną czernią lasu, potok gwarzył po kamieniach. Długo i czujnie nasłuchiwał. Wrócił wreszcie do sztolni, uklęknął nad odkopanym miejscem i łomem podźwignął skrzyżał, leżącą na dnie. Odwalił ją w bok, w świetle kaganka błysnął metal. Duża, ocembrowana kamieniem, jama pełna była bryłek i sztabek srebra. Srebro poczerniało z wierzchu, pokryło się jakby mgłą ciemną, gdzieś tam tylko przeświecało zdrowym, jasnym blaskiem. Z boku na srebrze leżał czarny kociołek, w jakim warzy się bryjkę, przykryty serzynką. Podniósł płótno do góry. Kocioł pełen był szczerozłotych talarów i drobnych klejnocików. Srebra było ponad trzy cetnary, złota do czterdziestu funtów. Skarb!

Kłęcząc nad tym skarbem trwał w bezruchu, rozkoszując się jego blaskiem. Grubymi palcami pieścił talary, niezdarnie brał do ręki wielkie brosze, sadzone kamyczkami, guzy szlacheckiej odzieży, zapony od czap. W cichości sztolni coś trzasnęło. Owionął mu skroń jakby czyjś oddech. Gał zerwał się na równe nogi trzymając w ręku ciężki łom. Pełne wargi podniosły się do góry jak u psa, błysnęły kły zębów.

— Tuś! — warknął patrząc w ciemność.

Odpowiedział mu szelest wody, płomień kaganka chwiał się i dygotał jak w lęku.

Poza tym trwało znowu ciężkie milczenie. Trzymając w ręku kaganek z łomem w dłoni, oświetlony czerwonym płomieniem, nasłuchiwał długo. Zdawało mu się przez chwilę, że jakiś cień wionął w głąb

korytarza. Posunął się za nim, aż do wylotu pierwszej komory, i schylił się nisko nad ziemią. Wiecznie czujny, ilekroć wchodził lub opuszczał srybelnię, sypał u wejścia do komór popiół. Szlakował teraz pilnie; na popiele widno było jedynie jego własne, nie na ludzką miarę stopy. Wrócił ponownie do skarbu klnąc:

— E, stryla ci do boku. Łazis? Fciolbyś mie zasuć, bestyjo, jako jo tobie. Dy jo nie taki postrachany. Łażze se jako fces. No nima z tobie nic jacy ziem.

Spokojnie włożył do torby kotlik ze złotem, do drugiej ile zdołał dźwignąć srebra i z tym ciężarem posunął się ku wyjściu. W sztolni monotennie świergoliła woda. Po wielokroć nawracał przenosząc skarb do izby. Puste miejsce zawalił skrzyżał, zasypał, zasul piargiem i po raz ostatni odwrócił się ku komorom przy wejściu nasłuchując.

Zewsząd otaczała go gęsta ciemność i cisza. Gdzieś w głębi stęknął strop.

— Stemple gnijom, bezto sie ziem z wirchu suje i suści. Som cas uciekać — pomyślał.

Noc nasycala się chłodem rosy, w rosie gwiazd kąpały się świerki na uboczy, potok wołał po nocy przedziwnymi głosy. Jasna smuga światła padała przez błony okien na wodę czarną, śpieszącą w doliny, i nagle oslepla, stłumiona zawarciem okiennicy. Ciemna sylwetka młyna wsiąkla w noc.

Gał zepchnął grudy i sztabki srebra do skrytki w podłodze i przesunął na to miejsce wielką bekę kapusty. Na chwilę zniknął w komorze i wyniósł



szy z niej obońkę z palenką, usiadł przy stole i natoczywszy płynu do mętnego szkła — wypił.

Na nalepie płonął ogień, po ścianach błdziły wielkie cienie, ścigające jaskrawe odbrzaski watry. Kowalski miech, zanurzwszy ryj w popiele, zwiślał zakurzonymi fałdami, wytehnawszy z siebie ostatni zmęczony dech. Na tej nalepie Klimunt Gał wytapiał przez wiele lat na własną rękę srebro z rudy dmuchając mieszyskiem w węglowy żar. Srebrne, błyszczące łyzy metalu spływały wątłym strumyczkiem zastygając w gąbczaste, brudne grudy. Ciężkie kamienie grzechotały mieląc kwarcyt wydarty ciemności ziemi, męły bez przerwy obojętne kamienie. Sam już nie wiedział przez ile lat i wreszcie — po co?

Wódka, pędzona ze żrałych węgierskich śliw, uderzyła mu gorącym oparem do mózgu. W skroniach pulsuje, przelewa się przez żyły ciężka i gęsta krew. Świat rzeczywisty odchodzi sprzed oczu, giną osmędzone ściany młyna, barłóg, nalepa, schówek z „dobrem“, własne bytowanie. Pijany zamęt myśli przesuwają w nagłych skrótach obrazy i postacie żywe i bliskie. Zaludniają pustkę, schodzą skądś z daleka, z głębin pamięci, namacalne, uchwytnie.

Pije i widzi, że poruszają się swobodnie, gestykulują, wciągają go w pogwarę o sprawach jakichś...

...idą razem z Andrysiem Bilajem z Koprowej ku Zaworom. Obaj jednego wzrostu i siły, starczyli za całą bandę. Nosiły ich nieumęczone nogi od Tater po Żywiec, Kokawę, Żylinę, Prybiline, Bardyjów, Preszów, Beskidzkimi groniami, Fatrą, Matrą,

plajami, zapadłymi dolinami, drożynami, wijącymi się wśród lasów i pustek, zbójnickimi przechodami, przez turnie, nad którymi się ino orły ważą, w pustkach, kędy niedźwiedzie zalegują. Śledzili — sami nieuchwytni — leśnicówki, bogate gospody, dostatnie gazdówki, plebanie, szlacheckie dwory. Spadali cicho i nagle jak wilcy na ludzki bezpieczny sen rabując z rozważą, obezwładniając ciosem w ostateczności, w zaciekłym, groźnym milczeniu. Klucząc wycofywali się z dobrem w krainy górskie, gdzie jeno kupą ważyli się zagładać dworscy hajducy, konni pandurzy lub uzbrojeni hajnicy. Ze straszliwym uśmiechem wzgardy patrzyli w przerażone twarze, nie litowali się nad niemą rozpaczą, krzyk dusili i wtłaczali w gardziele jednym uchwytem garści.

Talary złote i srybelne brosze, zapony i łańcuchy ciężkie z kutego złota, korale, perły wbijali jak śmieć w proste, juhaskie torby. Bywało tak, że kiedy wkraczali do izby, ludzie bladzi z dobrej woli otwierali skrzynie i skrytki i oddawali wszystko dobro drząc o życie, nie ośmielając się na żaden gest obronny. Nie zabawiali nigdzie ani chwili ponad potrzebę, nie pili, nie tańcowali po karczmach w cudzej stronie, nie przechwalali się wśród obcych dziewczek siłą lub urodą. Wiedzieli już, że zdrada mieści się w samym człowieku, w jego chuciach.

Zbijali każdy w innym celu. Józek Dziaduś dla hyru, dla przetopienia złota na śmiech, na muzykę, na taniec, w swojej dziedzinie, swojej wsi. Stroił i obwieszał złotem Bronkę Kojsównę, stroił ją je-



szcze bardziej nutami, które dla niej jedynej układał. Nutami, które śpiewali młodzi chłopcy po wsiach, kolibach, przy króceniu drzewa, nutami, o których się mówiło: Józkowa! Andrys Bilaj zbijał dla włóczęgi. Wiecznie głodny zmiany miejsca, wrażeń, ludzi, sam pochodzący gdzieś z głuchej wsi od Murania, stowarzyszył się z nimi, zawsze skorymi do długich i tajemniczych pochodów, trwał w przyjaźni z Józkiem, w przyjaźni męskiej, milczącej a tkliwej. Nigdy nie nasycony jego muzyką, siedząc przy wiatrze zapamiętywał się przy muzyce aż do niepamięci. Czasami zrywał się i tańczył w ciasnocie szałasów krzesząc nogami iskry z wiatru, blednąc na twarzy, aż padał na cetynę goniąc ostatkiem sił i tchu, z uśmiechem najwyższej ekstazy na ustach. Złoto-dobro miał za nic, nie dla niego żył. Żył dla życia, dla użycia szerokich przestrzeni, wstrząsających przeżyć, nadludzkich wysiłków i dla przyjaźni.

Klimunt Gał przystał do nich, pociągany chęcią zdobycia złota, złota, jak największych ilości złota. Przyjęty został dla niepospolitej siły i zdolności milczenia. Milczał zawsze i wszędzie, jeżeli mówił, to sprawy najpotrzebniejsze, jeżeli rozmawiał — to tylko z sobą. Pod białym i szerokim czołem gorzał płomień wiecznej pasji zdobywania dla jednej jedynej potrzeby — potrzeby posiadania pieniądza. Dopóki chodzili spolem, nie przetapiał swej pasji na sny o gruncie, chałupie, majątku wyrażonym morgami, nogami bydłecymi, polanami i lasami.

Zbijał dla siły, jaka tkwiła w pieniądzu i dla wyzwolenia sił, jakie tkwiły w nim.

Oszałeli, kiedy zdmuchnięto im zdradziecko jasny płomień życia Józka Dziadusia, towarzysza najmilszego, strzelca nad strzelce, muzykę, gadułę, barda ich zbójeckiego hyru. Oni — Bilaj i Gał byli straszliwą siłą, uderzającą samodwa we wszystko, on był sprytem i rozumem ich spółki. Bezinteresowny do lekkomyślności, śmiały śmiałością młodości, szumny wspaniałą urodą, był cały muzyką, pieśnią i szaleństwem. Kiedy uderzali z nim, zdawało im się, że idą na zabawę, na tańce. Po znoonej nocy, umęczeni kluczeniem do utraty tchu, mogli jeszcze godzinami słuchać jego muzyki i pieśni, w której odtwarzał ich przeżycia. Szalała w nim bujna młodość jak halny wiatr.

Wracali wtedy Koprową beztrósko, nie ze zbijania a z łowieckiej uciechy z Krywania, kędy kozy kerdalami się pasły na marchwicy, na upłazach. Szli ku szałasowi w Kudłatej Grońce, przedwcześnie opustoszałemu z powodu niedźwiedzia, który całe lato owce a nawet woły bił. Szli pewni, bezpieczni. Tam ich hajnik Sliva z towarzyszami zdradziecko z zasadzki strzałami zasypał. Józek — postrzelony — padł w wysokie łopuchy, oni uskoczyli za drzewa, za hrube koprowiańskie smreki, ostrzegając się samodwa do zmroku. Pomiędzy nimi leżał ukryty w łopianach Józek, nie wiadomo zabity czy ranny ciężko. Czarna noc rozdzieliła walczących. Mgła cicha i ciemna wpłynęła w gardziel doliny i zamuliła cały świat. Wtedy podpełzli ku



Józkowi. Żył jeszcze. Podnieśli go na ręce zasłoniwszy usta, by nie jęknął, i zwolna wycofali się w las, znikli w gęstwie nie przejranej. W mozole nawet nad ich siły, wynieśli go w Rycarowe i złożyli w kolibie na cetynie. Dychał. Oczy miał zamknięte, długie jak dziewczynskie rzęsy rzucały głęboki cień na policzki, blade i pozbawione krwi. Ręce o smukłych wąskich placach, ręce muzyka, bezustannie strzępiły cuche, którą go okryli. Jedna kula rozbiła biodro i weszła gdzieś w wątrobę, druga przeszła płuco i wyszła pod łopatką. Krwawa, pęcherzykowata piana ciekła z ust, wraz z rżącym oddechem. Zatkali ranę płucną mchem i siedzieli nad nim w milczącej, straszliwej, bo bezsilnej żałości. O świtaniu Józek jęknął, otworzył oczy i patrzył dokoła jasno, przytomnie.

- Ka my som?
- W kolibie w Rycarowym.
- Zdrowiecie?
- Zdrowi!
- No i dobrze! Jo juz gotów!

Milczeli. Straszliwie powoli wlokły się następne chwile. Józek walczył o oddech, okropny ból, idący od boku ku krzyżom, mdlił. Wreszcie umierający skinął ku nim dłonią. Pochylili się nad nim, że się ich warkocze tyłtały w krwi. Wyszeptał z trudem:

— Mojom cenść... dacie Bronce... Kojsovej... pa-sa nad Jarońcem na Kopce... wicie ka... Prziśięgnijcie.

Złożyli wskazujące palce na krzyż. Ranny mo-

cował się długo z własnym językiem, który mu jakby w ustach puchł i wypełniał je całe. Przemógł bezwład po raz ostatni:

— Bydźcie... bydźcie zdrowi towarzisia... sytk... a tyj bestyi... Slivie odpłaćcie... za mojom...

Szeptał już ostatnim tchem. Błękitny dym watry wyzłocił się w pierwszym promieniu słońca. Mgły, skołtunionie i zbite, różowiały i wsiąkały w lasy. Po kosówkach pozywały się dźwięcznie okowiaki i siwarniki. O rannym słońcu Józek skołał. Wykopali mu grób pod limbą i ostrożnie ułożyli go w nim na mchach mokrych, chłodnych, rosistych. Ułożyli przy boku ciupagę, zatknęli za opasek pistole, na piersi jego duszę — jaworowe złóbczaki. Zasypali czarną ferecynową ziemią, ubili do twardości i wtoczyli na ten grób wielką wantę. Postali chwilę, nałożyli kłobuki i poszli ku Tomanowej. Z Tomanowej granią przesunęli się ponad Suchą Dolinę, popod Smreczyński Wierch, w Dolinkę.

Były tam turnie sterczące ponad ciemny las, które pokruszył, połupał czas i mrozy. Szcerzyły się czarnymi szczelinami; wiało z nich lodowate powie-trze. Sobie tylko wiadomym przechodem, po trawkach i progach, dotarli do niewysokiego styrbnego kominka. Osłaniał go ogromny, rozłożysty smrek. Wyrastał u stóp kominka z rudego podłoża, zasypanego igliwem, kryjąc meznacznym otwór groty nad kominkiem, zamaskowany nawieszka nachylonej skały. Znikli w wąskim otworze. Andryś skrzesał ognia, zapłonął hawiarski kaganek. Wpełzli na brzuchu niskim korytarzem w głąb. Otworzyła się



komora niewielka, wysoka na chłopa, zalana białym mlekiem wapiennym, olśniewająco biała. Dno zawalone było kamieniami oszkliwiałymi wapienną glazurą. Leżały tam kości i żebra wielkiego niedźwiedzia, tak wielkiego, jakiego nigdy nie widzieli w górach. Wrosły wszkliwo na głucho. Nie wiadomo czym naniesione gałęzie i chraść zalegały boki. Pogrzebali pod zetlałą chraścią w mokrej glinie i wywlekli spory kotlik. Wysypali jego zawartość na serzynkę. Zajarzyło żółtym blaskiem złoto, zamigotały w świetle kaganka kamuszki rozmaite. Patrzac na nie mruknął Andrys:

— No to my som juz ino obidwa.

Pewną dłonią jął rozdzielać złoto na trzy party.

— Cos to konos? — zapytał Klimunt.

— Zje, dy dzielem la Bronci jako fciol mieć.

— Na co? Coz dziwce po tym? Ani się nie sprości, bo kie weźmie mijać, sytko się wydo. Dy przecie miej rozum.

Andrys spojrział Klimuntowi ostro i przeciągle w oczy:

— Jakaz w tobie, chłopie, dusa? Dy on jesce moze ciepły a my zaprzysięzeni, ni?

Uchylił mu oczu i mruknął: — Jako fces!

W milczeniu zagrzebali resztę w ziem groty, przykryli chraścią i zeszli na dół na polanę. Tu się rozstali.

— Pódem wściekłym żlebem na Kopke ku Bronci. Ona ta jesce krowy pasa. Posiejdze na sałasie, zakiela sie nie wrócem. Ukwalimy, co jako kany skrony tego Slivy, wis?

Poszedł. Ciężko mu się szło. Może po raz pierwszy w życiu zadrgał, gdy mu pod nogami zbeczał ruszony rogacz.

— E best! — zamruczał. Ciągłe brzęczały mu w uszach Józkowe złóbczaki, szła za nim jego ulubiona nuta:

— *Smutno je ptoskowi...*

Zza Upłazu wyszedł wielki czerwony jak krew księżyc. Wyniósł się prędko na niebo i zbieleł zalewając górski świat trupim blaskiem. Srebrne pasma kładły się pomiędzy pniami na mchach, majaczyła przez drzewa siwa od rosy i księżyc polana. Niemal na tarczy księżyca tkwił samotny czarny szałas. Przez szpary w tramach przeświecała watra rubinowym światłem. Cichość wielka leżała nad polaną. Wreszcie odezwał się pies, zaturlikały dzwonki krów, skrzypnęły w szałasie wrota. Na tle nieba zarysowała się wiotka postać dziewczęcia w białej koszuli o krótkich rękawach. Czarne warkocze spływały przez piersi. Kiedy Broncia Kojsówna poznała samotnie stojącego przed nią Andrysia, bezwiednie dotknęła ręką serca. Stłumionym szeptem spytała:

— Ka Józek?

Andrys milczał. Przypadła do niego blisko, że słyszał łomot jej serca.

— Pobity? Zyje? Umarty?

Milcząc wewiódł ją do szałasa. Podcięło jej nogi, że musiała usiąść na pieńku przy watrze. Wąska,



blada twarz była jak martwa. Krzykła rozpaczliwie:

— Mówcie!

Opowiedział jej przeżycia tej jednej doby. Słuchała milcząc, po twarzy biegły łzy jedna za drugą.

— Daliście go zabić... daliście go zabić... szeptała bezmyślnie.

Chwycił ją za dłonie, przerażony jej bólem.

— Z nienazdania się stało! Mogło trafić mnie albo Klimunta. Nie rozumis temu?

Ucichła. W milczeniu jął rozsypywać frombije torby. Wysypał przed jej bose stopy wszystko Józkowe dobro, złote talary, klejnociki, korale. Nie widziała. Była z bólu ślepa i głucha na wszystko. Dotknął jej ramienia.

— Odkazował coby tobie oddać. Sytko co jego!

Popatrzyła na złoto. Wzięła w garść talary i jęła je przesypywać przez palce. Smutny uśmiech wypłynął na usta. Bosą stopą kopnęła stertę złota. Potoczyły się talary, brosze w żar watry, skry uderzyły pod dach.

— Coz mi to płaci — krzyknęła dziko — kie on jest umarty! Coz mi to płaci sytko!

Zaniosła się wreszcie strasznym bezradnym szlochem, biła rękoma powietrze jak tonąca. Ośleple oczy patrzyły w pustkę idących dni, oszalałe rozpaczą i żalem.

— Józus! Józus! — wypłakiwały śliczne usta.

— Ka twoje złóbcaki, ka twoja nuta?

Poczuł Andrys, że jest tu już niepotrzebny. Cięż-

ko mu się szło do niej, jeszcze ciężiej odchodziło. Porosie szło za nim wołanie osierociałej Bronki. Nawet na jego siły był to dzień za ciężki. Na dobitek z dna duszy wypłynęło odbicie Klimuntowej twarzy, w momencie podziału złota. Złowroga, zachłanna, dotąd nieznana. Czarne skrzydło przecucia musnęło skroń. Zastał go uśpionego na szalasię. Zwalil się przy nim, wyzuty ze wszystkich sił.

Pozwolili czasowi płynąć nad grobem Józka, aby uśpić czujność hajnika Slivy. Oddzielili się od tej sprawy długą, ciężką zimą.

Kiedy pierwsze halne wichry uderzyły w Tatry, wichry wiosenne, kiedy stanęły kopliny, pomknęli dookoła przez Orawice ku Ważcu. Pomykali nocami czujni, bacząc by nie pozostawić po sobie śladu. Dotarli i zalegli w młodniku nad hajnikową chatą. Młodnik urywał się na wysokim brzegu nad polaną, na której stało obejście. Widno było jak na dłoni czarny dach obszernej chałupy z bielonymi kominami. Obejście pobudowane było w kwadrę, budynki z trzech stron powiązane z sobą w prostokąt, którego czwarty bok zamykał wysoki płot z bierwion z bramą pośrodku. Brama od dziedzińca zamykana na ciężką zaworę, podparta była jeszcze tramem drzewnym. Pod jedną ze ścian bieliły się rzędem ule. Dookoła była przedranna cichość, tylko na podkrywańskich polanach czuszikały i tulały cietrzewie. Ze słońcem obejście ożyło. Najprzód wyszedł ku oborom sługa, za nim dziewczęta, snąc hajnikowe córki ze skopcami do udoju. Skakały koło nich i lasiły się dwa psy owczarze. Hajnika nie



zobaczyli. Potem zmorzył ich sen, długi, krzepiący. Słońce stało nisko, kiedy ocknęli. Właśnie Sliva wracał do domu z obchodu starannie zamykając za sobą wrota. Silny, barczysty, z szeroką brodą opadającą na piersi, kroczył przez wyłożony skrzyżalami dziedziniec ku domowi. Po zwyczajnej przedwieczornej krzątaniu ucichło w obejściu, zmrok coraz szczelniej zatapiał chałupę w cieniu nocy. W oknie zabłysło światelko, wreszcie i ono po chwili znikło, stłumione drewnianą okiennicą. Nad Krywaniem zakwitały gwiazdy, powietrzem szła woń nagrzaney wiosną żywicy.

Cicho niosły ich kierpce. Zamajaczyli jak widma na tle wrót, bezszelestnie przenieśli się przez nie na dziedziniec. Niepewnie z pierwszego snu zaszczekał pies, zawył krótko pod uderzeniem obucha i umilkł na zawsze. Drugi oszczekiwał ich pełną piersią, zajądło. Przywarli przy dźwierzach chaty pozwalając mu ujadać. Za drzwiami zaszurały powolne kroki, pewne siebie. Szczęknęły zawory, uchyliły się dźwierzce. W czarnej ich czeluści stanął hajnik z bronią w ręku patrząc w noc, pewny że to niedźwiedź lub inny zwierz zaraz z wieczora płacze się popod zręby zagrody. Pies ujadał coraz rozpaczliwiej. Nie zdążył nieszczęsny człek podnieść broni do jagody, kiedy żelazna dłoń opłótła mu gardło miażdżącym uściskiem. Zaharczał tylko głucho zwisając jak szmata w powietrzu. Tak go włókł Andryś ku oświetlonym drzwiom izby. Niczego nie przeczuwające dziewczęta, oswojone z psimi alarmami, stały przy ogniu warząc strawę. Starsza Ul-

ka skrobała grule, młodsza Marynka mieszała coś w kotliku łyżką. Sługa Kerteś, madziar, siedział przy stole na ławie żując powoli chleb. Tego ogłuszył od razu Klimunt, skoczywszy od drzwi pod ścianę i uderzywszy obuchem w głowę. Dziewczęta zamarły w strasznym przerażeniu. Do izby wkroczył Andryś wlokąc za sobą nieprzytomnego Slivę. Żelazny uścisk nie zelżał, usta nieszczęsnego człeka były rozwarłe, język na wierzchu, oczy cofnięte do tyłu świeciły bielmem białek. Starsza Ulka jednym skokiem dopadła Andrysia. Nim uderzyła trzymanym w ręku nożem, pchnięta łokciem w pierś, zatoczyła się i byłaby wpadła w ogień, gdyby nie siostra, która ją podtrzymała. Stanął przy nich Klimunt groźny, milczący.

Spokojnie i starannie wiązał obu mężczyzn Andryś. Najpierw nogi, potem poza plecy przeciągnął sznur ku rękóm, zniewolił je mocnym opłotem, wreszcie podciągnął mocno, że stopy zeszły się prawie z dłońmi i tak ich ułożył obu pod ścianą. Wtedy dopiero odsunawszy opadłe na lica włosy zwrócił się ku dziewczętom. Maryna stała bez ruchu obejmując płaczącą siostrę; lice jej zbladło jak ściana.

— Handrusi... — cisnęła im ze wzgardą.

Uśmiechnęli się szeroko, pobłażliwie.

— No, dobrze że warzycie strawę — rzekł Andryś — głodnyk co cud — dodał idąc ku dźwierzom, które zaparł.

— Dawać jeść!

Nie ruszyły się od ognia. Wtedy podszedł ku nim



jak zwykle powolny, spojrzał im groźnie w twarze i rzekł:

— Nie wagujecie się boczyć! Jo ta z dziwkami nie rad narabiam, ale nie trza mie ozeźlić, bo... Rychtujecie jadło i palenke. Ka kumora?

Obezwałdniona spojrzeniem ogromnego chłopca, Marynka oderwała się westchnawszy od paleniska i skierowała ku niskim drzwiom komory.

— Bier latarnie! Fcem widzieć, co tam jest je — rzekł Andryś. Posłusznie wzięła latarnię, zapaliła świecę i poszła przodem. W małej komorze, pełnej przedziwa, płócienu, odzieży, oboniek, pości i innego gazdowskiego dobra, wisiały na ścianie dwa pistolce i samopał. Andryś pistolce zatknął za pas, samopał zaś jednym uderzeniem złamał i wygiął na progu. Marynka biernie otworzyła skrzynię.

— Biercie — rzekła.

Na zwojach płótna leżał z kraja nieduży mieczek, widno z pieniędzmi.

— Zawryj! Nie po to my haw przišli. Ka palenka?

Zdjęła z półki obonkę.

— Nieś to w izbe!

Starannie zamknął za nią drzwi komory na drewniany klucz, zakończony ruchomym, żelaznym wkładem. Jeszcze staranniej przejrzał izbę. Podniósł nóż porzucony na ziemi, taki sam wyjął słudze zza opaskę, przesunął ciężki stół ku dźwierzom, zatarasował je, obejrzał okiennice i wtedy dopiero usiadł spokojnie z boku stoła.

Sliva z jękiem obrócił się na drugi bok i otwo-

rzył oczy. Z trudem chwycił oddech. Andryś z lekka dotknął go końcem kierpca.

— Slisys mie? Cyś sie juz osatał?

— Haj — wycharczał. — Haj! Coz fciecie po mnie ludzie?

— Co my po tobie fcemy, to sie dowis hnet, zakiel pojimy. Dawajcie jadło a wartko — krzyknął na dziewczęta.

Pozbawione już wszelkiego odporu, nakryły białym rąbkiem stół jak gościom, napełniły misę warzą, postawiły przed oboma czarki i nalały palenki.

— Lejcie i sobie — rozkazał Klimunt.

Spełniły i ten rozkaz. Czystymi, nowymi jaworowymi łyżkami czerpali społem z misy jadło i nieśli powoli do ust przegryzając głonem jasnego chleba, na który patrzeli z pewnym podziwem. Napełnili ponownie czarki. Odurzonym alkoholem dziewczętom uderzyła krwista łuna do lic. Obie były urodziwe, czarnowłose, o pełnych licach i białej cery. Pięknie sklezione piersi podnosiły się wysoko w niespokojnym oddechu. Siedziały na przysuniętej do stołu ławie wbiwszy oczy w płynę. Kiedy wreszcie przybysze nasycili się jadłem i zapalili fajki, zaczęli ponownie napełniać czarki.

— Pódź haw ku mnie — rzekł Andryś do Ulki. Wstała powolna, z lekka już zamroczona. Czujnie jednak patrzyła na jego ręce. Ogarnął ją mocno ramieniem i posadził sobie na kolanie. Milcząco zagarnął Klimunt Marynkę. Czuły obie, że już tylko potulnością mogą uratować ojca. Pili pieszcząc



twardymi dłońmi ich piersi i przykładając im czar-ki do ust.

— Ludzie — harczał Sliva — śmiejcie się, puście mnie!

— Już my się tobie śmiejemy, nie bój się. Po to my haw i przišli.

— Co fcecie po mnie, co zem wom winowaty?

— Skroś tobie, gnido, siumny chłop zginon — ze złowrogą powolnością wycedził Andryś. — Jako było w Koprowy łoni, cyś już zabacył?

Slivą wstrząsnął zimny dreszcz. Zajrzała mu dopiero teraz w oczy śmierć. Zrozumiał, że nie o rabunek tu idzie, nie o złoto, nie o dziewczki, jeno że tu przyszła sama najokrutniejsza pomsta, przed którą już nie uciecze nigdzie.

— Dyciek przecie musioł — jęczał — na służbiek beł, pańskiegiok strżóg.

— Pańskiego? — zadrwił Klimunt — coż haw jest je pańskiego. Cy te kozy po graniak? Cy ponik pasa?

— Za pańskie dudki tyś chłopą dał ustrzelić, coś go ani za żywobycia nie widzioł, co ci nie zrobił nic! La pana toś zrobił! A som coś jest je? Taki som chłop jako i my, ino jacy dusa w tobie pieska, poddańska i zła!

— My cie już sprościmy na chłopą, nie bój się!

Poczuł hajnik, że nie ma już dla niego litości.

— Coż bedzecie ze mnom konać?

— Uwidzis! Ni mos się tak do cego śpieszyć. Mo-  
my cas — roześmiał się szeroko Klimunt głaszcząc  
piers Marynki.

— Córkom... córkom darujcie, dy przecie one nie winowate.

— My się ta z babami babrać nie bedziemy, telo co się śnimi zabawimy krapke.

— Zakiela zdeknies, to się uciesysz, że ci się w izbie kiesi wnuki bedom tulać.

Okropna to była zabawa. Bierne z lęku, omroczone palenką, nie broniły się. Brali sam kwiat ich młodości bez pieszczot na oczach ojca. Sliva płakał.

Nade dniem podnieśli się z ław. — Cas — rzekł Andryś.

— Już cas — odpowiedział Klimunt.

Kazali dziewczętom zabrać, co chcą, i iść za sobą. Nie rozumiały, czego od nich chcą, były jak głuche. Zagarnął je Andryś obie ramionami i rzekł do Klimunta: — Rób swoje! — a zwracając się do Slivy pożegnał go z okrutną ironią:

— Bydź zdrów, pański sługo! Skoda na tobie kuli i prochu. Taką gawiedź, jakoś ty jest je, trza wypalić ogniem, coby nie gryzła.

Z tym wyszedł.

Klimunt nazganiał do kupy, co było w izbie, łachy, przedzę, łoża, i z zimną obojętnością zgarnął z pieca płonące sajty na ten stos. Nie obejrzawszy się nawet na nieszczęsnych ludzi, zaparł izbę i szybkim krokiem podążył za towarzyszem.

Noc jeszcze stała nad ziemią. Daleko nad Krywanem niebo przybrało jaśniejszy ton przedświt. Odezwał się pierwszy cietrzew. Przedranny wiatr chłodził zgorączkowane lica. Szli szparko wiodąc



przed sobą dziewczęta. Kiedy wyszli na szczyt zrębu, poczerwieniał świat, luna płonącej chałupy uderzyła w niebo. Z daleka dochodził ich cichy trzask płonącego domu. Przystanęli, zwrócenii twarzą ku obejściu. Ulka patrzyła jak martwa. W jej wielkich, sarnich oczach odbijała się pożoga. Marynka drżała. Drobne usta wykrzywił spazm, zaczął nią targać histeryczny, nieopanowany śmiech. Harczała, wyklinała przez ten straszny śmiech:

— Zbóje! Handrusi... zbóje...

W czerwonej łunie, z rozwianym włosem, w rozchełstanej na piersi koszuli wyla, oszalała jak zwierzę.

Klimunt Gał poczuł, że taki sam śmiech poczyna mu łaskotać krtani. Zmagał się z nim z wszelkiej mocy. Ogromne osłabienie zrosiło mu czoło potem. Zdawało mu się, że jest zatruty tym śmiechem. Ogarnięty niesamowitą paniką, wyrwał zza opaska nóż i pchnął nim Marynkę w bok. Za późno pochwytał go Andrys za przegub dłoni. Kiedy spojrział w oczy Gała, zobaczył w nich ogniki obłędu. Odwrócił się od tej strasznej twarzy rzuciwszy mu jeden jedyny wyraz wzgardy:

— Babroś!

Potem zwrócił się ku lasowi i ruszył naprzód wielkim krokiem. Ponuro towarzyszył mu Gał, bezwolnie szła za nimi Ulka. Bilaj pogroził jej pięścią i krzyknął:

— Strać się stela! Hybaj duma, może ik tam zratujes!

Gał walczył z okropną mocą, która silniejsza

nad niego trzęsła nim jak liściem, plątała myśli, rozpalala mózg do bólu. Po raz pierwszy opadł go lęk. Było to silniejsze od potrzeby reakcji na obelgę. Bał się, aby w krtani nie zrodził się znowu ten straszny śmiech. Podążał za Andrysiem przecierając oczy, jakby padła na nie mgła.

Zalegli na chwilowy odpoczynek dopiero na Zaworach. Wolno żuli posiłek unikając spotkania oczyma. Klimunt pomału przychodził do siebie. Biały słoneczny dzień zabił lęk. Na jego miejsce zjawiała się nienawiść do milczącego towarzysza. Leżał pomiędzy nimi przymus milczenia i wstyd.

— Słis Klimunt — zaczął powoli Bilaj — od dzisiaj tyś mi już nie kompanija. Ja już tobie fte przeznał, kieś nie fciol Brońci wycęściować Józkowym dobrem. A od dzisiaj tyś już la mnie nie chłop nie towarzys, jacy ino babroś i zbój. Jo do tobie ani poziroć ni mogem, wis! Ozzdzielimy, co ta momy, dzisiaj wieczór, bo byś sie ty moze i do mojego dobroł, i pódziemmy ka ftory zakce.

Pokazał ręką ku Muraniowi i rzekł jeszcze:

— Hań moja strona kajsi.

Gał milczał. Znowu narastało mu w krtani łaskotanie. Poszli. Pod wieczór dotarli do turniczek nad Dolinką. Słońce skrwawiło się na turniach zachodem, wielkie obłoki płynęły niebem. Wpełzli do grotu. W milczeniu odkopał Andrys skarb i obróciwszy się plecami do towarzysza rzekł krótko:

— Dziel ty!

Niemal w tej samej chwili rozciągnął go na ziemi straszliwy cios ciupagi. Klimunt uderzył w krę-



gi szyi przecinając je wraz z mleczem. Bilaj upadł w tył. Bezwładne, sparaliżowane ręce i nogi niezdolne już były do obrony. W świetle kaganka Gał, stojący za nim, wyglądał jak diabeł z wyszczerzonymi zębami i dźwigniętymi nad czołem włosami.

— Nie bees mówił więcej „babroś“, nie bees się dzielił se mnom bestyjo wielga! Nie bees, to moje... to sytko moje...

Andrys leżał bez ruchu. Żywe jeszcze oczy patrzyły prosto w twarz mordercy. Ogromne zdumienie nad utraconą siłą życia, nad szaleństwem tego człowieka, który mu tę siłę odebrał tak podstępnie, żal za czymś...

Wyrzęził:

— Nie minies, nie minies tego dobra... nikany... nikany na świecie...

Okropne cierpienie wykrzywiło mu twarz, naprężył się — i spłynął na niego wiekuisty spokój.

Klimunt gorączkowo zgarnął złoto do torby. Podniósł się z klęczek i przekroczywszy ciało Andrysia chciał wyjść, przyciągany jednak okropnym musem pochylił się nad umarłym. Andrys jakby spał. Morderca podłożył dłoń pod jego głowę, chciał mu popatrzeć w oczy; oczy otwarły się raz jeszcze. Lepka ciecz zalała ręce Klimunta. Puścił głowę, która z głuchym łoskotem uderzyła o ziemię, i otarł dłonie o odzież zmarłego. Nabrał pełne naręcze chraści, zarzucił nią ciało i patrząc ciągle w napół zakrytą postać zaczął się wycofywać tyłem z komory. Zawadził nieostrożnie ręką o pułap, kaganek

wypadł z dłoni i zgasł, kaganek który zaświecił jeszcze Andrys. Strach pogonił go ku wyjściu. Pełznąąc w ciemności kaleczył dłonie, ciężka torba przygniatała go ku ziemi, zawadzała o skałę, złoto dzwoniło w niej, jakby talary nawet krzyczały. Wydobył się wreszcie na świat. Usiadł na trawistej grzędzie nad kominkiem walcząc z brakiem tchu.

Niebo zagasło. Chmury ocieężały i padły na turnie spływając wiotką mgłą w doliny. Umierał straszliwy dzień.

Nagle czujne ucho Gała złowiło jakiś szelest, szedł on jakby z groty. Osypał się drobniutki piarg, czarna bryłka ziemi uderzyła Gała w policzek. Krzyknął okropnie, zesunął się nie bacząc na nic z kominka w dół i pognął w dolinę. Zdawało mu się, że umarły wstał, wyszedł z groty i idzie za nim, biegnie, dudnią kroki... kroki widma.

Zasypał pamięć tej sprawy kopcem chraści i ani śladu. Zasypane, zasute... Popijał raz po raz ciężki trunek patrząc w płomień. Zwidziała mu się na chwilę w żarzy watry ta twarz. Uśmiechnął się na swój okrutny, zbójecki sposób.

— Byłek od tobie przebieglejszy, wis! bez to ja zijem a ty gnijes. Łazis? no to se łaż, dyjo ci nie broniem. Coz bees konoł, kieś już w dole kielo roków, a jo zijem. Hy?

Przedranny wiatr podniósł się w dolinie. Zaszemrały za ścianą smreki, płomień pochylił się niżej na kominie i uderzył gryzącym dymem w izbę.



Drzwi zachwiały się lekko, ława, na której siedział pijany, łupnęła. Młynarz zerwał się, błędnym okiem patrzył w drzwi. Zdawało mu się, że się odetwarły nieco, że zamajaczyła w nich czyjaś postać. Jednym skokiem znalazł się przy palenisku i porwał płonąca sajtę w dłoń. W dzwierzach nie było nikogo. Skoczył we wrota i wychynął na dwór. Jeszcze trwała noc. Wiatr szuścił w gałęziach drzew, jakby ktoś szybkimi kroki oddalał się w ciemność lasu. Pognał za szelestem, płynął za nim płomień rozżagwionej sajty jak płomienne włosy. Pijany młynarz gnał przed siebie krzycząc na głos. Wreszcie zatrzymał go zwał drzew po lawinie. Jednym sussem wyskoczył nań, wspinał się z pnia na pień, aż osiągnął szczyt zwału. Daleko nikły rąbek dnia podnosił się nad ziemią. Gał wyciągnął ściśniętą pięść ku niebu i krzyczał:

— Strać się, bestyjo! Zgiń!

Niezauważony, przejęty okropną trwogą, pomykał śpiesznie ku dolinie Rysula, który siedł właśnie na swe samotne włóczęgi.

Gonił go opętany krzyk i trzask płomieni.

Ludzka nędzota — Rysula — chromy i krzesławity, wiekuisty komornik bez dachu i mienia, śnił o skarbach. Mór, który w jednym strasliwym roku wydusił dziedziny, nie umorzył Rysuli, nędzara nad nędzarze, odebrał mu tylko ostatnią rzecz, jaką posiadał, litość ludzką. Czym i z czego żył, sam nie wiedział. Błądził bezustannie po górach

nie znalazłszy nic a zaznawszy tylko zimna, głodu i wichur. Nie raz, nie dwa oberwał się z nawisem śnieżnym, przylapany przedwczesną kurniawą w głębi gór, odpadał od ścian turnic „swojej doliny“, aż ochromiał. Wchodził w pogmatwane korytarze grot za przedziwnymi znakami i śladami. Jedyny raz natrafił na miejsce odkopane, kędy widać było wyraźnie śnieżną miedzianą w otworze, odpowiadającym kształtowi kotlika. Znalazł to w Zimnej Grocie. Ten ślad umocnił jego wiarę w skarby, w możność zawładnięcia nimi. Nie dopuszczany do społeczności ludzkiej, z powodu krostów, niesamowitości jak i gawiedzi, która go gnębiła, żył płomieniem nadziei.

On jedyny był milezącym świadkiem panicznej ucieczki Gała z turni nad Dolinką. Schodził wtedy z Kamienistej ramieniem Smreczyńskiego wierchu. Kiedy zauważył, jak Klimunt Gał umyka, przerażony szelestem piargu usuwającego się spod stóp Rysuli, zakarbował sobie w pamięci grzędę i turnię. Obniżyć się ku grzędzie nie śmiał w obawie czy nie ma tam jakich innych towarzyszy Gała. Stało się tak, że w tę samą noc odmieniła się wiosenna pogoda. W nocy siąpiło, na rano deszcz zamienił się w obfity opad śnieżny. Nie mógł tam iść, by nie pozostawić po sobie znaku. Bał się okropnie Gała. Gdy śnieg zginał, podpełznął ku turniom. Ani pod kominkiem, ani na grzędzie nie było śladu człowieka. Obszukał dokładnie miejsce i w zwiędłych trawkach zauważył błyszczący złoty pieniążek. Snać stracił go Gał w ucieczce. Nędzarzowi drgały



ręce, kiedy podnosił pieniążek. Tarł go długo o portki, aż zaświecił pełnym blaskiem. Wstrząsany dreszczem żądy, zapalił kaganek i wypełznął w otwór groty. Uderzył mu w nozdrza okropny zaduch padliny.

— Musieli hań Gał capu ostawić i nie wzieni — pomyślał. — Coby nie było przy nim niedźwiedzia — zatrwożył się. — E, dy byk go przecie wyslakował.

Przepelznąwszy ostrożnie korytarz wszedł do właściwej komory. Powietrze było ohydne, takie samo, jak w niektórych chałupach w czasie moru. Podniósłszy do góry kaganek, zauważył wzgórek chraści, spod którego wyzierały ludzkie stopy, obute w kierzpce. Z nieustraszoną ciekawością człeka samotnego podniósł chraść. Butwiał pod nią człowiek o nieznanej twarzy. Wzdrygnął się nieco na widok rozkładu i przyrzucił ciało z powrotem jak było cetyną. Potem długo i starannie obszukiwał dno komory, aż znalazł miejsce, kędy Gał grzebał.

— Spóźnił się zaś — wyszeptał z żalem. Wycofał się z groty i zesunąwszy się kominkiem usiadł na grzędzie. Rozwahał. Kasi inendyj musiał dudki schować, ale ka?

Od tego dnia stał się nieodstępnym cieniem Gała. Kiedy ten osiadł w opuszczonym młynie śrybelni i napół obłąkany pijaństwem grzebał się w sztolni na własną rękę, likomu z hawiarzy ani ze wsio wych chłopów nie przyszło na myśl to, o czym wiedział ostatni nędzarz Rysula. Wiedział więcej. Wiedział jak Gał ulegał czasami okropnym atakom szału i znalazł ich przyczynę, powiązał ją bowiem

słusznym domysłem z morderstwem, dokonany w grocie nad Dolinką. Podpatrzył, jak Gał — wracając nocą ze sztolni do młyna, — zasłyszawszy cichy szelest Rysulowych kroków, krzychał i wygrażał pięścią: — Strać się, bestyjo... zgiń...

Wyzuty z jakiegokolwiek siły i odwagi, nędzarz Rysula, stał się właścicielem tajemnicy, która uczyniła mocarza Gała słabym jak dziecko. Jął go śledzić, jak pajak omotał go siecią podpatrywań, podsłuchów. Znał jego chody od młyna do śrybelni, widział, jak rozpalał ogień na kominie, iskrzący pod oddechem miecha. Wiedział, że Gał topi srebro. Wiedział, iż poza młyn i sztolnię nie wychodził nigdy. Lata uczył się Rysula wszystkich przejawów życia i odruchów Gała. Przywykał, sam niewidoczny jak cień, do jego obłędu, i nagłych oprzytomnień. Umiał znikać na czas, kiedy Gałem targał niepokój. Znał już wszystkie zasadzki i pułapki, jakie zastawiał Gał, dręczony ustawicznym niepokojem. Nie wyszedł jednak dotychczas, gdzie ukrywa swój skarb. Ośmielił się tak, że nocą wypełznął do sztolni i przeszukał ją — natrafił nawet na skrzyżał. Zniechęcony, sądząc, że to calizna, odszedł.

Grzebanie owo zauważył na drugi dzień Gał. Patrzył długo na miejsce, gdzie stał i grzebał nieznany człowiek. Zapamiętał sobie dokładnie odciski stóp i rankiem poszedł za nimi. Odcyfrował, że błądził dookoła młyna człek niedużego wzrostu, chromy — nikt inny tylko Rysula. Śledzący — stał się śledzonym, podpatrywany — podpatrującym. Od tego dnia Gał czuł już świadomie wszech-



obecność Rysuli i stał się jeszcze czujniejszy. Nawiązał z nędzarzem okropny kontakt. Czując go ciągle koło siebie, lubił wypadać nagle z krzykiem z domostwa i biec w jakimkolwiek kierunku, wiedząc, iż Rysula będzie uciekał... uciekał w strachu. Wystarczało, by krzyczał i biegał po lesie. Zawsze odpowiadał mu gdzieś szelest spiesznych kroków. Z pasją łowcy nastawiał oklepce i przemyślnie siadła na Rysulę, maskował je tak, że jedynie równy jego przemyślności instynkt Rysuli ostrzegał go przed nieszczęściem złapania się lub utraty nogi w oklepcu lub przed niechybną śmiercią z rąk rozjuszonego olbrzyma.

Były jednak momenty zupełnej przewagi Rysuli nad Gałem, a to w dni lub noce pijaństw Gała. Odpłacał mu wtedy z nawiązką wszystkie swe trwogi i lęki. Ośmielał się wtedy podchodzić pod sam dom potrącać dzwierze młyna, skrobać w ściany, wywołując tym ryki szalonego lub długie przeplatane śmiechem monologi. Zdarzało się, że udręczony do ostateczności Gał wypadał w las z płomieniem w dłoni, kogoś przywoływał, wyzywał, krzyczał, aż strowożony Rysula przysiadła na ziemi.

W ową noc, kiedy naocznie widział jak Gał przenosił swe bogactwo, jak potem pił okropnie i wreszcie doprowadzony do szaleństwa stukaniem, skrzypieniem i dreptaniem Rysuli, wypadł z krzykiem i płomieniem w las, nieszczęsny Rysula uciekając upadł i złamał dwa zębra, które wbiły mu się w płuca sprowadzając na niego długą i ciężką chorobę.

Po raz pierwszy od wielu lat zapłakał. Widział oto żywymi oczyma, gdzie leży skarb, podpatrzył, jak przywalony beką zniknął, trzeba było jeszcze niewiele cierpliwości, aby nim zawładnąć, a tu... Gorzkie łzy które wyciskał ból i żal, bruździły mu twarz. Powlókł się niemal na czworakach plując bezustannie krwią i tak dotarł do Niżniego Ornak. Omal nie potargały go psy, widząc nieszczęsną, raczkującą, zlachmanioną stworę. Wybronił tę kupę nieszczęścia baca Jano. Z odrazą, lecz i z bacowską wprawą opatrzył nieszczęśnika i złożył go w chlewie na słomie. Zrazu, kiedy jeszcze gorączkował, kazał go honielnikom poić kwaśną serwatka. Śmiali się grubo chłopci kiedy słyszeli jego bredzenia o złocie i srebrze. Na miejscu złamanych żeber uformował się wielki guz, który pod okładami pękł. Zaczęła się z niego sączyć cuchnąca ropa. Wtedy baca kazał wlewać choremu w usta odrobinię sadła świstaczego i niedźwiedziego. Oddech zelżał. Na to miejsce przyszło drugie zło, krosty zaczęły czerwienieć i jątrzyć się tak, że chory bezustannie tarzał się na ziemi. Cuchnął okropnie. Posilek kładziono mu na progu chlewa jak zapowie-trzonemu. Wreszcie przyszedł tyfus.

Klimunt Gał wyczuł nieobecność Rysuli. Błądził około młyna i szukał starannie jego śladów, pohukiwał nad słuchując, czy nie zaszeleszczą gdzie strwożone kroki. Cicho było dokoła. Jakby byli związani jakimś wspólnym losem — zaczęły i Gała nachodzić już bez pomocy Rysuli widma w biały dzień. Pił bez przerwy. Stapiania i szmery za-



mieniły się w namacalną, żywą wizję Andrysia. Biłaj wchodził i wychodził z izby milczący, dziwny. Najczęściej siadał na bece, kryjącej pod sobą skarb, i patrzył. Długo pilnie patrzył w oczy Klimunta. Wreszcie nadeszły dni, w których zaczął mówić.

— Nauzyłeś się dobra — kpił bezlitośnie. — Kaz twoje majontki? ka gront? chałupa? zona?

Klimunt nie odpowiadał — pił. Andrys chodził dookoła niego i znikał.

Czasem zjawiali się obydwaj z Józkiem. Coś do siebie szeptali długo, tajemniczo patrząc w stronę Gała, pokazywali go sobie i na palcach wychodzili w noc.

Pozostał jedynie głos ten sam, znajomy, powolny:

— Nie minies.. nie minies tego dobra...

W momentach rzelicznych otrzeźwień przemysliwał swój ostateczny plan. Postanowił wynieść i zakopać swój skarb, gdzie go nie znajdzie i nie wypatrzy nawet Rysula.

— Nie uzyłek jo, nie uzyje nik na świecie...

Las huczał jak organy. Z jurną mocą spadał nań wicher, niesiony na skrzydłach białych obłoków z południa, zza grani, gorący i wonny. Niósł się z poświstem, jak młody harnaś z wierchów na wierchy, przesłakiwał z rozmachem doliny wyłoczone jesiennym słońcem, wpadał w czerń borów, mierzwiąc lby drzew podmuchem szerokim, moc-

nym. Kiedy zacichał, odpowiadał mu z lasów, z najtajniejszej głuszy srebrzysty podźwięk potoku, płynącego jak wiatr po żabicach, wgryzającego się w korzenie praboru, skaczącego po progach i wancach zniesionych z ciemnych górskich szczytów w doliny.

Cierpka woń wędnącej ferecyny, zmieszana z żywicznym zapachem nagrzaných kosówek i smreków, płynęła powietrzem, zamkniętym pod szklistym fioletem jesiennego nieba. Jedynie w kotle pod Siwą, przy stawkach, mierzwiły się bure mgły, zestrzępione wichrem z obłoków, wepchnięte jego mocą w samo dno kotła. Pęczniały tam, podnosząc się zwolna i ostrożnie ku niebu, aby zepchnięte mocą wichrowego tchu przywarować do czasu na progu. Przysiadły jeno i zakryły wilgotną płachtą hawiarską perę ku Starej Robocie, którą nikt już teraz nie chadzał, oprócz niedźwiedzia, mającego swą gawrę w Raczkowej dolinie. Leżał teraz na małej łysince, wśród kosówek, na wielkich czerwieniejących kępach jaferu, opity słodką treścią borówek, sennie przygrzewając w słońcu kudły. Monotonny pomruk głębokiego oddechu przelewał się przez szeroką pierś, zdobną białym kwiatkiem. Mierzwił, głaskał, pieścił mu kudły gorący halny wiatr. W rozkosznym półśnie czujne zmysły przyniosły jakąś wieść. Drgnęły grube, krągłe uszy, nieznacznie odsłoniły się małe oczka. Nos długo wietrzył wciągając krótkimi odstępami powietrze. Potężny chyba na łopatkach układał się i podnosił, wreszcie zwier bezszelestnie nie podnosząc się



nawet na łapy wpelznął w kosówki. Przywarował jak pies w ich giętkiej gęstwie, patrząc uważnie przez lukę wśród gałęzi ku perci. Pod górę, wprost w kłębowisko burych mgieł szedł człowiek. Wiatr targał szerokimi rękawami koszuli, płynęły za nim długie czarne włosy jak płachta na wietrze. Unosiły się frędzle welnianej, wzorzystej, juhaskiej torby. Niezwykłego wzrostu wielkolud szedł jak Waligóra naprzeciw wichurze ku Stawkom. Ostatni młynarz opuszczonej śrybelni pod Pyszną szedł, mieląc olbrzymimi stopami drobny piarg na ścieżce. Zsunął się z progu kotła w zacisze małej dolinki i na jedną chwilę przyległ wśród traw. Żując żdźbło patrzył w kłębowisko obłoków, wykwitających na grani Błyszczka, wyrzucanych w błękit z niezwykłą mocą.

— Duj... duj... — mrucał do siebie. — Dy mnie i tak nie zmożes.

Omiótł spojrzeniem dolinę. Jak woda płynęły w dół lasy popielato-zielone, spod wielkich trawia-  
stych kop Kamienistej, Smreczynskiego Żaru i Ornaku. Niebieskim cieniem znaczyła się miękka zapadlina Smreczyńskiego stawu. Poniżej misa polany śmiała się słońcu. Maleńki jak zabaweczka szalas na Ornaku, przytulony do smreka, tonął we własnym cieniu. Jeszcze dalej, mur turnic białą koroną zamykał zwornikiem dolinę. W szczybie złocił się daleki podgórski kraj, przykryty czapą różowego obłoku.

— Bee jesse duć. Do jutra sie odmieni na dysc. — Wciągnął w płuca powietrze.

— Żwirza haw cuć, musi się haw kasi niedź-wiedź plątać.

Dźwignął się pomału z posłania traw i zarzucił na ramię torbę. Otoczyły go ciepłe opary mgły. Cicho zeszepotała woda stawu. Obszedł go od strony zachodniej i znów przystanął, nasłuchując czujnie. Potem zaczął kołować wśród rumowiska kamieni wypatrując pilnie. Znalazł, rzucił brzemień z ramienia i przykłąkł. Głucho w maliniakach dudniła woda. Drzewcem ciupagi lekko podważył kamień. Ogromna wanta poddała się jak pióro, ważyła się bowiem na dwu innych. Otworzyła się niewielka jama, prawie cała zasypana srebrem w surowych grudach i nieforemnych sztabkach.

Było tego na osiem dobrych torb. Wysypał zawartość przyniesionej torby i obtarł rękawem koszuli pot z czoła. Z przyklejonym do ust niesamowitym uśmiechem przywalił otwór kamieniem i szybko opuścił to miejsce, skacząc po maliniakach. Wyszedł z kłębowiska na słońce. Nie oglądając się, niesiony wichurą, pędził w dół trawiastymi upłazami, aż obniżył się w bór i wsiąknął w jego huczący mrok. Wyłonił się na chwile na polanie świecąc białą koszulą. Długo spozierał za nim czujny niedźwiedź wydmuchując z płuc nienawistną woń.

Nareszcie Rysula dźwignął się z barłoga. Wylazł na czworakach z chlewa i usiadł na progu w słoń-



ku. Mąciło mu się w głowie, świat wirował jak bąk przed oczyma, w uszach dzwoniła poruszona krew. Siadł i patrzył z głupim uśmiechem na wyschnięte ręce. Poruszał palcami i cieszył się jak dziecko, że żyją. Wyglądał okropnie. Włosy wypadały kępami, dolna warga obwisała bezradnie, jak u starego konia. Wyrzwał baka Jano z szalasa i aż splunął ze wstrętu.

— Wylizales się, weredo, i po co?

Odpowiedział mu bezradnym uśmiechem:

— Zjadbyś co?

— Haj!

Podał mu bryjkę na mleku. Siorbał łapczywie. Jadło wyгнаło z ciała ziań. Przygnali na południe juhasi owce i drażnili się z nędzarzem.

— Aleś tyz piękny chłop, Jasiu, aj piękny! i bogaty! polany mos na łbie!

— Bees miol ka wsy pasać.

— Tórbke mos z talarami, wseś ik po chorości cytał.

— Nie zabac se ta o mnie, kie bedzies cęściował, bok cie zywił — kpił honielnik.

Rysula uśmiechał się jeno goniąc łapczywie oczyma każdy kęs, który nieśli do ust. Był teraz ciągle głodny, zjadał wszystko, co mu dali, a kiedy ich nie było w pobliżu, siorbał z psiego korytka żętycę. Nabierał sił.

Jednego rana, kiedy się już mieli redykać z owcami, rzekł do bacy:

— Idem!

— Ka? — zapytał Jano.

Rysula chudą ręką wskazał na pyszniańskie lasy.

— Jako fces — rzekł obojętnie Jano — stracis sie hań, boś rzodki. Wiater cie smiecie.

— Idem — powtórzył Rysula, zapatrzonny w Bystrą. Poszedł.

— Wróci się ku jadłu — pomyślał Jano. — Ku temu się wróci.

Ciężko dychając wędrował w górę ku śrybelni. Przekroczył potok i zapadł poniżej młyna w gąszcz. Nie śmiał iść dalej nie wiedząc, co robi Gał. Czekał. Doczekał tej chwili, kiedy Klimunt poraz ostatni nawracał po swe dobro. Odwalił bekę, otworzył schowek i nappełnił torbę najcenniejszym ostatkiem: złotem, kamuszkami, koralami. Dźwięcznie spadało. Nie zasłaniając już schowku, nie zamykając nawet drzwi wyszedł. Zaledwie zniknął, wśliznął się Rysula do izby. Miejsca po skarbie było puste. Nie namyślając się wybiegł z izby, zatraskując za sobą drzwi. Trzask wrót usłyszał Gał. Przystanął uskokczywszy z perci. Mignęła mu pomiędzy pniami krzesławita sylwetka Rysuli. Dawny, straszny uśmiech wykrzywił Klimuntowi wargi.

— Tuś! Zaś chodzis! Tera jo cie przewiedem!

Jakby nic o Rysuli nie wiedząc jał pięć się wolno dalej. Ominął szerokim łukiem Rysulę i pokazał mu się na polanie. Zakręcił w prawo w las i na jego górnej granicy zaczął się za smrekiem. Bez tchu, kulejąc nadażał za nim Rysula. Nie bacząc na nic, resztkami sił przemierzał las, aby tylko nie stracić Gała z oczu. Nie wiedział bowiem, gdzie ten się



obróci, czy w lewo na Siwy wierch, czy też w prawo na półkę ku przełęczy. Wyszedłszy na kraj lasa chciał się rozejrzeć, kiedy poczuł, iż straszliwa dłoń podnosi go w górę. Dłoń ta zacisnęła się na cienkiej jego szyi i na przeciw swej twarzy ujrzał twarz młynarza.

— Mom cie — śmiał się, ryczał, rżał z uciechy. — Mom cie nareście, gnido pierońska! Nie bees juz śpichował, ni! Nie bedzies łaził za mnom, ni! Beł juz taki jeden i nimas go nika!

Naciskał krtań nieszczęśnika, niebaczny na straszną swą siłę. Biała mgielka zasłoniła oczy Rysuli. Nędzne życie uciekało z niego, jak woda z upustu. Bezwładne nogi ugięły się w kolanach, ręce bezradnie wczepiły się w dłoń Gała.

Klimunt wolną ręką sięgnął do torby i wyjąwszy garść złota zapchał nim usta nieszczęśnika.

— Neści! Na! Zjdz! Udow sie! Widzis, kielos sie sprościł. Tera s tobie pon, Jasicku. Jdz, żryj dy to złoto. Slisys! Złoto, dukoty, talary, hrube dudki!

Śmiejąc się rozglądał się dookoła. Niedaleko stał wysoki na chłopca pniak. Ułamał wicher kiedyś smreka na skraju lasu, biały obnażony pniak tkwił w ziemi, wypróchniały w środku do cna. Gał uniósł nieszczęsnego Rysulę do góry i wpuścił w otwór. Pochylił się ku ziemi, podniósł kamień i wrzucił go do otworu. Jeden, drugi, dziesiąty.

Wreszcie poprawił torbę na ramieniu i ponowił swój ostatni marsz ku siwiańskiemu stawkowi. We mgłach kotłował się i huczał wiatr. Powietrze oziębiło się, splachcie mgły opadały coraz niżej. Złote

upłazy pociemniały, jakby zwiedły nagle od chłodu. Ciemną nocą wracał szaleniec i przystanął na chwilę koło pniaka. Przyłożył do niego ucho. Coś tam w środku jęczało, kwiliło, skomlało. Zapukał ogromnym paluchem w pień. Skomlenie na chwilę zacichło.

— Ha! ha! pszczoły hawoj brzencom! Złote pszczoły brzencom... — śmiał się wariacko, wiatr niósł śmiech w dolinę.

Pił. Ruiną młyna wstrząsał huragan. Raz wraz z jękiem padały drzewa w lesie, płomień na palenisku chwiał się i dygotał pod tchnieniem wichury.

Pod powiekami krążyły krwiste koła zlewając się w jedną wielką plamę. Nie śmiał dotknąć oczu dłonią w strachu, że przylgnie do dłoni lepka, gęsta ciecz.

— Andrys, haj, Andrys — mamrotał. — Naozaist nie minonek nic, ani dudka. Zaklonek w skole, w ziem.

Zapatrzył się w płomień. Ostatni przeblysłk świadomości przygiął go do samego stołu jednym pytaniem:

— Co-jek z tego miol? Cheba-nic.

— Jedno z tego bedzie — zawarczał jak podrażniony pies — bedom sukoć. Pódzie miendzy ludzi i bedom sukoć, bedzie ik boleć ze hań, tele dudki próżnujom. Ziemecke bedom darli pazdurami, skole bedom dźwigoć, bedzie skreću — do cudu. Nie jeden ogłupieje do cysta skrony tyk dudków.



Nie nańdom. Ale jo mom la nik cosi, lepe.

Gwarzył, mamrotał aż usnął z głową opartą o stół. Kiedy się ocknął, był dzień. Wiatr halny szalał dalej. Gał podniósł się zwolna na nogi, szum w głowie i uszach obezwładniał myśli. Coś jakieś wspomnienie tliło się w mózgu. Napół osłепłe oczy padły na pusty otwór w podłodze. Przetarł oczy.

— No dyć juz wim.

Ogarnięty szaleństwem, wywłókł z komory łańcuch, żelazny kół i osękę. Nie brał niczego więcej. Zarwał się do ostatniego swego szaleńczego czynu. Jął osęką obchwiewać i walić mury młyna, kilofem i łomem osłabiał węgary, pod szum i huk wichury skakał i zwijał się jak szatan. Pierwsza runęła ściana nadkruszona lawiną, nad którą już dawno zapadł się i zgnił dach. Runęła w nurty potoku. Obnażone miejsce było puste, tylko żarna tkwiły w nim bezradne i niepotrzebne. Podała się jego szaleństwu ściana wrót. W kurzawie pyłu wapiennego, uniesionego zaraz przez wichurę, czarne wnętrze izby patrzyło groźnie na Klimunta. Miech, nie wiadomo jakim sposobem zwolniony z uwięzi, westchnął ciężko i zapadł cały w zmarszczki. Od jego oddechu podniosły się do góry tumany iskier. Natchniony ich ślicznym purpurowym lotem, z okrzykiem — Pszcoły... pszcoły złote sie rojom — rzucił zarzewie w bezradne, niepotrzebne wiązania dachu. Czarne pajęczyny około komina zajarzyły, jak owe kamuszki skarba. Rzucił się na nie halny wiatr. Rozjarzał je i pieścił, aż rozrosły się w płomień.

Klimunt Gał siedział nad potokiem i patrzył. Wiatr dał w płomień pełną piersią. Ogień ogarnął krokwie i wysuszone gonty, wystrzelił pod niebo ognistym kwiatem bez dymu i huczał, niosąc na policzki młynarza gorący żar swego krótkiego życia. Objął strop, który pod walącymi się krokwiąmi, wygiął się i zapadł. Jak powódź runęło w głąb budynku morze płomieni. Ogniste języki niesforne wyskakiwały oknami, wypadały przez wrota lub nikiy w dymie, aby wreszcie rozlać się wśród murów, błyskając raz wraz szczerym złotem. Uderzał w ten płomień wiatr, darł go w strzępy, wyrwał ogniste języki ciskając nimi o drzewa. Czerniały i kurczyły się w ogniu nadbrzeżne smreki. Po wygiętych rozpacznie ramionach przewijały się ogniste smugi i gasły. Przejmowały je białe mchy, zwisające z gałęzi. Rój iskierek tańczył po lesie — jak pszcoły w słońcu.

Rozpalone kamienie resztek ścian trzaskały, aż wreszcie obie stojące jeszcze ściany z hukiem zapadły się w środek ognia. Z ruiny podniósł się w niebo słup popiołu i rozpływał się z wiatrem w powietrzu.

Gał siedział bez ruchu. Ocknął się z zadumy, kiedy już stygła zgorzel. Powoli podszedł do żarnowiska. W pionowym, nietkniętym pożogą dębowym trzpieniu beczynn timer spały młyńskie kamienie. Wyrwał trzpień, wydźwignął z łożyska dziwny, kwadratowy prawie kamień wierzchni, potem spodni i wyrzucił je na ziem. Przez otwory, w których



tkwił trzpień, przeciągnął łańcuch, śmiejąc się cały czas po swojemu.

— Zaniesem ludziom skole... coby sie nimi nazarli, na wieki. Podłożył na ramię cuchę i serdak i ugiąwszy się narzucił na to ramię łańcuch. Jął powoli, powoli dźwigać się do góry. Wygięty w ka-  
błąk grzbiet niehumanym wysiłkiem z wolna się prostował, sine żyły wyszły na skronie, szyja napęczniała, oczy pod naporem krwi wyszły na wierzch. Szczerniałe wargi śmiały się bez przerwy.

— Skole la ludzi niesem... coby się nazarli... — stękał z niknącym od strasznego ucisku brzmienia tchem. Wreszcie stanął prosto, stąpnął i z wolna krok za krokiem zaczął posuwać się w dolinę. Nikłe kropelki potu razem z krwią wyszły na skronie.

Wiatr nasycony dymem zgorzeli uderzył go w plecy jak pięścią. Zachwiał się, uszedł znowu kilkanaście kroków.

— Ciężkie te chleby... — mruczał. Posunął się znów naprzód a nie mogąc patrzeć pod stopy — skielznął. Skielznął i upadł. Potężna klatka piersiowa znalazła się pomiędzy kamieniami młyńskimi.

— Skole... la ludzi... coby sie nazarli...

Upadły pierwsze krople dżdzu.

## WOJTEK MATEJA



Wielkie kłody drzewa, płonące przy zawatniku, zapadły się od żaru, który je przegryzł wzbijając pod strop szałas tumany iskier. Ocknął się z półdrzemki Wojtek Mateja i nie dźwigając z barłogu pchnął kierpcem kłody w żar. Wściekła wichura trzęsła nędznym szałasem wolarskim we Wiercheichej, targała dzwierzami, dźwigała dranice. Raz po raz dudniły po nich śnieżne krupy, to znowu nacięło na chwilę, jakby zła noc czaiła się do skoku. Słyszeć było wtedy z ciemnego kąta szałas chrapliwy oddech człowieka, podobny do agonii.

Wojtek podparł głowę ręką, owiniętą brudnym gałganem, przez który przeciekła krew, i zapatrzył się ponuro w ogień. Nie podarzyło się. Cały plan, opracowany starannie przez lato, spalił na panewce i skończył się klęską.

Sytko skrósł niego — mrucał patrząc w róg szałas. Zwinięty w kłębek, okryty cuchną dogorywał tam Franek Budz z Brzegów, chłop świetny, a teraz zmięty do niepoznania, drgający łąch.

Jeszcze wczoraj nieśli się hucznie z Jaśkiem Walczakiem, Maryną od Jarząbków, jego kochanką, i z tym tu Frankiem ku karczmie na rozdrożu między Prybyliną a Kokawą. Wiedzieli, że gospodzki ma dudki i hrube, że je trzyma w komorze w skrzyni kowanej. Umyślili, że Franek, jako najmłodszy, z Maryną wejdą do nuki, niby wracający do Pol-



ski z zarobku z Węgier, zajmą byle czym gospodzkiego i jego babę, a oni sami tymczasem oporządzą komorę. Wieczór był ciemny, wszystko składało się na to, że dudki tak jak ich, bo karczma była pełna, wracali ludzie z jesiennego jarmarku z Kokawy, tak że karczmarz z babą i służkami obie ręce mieli pełne. Ale cóż? Gdzie Franek, tam i bitka. Już miała krata wyjechać do pola, kiedy usłyszeli obaj z Jaśkiem strzał w karczmie, jeden i drugi, a potem rozdzierający krzyk Maryński. Poniechali komory, a wpadli do izby. Franek blady jak płótno, z krwawą plamą na piersi, z rozjechanym do kości policzkiem, zasłaniał sobą Marynę i przebierał się ku drzwiom. Dopadali do niego luptacy z ciupagami. Na stole stał młody chłop z pistoletem w garści, z którego się jeszcze dymiło. Tego zgasił nie pytając Wojtek ze swego pistoletu jak świecę. Jasięk sajta, którą porwał spod komina, rozbił latarnię u sozrębu, zrobiła się ćma. Przebili się z trudem do drzwi i na dwór, gdzie uratowała ich tylko ciemna noc. Padały za nimi strzały, ale nie czyniły szkody, tyle że się rozdzielili, Jasięk z Maryną stracili się w nocy i już się nie odnaleźli.

Zrazu Franek szedł o własnej sile, o świtanu omdlał i na pół przytomnego dowlókł Mateja do Wiercheichej, gdzie ranny rozkleił się zupełnie. Dowiedział się od niego, że mąż zrobił się o Marynę. Była w karczmie cygańska kapela, i przy muzyce doszło do zwady. Jakiś młody luptak jawnie się do Maryny dobierał, chciał z nią tańczyć, Franek mu nie dał, wzięli skakać do siebie i wygrażać, aż chwy-

cili się za łby. W momencie luptak leżał na ziemi a Franek klęczał nad nim. Wtedy z ciżby padł strzał. Frankiem szarpło, otrzymał jeszcze cios ciupagą w policzek pod oko, strzelił i on w kupę, a potem to już wpadli Mateja z Jaśkiem.

Wojtek aż szerniał ze zgryzoty.

— Sytko na nic, tele dudki się straciły, Jasięk diasi wiedzom ka, może go i z Maryną kany prziesiedli, on som z Franke w tym sałasie, zawarty jak w kremi, dysc, kurniawa, wicher, nie dej Krista Pana dźwierzy odewrzyć, a ten tu jesse, widzi mi się, bee umirol.

Wyciągnął rękę i dotknął rannego.

— Jakoz ci ta, Franuś?

Chory otworzył błyszczące gorączką oczy, patrzył chwilę nieprzytomnie i wyjęczał:

— Pić.

Podał mu Mateja kubek z wodą. Nie miał Franek siły, by dźwignąć rękę do góry. Niechętnie podniósł mu Wojtek głowę i napoił, z obrzydzeniem patrzył, jak Franek wykaszuje wraz z pienistą krwią wodę.

— Sie mi widzi, nie bee stobie nic.

Ranny wstrzymał na chwilę oddech. Nieświadomie drapał ręką ziemię szalasu, chwiejąc głową po cetynie jak wahadłem.

— Tak i jo cujem — wychrypiał.

— Sytko skróś tobie — raz jeszcze cisnął mu w oczy Mateja.

— Marynyk bronieł.

— Wybroniłaby się sama, nie bój się.

— Hipnon do mnie.



— A ty do niego. Trza beło uwazować, zakiel my nie skońcyme.

— Juz sie nie odstanie — z rezygnacją wyrzucił Franek.

Wicher uderzał ciągle z nieustającą mocą w wiązania dachu szałas. Wilgoć i ziab wraz z dymem czyniły go nieprzytulnym, odpychającym. Jęki rannego obrzydzały każdą spędzoną w nim chwilę.

— Coz my haw jutro bedziemy konoć — pytał Mateja. — Jeść nimo co, ziab, kurniawa i kwas, bede musioł kasi po wikt skoczyć, nie?

Franek poruszył się niespokojnie.

— Nie ostawiajcie mie haw samego — prosił.

— Bez co?

— Bojem sie.

— Dy tu na taki cas nie przidzie nikt.

— On haw juz zazioloł.

— Fto?

— Ksander... ten z Niechcyрки.

Wojtek wybuchnął śmiechem.

— Idze, głuptoku — krzyczał — dy on przecie kielo roków jak gnije.

— ...poziroł haw... do mnie.

Mateja śmiał się ciągle. Wspomniał mu się wyraźnie ten dzień w Niewcyrcie nad stawem, kiedy Franek postrzelił hajnika i kamieniem mu głowę „na prach ozkwasil“.

— Dycieś mu przecie ozbił tą rudą łeb do cysta — chichotał — jakozby do tobie poziroł dziś?

— Chodzuje od wcora, wse chodzuje za mnom. Duk.

— Głupiś. Duków nima.

Franek spojrział mętym okiem ku drzwiom. Wiatr rozdarł wrota z poświstem, uderzył flagą we wątę, aż ściemniała pod sinym dymem.

Wojtek spokojnie zawarł drzwi i zastawił kłotkiem.

— Diasi, ej diasi — stękał — duje, jakby sie fto obiesił. Franek mamrotał w gorączce, zrywał się co chwila patrząc na drzwi, to znów uciszał się, aż się Wojtkowi kilka razy zdawało, że skończył. Wreszcie zapadł sam w sen mocny, spokojny.

Nad ranem wichura wzmogła się, poziebiało, białymi biczami ciął śnieg. Franek wyraźnie dogorywał. Bacznie popatrzył na niego Mateja i pomyślał.

— No zatelo to juz dockom.

Chory nie chciał nawet pić, czarne spękane wargi łapały z trudem powietrze, pierś walczyła o odrobinę swobodnego oddechu.

Wycharczał: — Dźwirze... dźwirze odewrzyjcie.

Biernie poddał się Mateja jego woli. W mętym powietrzu, głośnym od wichury, napinały się smugi pędzącego śniegu. Turnie tonęły w kurniawie bez śladu.

Franek patrzył długo w biały szal. Rana na policzku zaszła jakąś siną barwą, podchodzącą pod oczy, nos wyostrzył się i wydłużył.

— No i dobrze — wyszeptał.

— Lepij ci — zdziwił się Mateja.

— Lepi, hnet bedzie kuniec.

Nie odrywał oczu od dnia ślimaczącego się w czarnym kwadracie dźwierzy. Wreszcie cicho osunął się na cetynę.



— Mateja?

— Zje co?

— Pocie haw blisy.

— Pobabrołek zawcorem... pobabrołek, wicie, colke... wyboccie.

— Nima juz o tym nijakij gwary, Franuś. Co sie stało, to sie nie odstanie...

— Słuchojciez. Mój tata... z Nowobilskim Józke chodzował... Mieli dudki hrube... podle Rusinki, ka sie trzi potocki schodzim, hań casujom... i korole wielgie... weźcie.

Mateja słuchał pilnie.

— Sami tata ci mówili — zapytał.

— Haj. Miołek swoik... dość. Nie sukołek. Nie myślałek, ze tak młodo zgine... weźcie wy.

— Jest je hań jaki zakrzos abo jak?

Franek chciał odpowiedzieć. Nie zdążył. W krtani zabułgotała krew, zakrztusił się nią, aż dźwignęło go do góry. Opadł i zwolna się wyprężył. Oczy otwarte patrzyły, zastygłe w jakimś ogromnym zdumieniu.

— No to on juz naozaist gotów — rzekł Mateja.

Wywlókl trupa tak, jak leżał, z pistolecami i nożem w kosówki, okrył mchem, przywalił skałami, aby do czasu ochronić ciało przed niedźwiedziem. Potem zarzucił na ramię torbę i szybko zniknął w kurniawie.

Wojtek Chramiaszek z Chramcówek, z Zakopanego, siedział przy wiatrce i latał kierpcę. Juhasi chrapali głośno po kątach, przez sen któryś od czasu do

czasu mamrotał. Za drzwiami stała czarna noc bez gwiazd pod chmurą. Wojtek latał kierpcę i kłał.

— Kiz ta diasi, aj diasi z tymi kierpcami? Dopirok niedawno uzdał nowe, a tu mos, juz dziura dziure goni. Dyć jo przecie nie chodzował w nik tela. Musiała sie któraś wereda do nik obuć. Sie mi widzi, ze to nik iny, jacy Byrcarki Józek.

— Obieś. Jakie jego prawo w bacowskik kierpcak chodzić, pytom sie? Wisom se na kołku, niekze wisom.

— Dolby ci taki kirpcem wisieć? Dy to ze zbójnickiego fajtu, nie pyta o nic, ino biere. A ty sie baco staroj. Kielo jo ciężko robujem, coby cosi kasi do kupy zgonić.

— Babie dej, dzieciom dej, sobie tyz musis, e raty. Bez tok łysy. Nic, ino bez to. I dziod.

Wojtek Chramiaszek dziadem nie był, gazda był hruby na Chramcówkach, ale lubił się przed ludźmi za dziada podawać.

— Co majom wiedzieć. Kieby cłek doł obębnowoć kielo mo, jutro by go obrali do cýsta. Zbójów dość. Radzi z cudzego zyjom. Goni wereda światami, to sie na sałas zańdzie pokrzepić. A ty się baco staraj, coby żentyca beła i fajna. Jorke w mliku warz, palenki z obońki utoc.

— Dali ci co za to kie? Pana Bga za nogi obłap, ze ci wiencyj nie ujeni.

— Musiało tyz ta Karola z Ryniasu popuścić, kie juz Franka Budzowego nima. Ten mu dawoł siustu, haj. Na podzim go jakosi zabili. Karol jaze płakoł z radości.



— Płac, głupi, płac. Nie ten, to iny wybiere ci sytko, co mos.

Za węglami chórem odezwały się psy. Zrazu oderwane poszczekiwania zlały się w jeden głos. Wojtek wyrwał z watry sajtę i wyskoczył do pola. Juhasi ocykali się ze snu.

— Coz to takie? Moze niedźwiedź?

Chramiaszek nadśluchiwał chwilę. Owce leżały spokojnie w koszarze, tylko psy na widok bacy poderwały się i rzuciły w stronę lasu.

— Trzimojciez psy — krzyknął mocny głos z ciemności. Wojtkiem aż skrećilo. — Mos ik — pomyślał, ale że z ludźmi chodzącymi po nocy nie długa rozmowa, głośno odwoływał psy: — Zbójko, Horny, Siumna, na tu, piesku, na.

Psy cofały się zwolna, oszczekując ciagle. Pomogli mu je połapać juhasi zerwani ze snu, wypatrując ciekawie kroczącego z ciemności przybysza. W kręgu światła zamajaczyła sylwetka wysokiego chłopca.

— Nie śpicie? — zapytał.

— Ka byś tu społ, kie psy telo burzom. Pocie do nuka — zapraszał Chramiaszek.

— Wdzięenie.

Przybysz uchylił się w dzwierzach i wszedł do środka. Był to Wojtek Mateja. Poznał go od razu Chramiaszek i aż ścierpł. Przysunął mu kłótek do watry, prosił siadać, niespokojnie rozglądając się dokoła.

Z nadejściem Matei jakby inne powietrze powiało w szałasie. Chłop wspaniały, odziany w białe

portki i cucę, w białej koszuli, którą mu zawsze tak pięknie bieliła Kacka, w opasku z pistolecami, siedząc przewyższał wszystkich bez mała o pół ciała. Spalona wichrami, zwiędła twarz, obramowana była pięknie czarnymi włosami, spadającymi do ramion. Śmiałego spojrzenia oczy patrzyły prosto. Głowa tkwiła na szyi wysokiej prosto jak orłowa. Bujny wąs ocieniał pełne usta.

— Zamierklek końdecek po drudze, tok ku wom zasel, cy byście mie ka nie przenocowali?

— Miejsca dość, cy haw, cy na sopie, jako wolom — dwoił mu Chramiaszek. — Mlika byście sie nie napili?

— Co se ta bedzicie ujmować.

— Na szałasie mlika nie ubywa — dogadywał baka przychlebnie, krzątając się za czerpakiem, mlekiem, serem. Trochę się mu ręce trzęsły. Po głowie jeździły myśli jak halny po dachu. — On ta skrony cegosi prziseł, ale skrony cego? Nocami lace, lofer. Ej, ze mi cosi ujmie, to ujmie. Z jednom owce abo i ze dwie.

Aż przycierpł na tę myśl o stracie.

Mateja spokojnie siedział na pieńku kurząc fajkę, zapatrzony w płomień. Juhasi leżąc na ziemi patrzyli w niego jak w obraz. Nie ważył się nikt rozpocząć rozmowy.

— Jakoz sie wom gazduje — rzucił pytanie Mateja.

— E, dy tak se, po końdecku a wse — pośpieszył z odpowiedzią Chramiaszek. — Płony cas. Zima,



kwasi, owce się płono dojom. Potraciło się kiela tela.

— Niedźwiedź?

— Ni, wilki. Kiela casów nigdo o nik ani nie słuchował, a tu mos. Na samom świentom Anne przisły, w nocy. Miesiąc fte piknie świecił, cicho było po lesie, a te przisły jak duhy. Anibyś paciorka nie zmówił, kie już narobiły jatek. Dwanast owiec dorznęły i psa, do reszty potraciły się owce po lesie. Za kiel my ik uzbirali, hybiało ik wysy dwacet. Telok już stratny, raty, co mi się widzi, trza się będzie obiesić.

— Jest wos na cym posukoć — rzucił Mateja bez współczucia.

Spojrzał na niego Chramiaszek spod oka.

— Na cym — odpowiedział. — Heba dzieciśka przedom, abo babe, bo u mnie nimos nic.

— Bajto.

Ugwarzyli chwilę o bidzie, aż tu nagle cienkim głosem wtrącił się do rozmowy, mały Szymuś hoielnik.

— Jo ta wiedziol, ze cosi z owcami wyńdzie nie fajnie.

— Zje skądze — zainteresował się Mateja uśmiechając się do zarumienionego chłopca.

— Miołek śnisko. Wiódek owce bez przykope, a tu co jedna wlezie, to już nie wyłazi. Obudził się z płace od strachu.

— E, chłopce, na śniska to jacy baby a i strzelcy uwazujom.

— Ono trza uwazować na to, trza — wtrącił ba-

ca. — Casem to się trefi ciekowi i nie na spaniu takie.

— Trefiło się wom to?

— Ba haj. Idem se roz, wicie, z Hamrów bez Wielgom Rówień, a tu już zmrokało do cysta. Selek z Hamrów dudom. Nie piłek hań nic. Zaselek w to miejsce kany ta wielga lipa u Ślimaka, cosi łysło. Nie na ziemi, ale tak jakby kropkę nad ziemiom. Zachodzem na to miejsce — nic. Ogrodzone mieli, patrzem, a na tem ogrodzeniu cosi siedzi. Cłek był taki nieduży, ale ze była już ćma, toż tok nie poznołek fto jest je. Pytom się: ftoś ty? — A to hip do pola. Myślałem se, kie już nie fces do mnie przegadoć, no to se idź. Nie uselek, jacy pore kroków, a to na mnie woła istic po imieniu. Stanonek. Ten się nawrócił ku mnie i wzion mnie obtańcowywać z prawa, z lewa, od przodka, płała się koło mie, widzem, przynapity, ale fto?

Pytom się zaś: coś za jeden, ze mnie mos znać? Fte zarzało jak kobyła. Telok się ulonk, bok już temu zrozumiał, ze to jakiesi cosi, i w uciekaca. Ono za mnom. Obróciło się nasampirw w psa, pote w kota. Nogi pode mnom zglewioły, trzęsie mnom, ale jō nie, lecem wse na prosto, niek będzie jako fce, telo ze się nie obzirom ani razu do zadku, coby mie nie przysiadło.

Toto nadbiegło pare kroków poprze mie, tupneno nogom, łysło i straciło się w ziem. Osatalek się dopirz duma. A tu mi moja baba Agata gwarzi, co się Jasiek od Chotarskik obiesił, a ja go welmi rod widziol, haj. No nic. Myślałem se, późrem jutro, hań ka



sie mi to straciło. Posefek za dnia, a tu kany tup-non, było takie opolone miejsce, jaze ziem była za-pieklą.

— Chłopcyska pewnie watre kładli — uśmieł sie Mateja.

— No jako fcecie — odpowiedział Chramiaszek.

Niedługo usnęli. Chramiaszek najdłużej obracał sie niespokojnie medytując.

— Cosi musi po mnie fcieć. Ale co takie? Cy owce, cy jak? Stryła ci do boku, ześ musioł rekuratnie haw o mnie zawadzić — stękał grzejąc boki.

Rankiem, kiedy juhasi wygnali owce, usiedli obaj na progu szałasur kurząc fajki. Długo milczał Mateja, wreszcie rzekł:

— Mielście znoć Franka Budzowego z Brzegów?

— Haj. Pono pomar.

— Luptacy go zabili.

— No widzis. Bucny był chłop i juz go nima.

— No, nima. Jo tu skrony niego ku wom prziseł.

— Dy jo śnim ani raz w zywoybiu nie przegodoł — zastrzegł się Chramiaszek.

Mateja splunął.

— No to se paciorek za niego smówcie i Panu Bogu podziękujcie, ze on swami nie ukwalował.

— Bez co? — zląkł się Chramiaszek.

— Bo to był złodziej na owce pirsy. Broł Karolowi z Ryniasa, broł Murzańskiemu, broł kulkosowianom z Pysny — tak na śpas.

— Od takik śpasów łeb szedziwa.

— Wasa łysa — parsknął śmiechem Mateja.

— To jedność.

— Wolem racyj siwom jako łysom — pokpiwał Mateja.

— Moja baba ni — zażartował Chramiaszek dla zgody. — Zaceniście o tym Franku...

— Haj. Kie sie odpytował światu, dał mi znać, ze kasi od wasy polany nieobdalno jego flinta casuje, cobym jom posukoł i wzion.

— Wicie, wicie — cudował się Chramiaszek. — Dy tu ku mnie ani razu nie zaseł, nie ujon mi nie, a kasi sie hawok plątał.

— Dobrzy chłopci tak robujom wse.

— Ale kaby miała ta flinta casować?

Mateja nie odpowiedział od razu. Długo i starannie ważył w sobie ten zamysł. Całą zimę myślał o konieczności odszukania owych trzech potoków wiedząc, iż ojciec Franka musiał niemało talarów i wszelkiego dobra w ziemi przechować. Jego i Nowobilskich wyczyny znane były na całe Podhale, Węgry i Lachy, opłacało się pokręcić głową za tym kotlikiem. Nie chodziło mu już tyle o te talary, ile o korale sławne, sołtysie korale sołtyski z Ważca, wielkie jak pięść dziecka. Byłoby w nich Kacce siumnie, pasowałyby do jej urody, do jej wysokiej, bujnej piersi.

Ledwie śniegi zeszyły, zniknął Wojtek Mateja w lasach Brzanówki. Wydawało mu się, że najlepiej będzie przeszukać najpierw zbocza Gołego Wierchu, z którego stoków brał wody potok Filipki. Omotał, opłatał go ciemny bór. Żywe wody wiosenne szumiały w potokach, sączyły się powszędę popod skręcone, guziaste korzenie drzew, spadały po



wantulach, po żabicach, przędły się jak nici srebrne pomiędzy siwe mchy. Dudniały pod czarnymi skałami utajone, by wyprysnąć niezliczonymi żylami z wywierzyisk.

— Nie pójdzie to po letku — myślał siepiąc się z miejsca na miejsce. — Kieby był jeszcze mógł jako pedzieć kany? No darmo, trza się będzie zdać na scenście.

Wypatrywał zakrzosu — znaku na olbrzymich pniach smreków i buków, daremnie. Uwodziły go potoki, mąciło mu się we łbie od tych szumów, od gwaru wód. Nigdzie nie mógł natrafić na ów potok troisty. Wychodził na wierchy, na których burze pokładły stary las pokotem i z wysoczyzny patrzył na ziemię i jej wody. Zacieniały je, kryły i chowały w sobie lasy nieprzebrane i czarne.

Wyteżał cały instynkt i doświadczenie, bezna dziejnie.

Obszukał het od Hurkotnego. Między-Drogi, Goły Wierch, Rusinową, Gęsią Szyję, Przysłop, Filipki, Wiktorówki i Kopy Sołtysie. Zdarł kierzce, stargał na wiatrołomach ubranie. Jednego razu uległ zielonemu oblędowi. Zastąpiły mu drogę pnie, pnie i pnie bez końca, z konarami do ziemi, ciche, bezposzumne. W kolumnadzie bez końca ogarnął go niepokój, który zamienił się w lęk. Po raz pierwszy w życiu Wojtek Mateja strwożył się. Co siły i tchu wycofywał się z puszczy. Biegły za nim, kołowały koło niego, zastępowały mu drogę drzewa, drzewa, drzewa. Czepiały się konarami cuchy, łapały za włosy. Nogi grzęzły w zbutwiałych pniach, morze

zieleni falowało, wzdymało się, zwodziło. Z potem na czole spostrzegł, że kręci się już od godzin w jednym miejscu.

Biegł już na oślep. Wyzwoliła go z matni jakaś polana, szemrał na niej strumień, złościły się kaczęńce.

Leżał długo na trawie żując szczaw.

— Nic innego, ino musom być te dudki jakosi zaklente, kie mnie wodzi. Mnie!

Kiedy juhasi obsiedli hale, ustały Wojtkowe wędrówki. Nie wygasła jednak tęsknota Kacki do sołtysich koralu.

— Som jest zaklente — bronił się Mateja.

— Bajtki. Dudki jak dudki, śrybelne, zlociste i lezom kasi pod wantom. Jo ta nie stojem o nie, jacy o te korole.

— Ale ka casujom?

Postanowił Mateja wypytać nieznacznie baczę z Rusinki, Chramiaszka, o owe trzy potoki. Flintę rzekomą wziął za pozór całej sprawy. Kiedy więc Chramiaszek ponowił pytanie, gdzie by ta flinta miała czasować, odpowiedział spokojnie:

— Gwarził mi Franek na umiraniu, że je ta flinta welmi dobra. Kasi jom jaze od Krakowa przynios.

— Ono moze być i prawda — wtrącił Chramiaszek — Franek był letki. Dy to on przecie za jednym noc kasi w Myślenice zlecił, kase obroł i wrócił się. Wartki był, ale sie i wartko minon. Zbójom wse taki kuniec — dodał i aż się ze strachu ugryzł w język.



Mateja przepuścił tę uwagę mimo uszu. Podjął znowu:

— Miała to być flinta frymuśna, na dwie lufy, kapsłówka. Skoda by jej było.

— Ej skoda, ale cóż kie wiada, kany casuje.

— Gwarził ze jakisi przy trzok potockak, wedle Rusinki.

— Kany by to miało być — zastanawiał się głośno Chramiaszek. — We Filipkach wody idom, ale ik idzie wysy trzoma koryciskami do potoka. Bedzie ik tam cosi z pieńć. Z Kok Sołtysik idzie ik tyz moc-ki, popod Kobyłę, ku Suchej Wodzie pod Kopy. Nie nalicyłbyś ik kielo. Kasi to bedzie przy lesie, bo kaby flinte wbił, jak nie do pnioka? O takim miejscu nimom jo wiedzieć nie. Dy jo tu przecie kielo roków bacujem, a nie uwazujem, kany to miało być. Najracy wedle Gołego Wirchu, bo tam chłopom na sytkie strony śleobodno.

— Jo ta zaś tak o te flinte nie stojem, telo ze mnie pytoł, coby jom nańść i zabrać — wtrącił dyplomatycznie Mateja.

— Wse sprzętu skoda, coby zgnił.

— Skoda. No pudem dudom.

— Posiedciez na sałasie.

— Pudem. Dziękujem, coście mie ugościli.

Chramiaszek siedział dalej na progu, grzał się do słońca i medytował. W głowie mu się nie mogło pomieścić, żeby Mateja tak o flintę zabiegał.

— Bajtki. Mo dość i nie jednom. Zbójnik, jako zbójnik, sprzętów nie suko, bo tym narabia.

— A moze? Dy to u nik inacy. U nik świente prawo, kie juz nieboscyk tak ozrondził. Musom konoc, co fciol. Swojego przykazania pilnujom jak zydy. Zeby ik mór wydusił.

Siumna przysiadła przy bacy i łowiła w gęstych kudłach pchły.

— Zrejom cie? Po letku, po letku, żrą i nas. Nie pisc. Kie mi Gał zajon pięć a dwacet owiec i bycka, tok sie skroboł tyz. Wis. Stryła im do boku.

Plunął, zamyślił się na chwilę i nagle skoczył na równe nogi. Pies, przestraszony gwałtownością bacy, uskoczył w bok.

— Dy tu o dudki idzie, hłopie. O nic ine, jacy o dudki — wrzeszczał olśniony tą myślą. — Franków ociec beł zbójnik, jednom zime casował haw kasi, kie na niego spichowali, haj. Przy sam Panu Bohu o nic ine, jacy o dudki idzie.

Poniesiony gorączką tej myśli, skakał jak szalony to do szałasu, to z szałasu w pole. Gadał do siebie, śmiał się, aż zesłabł z wrażenia i znowu usiadł na progu.

— Kany by tu miały być te potoki — dumał. Ukłuła go nagle w samo serce myśl, że może to jakie zbójnickie figle.

— Psiekudły juz nie jednego wyonacyły. Moze hań przy jakik potokak nastavili oklepiec, cobyk sie łapił jak niedźwiedź?... Z figlami by ci taki po nocy nie chodził — uspokajał się znowu. — Cosi musi na tym być, ale co? Nic ino dudki, kotlik, zbójckie penize. Nic ino to.

W ciepłym słońcu oddał się marzeniu. — Kiebyk



go ino nalez, haj. Kupiło by sie te morgi od Chłopeckuli. Stara jest je mało ziwa, sam cas, coby śniom kupcyć. Miałbyk tego... — aż się przeraził, żeby ktoś nie podsłuchiwał jego myśli. — No, miałbyk dość — dodał pokrzepiająco. — Coby mi ino Samek w to nie włoż. On mi wse, psie mieso, bruździ. Skroś jego Sobka i moi Weronki... Dycieś mógł jom Sobkowi dać — pomyślał. — Samek chłop nie bidny, cóż, kie mie, zło krew, jego Sobestyjan pobił, kie po syr przisieł. Ubrzęczał, ubrzęczał, ze mu sie cosi kasi więcyj patrzy, i dobił mie. Zbój. Kie mie ty bijes bace i ojca, kieś jesce z mojom dziwkom nie zeniaty, co bedzie pote? Ty byś mie na gnojnicak do lasa wywióz — weredo, jak drzewi.

Aż zazgrzytał zębami.

— Trzi potocki... trzi potocki? kany by one miały być?

Wiara w kotlik jak gwóźdź wbiła mu się w głowę i odebrała spokój.

— Dudki, talary, turocki, ej, miely, mocny Boze, cobyś mie ino spomóg...

Odszedł go zupełnie sen, spokój, apetyt i szalaśna zapobiegliwość. Nie bacząc na sery, na żętycę w pucierach, na łakomstwo juhasów, włóczył się bez przerwy lasami, dolinami. Zanieczyli nawet udój. Patrzyli w zdumieniu juhasi na tę odmianę natury u bacy i nie rozumieli nic.

— Cosi go żre — stwierdzili — nic, ino go cosi żre. Podpatrzyli, jak łąząc dolinę obłapiał drzewa, obchodząc je dookoła z głową zadartą do góry, jak się schylał i przewracał kamienie, wreszcie jak go-

dzinami błądził nad potokami, w coś zapatrzonej, zasłuchany, nieobecny.

— Zglupiał do cysta, o rozum przisieł — szeptali.

Wyglądał istotnie jak niespełna rozumu. W pociemniałej od dymu odzieży, w czarnej szalaśnej koszuli, ze zmierzwionymi włosami, nieogolony, z błędnym spojrzeniem, nigdy duchem obecny, budził lęk. Policzki mu zapadły, schudł jeszcze bardziej. W chwilach zupełnej utraty nadziei, kiedy nie wpadał na żaden ślad, głądził jak pijany do siebie: — Dudki moje, talarki krągłe, złociste, kazeście?

Nadśłuchiwał, czy nie nadejdzie odpowiedź. — Turocki moje kohane, kazeście? Nie zol wom w ziemi gnić? Nie zol próżnować?

Czasami wpadał we wściekłość. Mocował się wtedy z drzewami, prał wantami, piana wychodziła mu na usta, klął, krzyczał: — Gińcie, przeklente, zapadnijcie się w ziem... Dy som w ziemi — uspokajał się zaraz — ale ka?

Jednego dnia opuściła go wreszcie wszelka nadzieja. Usiadł w szalasie, wynędzniały nie do poznania. Jadł jak po długiej chorobie, spał dwa dni pod rząd i znowu w łakome i twarde ręce wziął życie szalaśne.

— Popuściło go — stwierdzili juhasi.

Sprawa poszła nieomal w zapomnienie. Mieli się niedługo redykać z owcami do domu, kiedy Chramiaszek idąc ku starym koszarom we Wiktorówki rozrzucać gnój, omal nie wlażył na Mateję. Szedł Mateja wzdłuż potoka i pozieirał po smrekach. Pod-



patrzył go, jak nachylał się właśnie u zbiegu dwu potoczków i pilnie oglądał kamienie i ziemię. Jakby żegadłem pchnięty, kucnął za ogromnym smrekiem patrząc rozjarzonymi oczyma na Matejowe poczynania.

— To to tak — stękał w duchu.

Nawet nie zauważył, że Mateja, jakby usłyszał jakiś szmer, stracił się w lesie, jakby w ziemię zapadł. Chwyciła go od nowa chciwość i przeświadczenie o istnieniu bogactwa.

Dźwignął się wreszcie i jak pijany podążył na szalas. Ręce latały, w ustach wyschło mu zupełnie. Runął na kolana w cichym przedjesiennym słońcu i z płaczem prawie podniósł ręce do nieba:

— Patrónie mój niebieski i ty święty Jantoni złodziejski, duhowie, jacyście ta som, pochwary widome i niewidome, dopomóżciez mi tyz.

— Panie Boze, dwie świcki ci w kościele stawiam z wosku (to nie figle) abo i trzi (no.. będzie dość...) ino mi dopomóż, pytam Cie, przez rany Hrystusa, bo co sie ma taki zbój na nik paść? Jamen. Jamen.

Jak stał, tak się ku słońcu obróciwszy zabrał w las, tyle jeno, że kopaczkę ze sobą z szalasa zabrał. Szedł przed siebie uporczywie, aż wyszedł na Filipkę. Schodziły się tam żylami potoki, pełnące wśród złotych traw i popielatych łopianów. Nad halą unosił się zapach dymu i obory. Przekroczył potok i jał się wspinać ku Wyżnej hali, gdzie na wysokiej platformie, przytulonej do przedniej kopy, drzemał samotny szalasik, pusty i opuszczony. Tutaj Chramiaszek nieco oprzytomniał.

— Tok je haw? — stwierdził ze zdumieniem. W tym to szalasie za swoich juhaskich czasów, ku jednej dziewczynie chodząc, zaznał pierwszej miłości. Jak przez mgłę wspomniały mu się te czasy, chociaż imienia dziewczyny już nie pamiętał. Na chwilę spoczął na progu.

— I haw mi sie nie podarzyło.. Gał mie wyproł stela... Gał.

Skulił się od odrazy wspomnienia tej chwili, kiedy zbity jak pies uciekał w dolinę, a za nim biegł niepokromiony śmiech dziewczyny, co wczoraj była jeszcze jego.

— Mocniejszy beł... — stwierdził beznamiętnie.

Tuż pod szalasem, w głębokim żlebie bełkotała woda. Pobieglł oczyma z jej biegiem, smużyła się niżej doliną w czarnym, spalonym wiatrolomisku. Z tej wysokości zobaczył, jak omijając duży pagór schodziły się w jednym miejscu trzy potoczki. Tknięty przeczuciem, rzucił się w dół. Zagroziły mu drogę zwalone pnie, łom, chraść, jafer i ferecy-na. Przebijał się przez nie z wysiłkiem, siepał się i szarpał w tej gmatwaninie, aż zrozumiał, że ulegnie nocy. Głodny, dygocący z podniecenia, przysiadł przy wancie i skrzesał watrę. Atramentowa czarność wśród boru, głęboki granat nieba zaczęły się nasycać drżącym seledynowym światłem. Wysokie korony jodeł na zboczu obrzeżyła srebrna nić, wyniósł się nad nie księżyc jesienny, wielki jak koło. Las westchnął. Gdzieś z głębi odezwał się nocny ptak — puchacz. Krętym lotem niosły się gacopierze tuż nad głową samotnika. Zatrzeszcza-



ła pod stopą zwierza chraść. Niesamowitość cichej nocy, przymus tej wędrówki, podyktowany jakimś nakazem, utwierdzały Chramiaszka w przekonaniu, że stoi już na progu szczęścia.

— Così na tym jest, kie mie haw prziwiedło. Ka-  
zało mi haw zamierknonć. No, dockajmy, co bedzie.

Z pierwszym brzaskiem zerwał się na nogi. W miejscu, z góry upatrzonym, wyniósł się na niską kopkę, która jak łacha tkwiła u zejścia się wód. Na kopce tej stała, nie tknięta wichrem i pożarem, kępa wysokich smreków. Z szumem i łopotem skrzydeł zerwał się na głos ludzkich kroków głuchoń i spłynął w dolinę. Beknął rogacz. Łamiąc chraść i gałęzie parł Chramiaszek przed siebie, aż dobrnął na wierch. U stóp, w niegłębokiej dolince zlewały w dość obszerny banior wody trzech potoków. Na palcach jak w świętym miejscu sunął w dół. Nad baniorem, wszczepiony kurczowo pazdurami korzeni w skały, rósł ogromny pięcioramienny smrek. Miejsce było dzikie i ustronne a tak ciasne, że nie zachodziły tu żadne perci ani ślad człowieka. Przymarzłe łopiany, siwe tojady kłaniały się wodzie pod rannym wiatrem. Ogarniał je swymi ramionami smrek, przyhołubiał do siebie, ocieśniał. Wichry czy śniegi złamały mu w jego młodości wierchowiec. Rana zabliźniła się, na miejsce wierchowca dźwignęły się ku górze niższe konary i wyrosły pięcioma wierchowcami wzwyż. Rozprze-strzeniły się łakomie i zagarnęły sobą okrag światła tak wielki, że pod nimi schować się mogła cała chałupa z obejściem.

Patrzył Chramiaszek w jakimś omroczeniu na to drzewo. Wreszcie podszedł ku niemu i starannie obejrzał korę na wysokość człowieka. W jednym miejscu zauważył nieznacznym, zalany żywicą zakrzos. Oblał go gorący war.

— Haw — wycharkotał z trudem ze ściśniętej krtani. Drżał tak, że uginały się pod nim kolana i usiadł na chwilę. Raz wraz ocierał z czoła pot, który zalewał mu oczy. Wreszcie, dźwignięty siłą chciwości, zaczął krążyć około smreka. W rudej podścieli, na prawie gładkiej ziemi nie spodziewał się dokonać odkrycia. Jedynie w korzeniach. Wszczepione były w gładką niespękaną ścianę i poszukiwania były tam bezowocne. Poza zasięgiem konarów, wśród chwastów i łomu przejrzał każdą skałkę i każdy kamień. Większe okopywał cierpliwie miejsce w miejsce, aż stwierdził, że calizna idzie gdzieś w samą głąb ziemi. Drapał i kopał dookoła drzewa w coraz większym promieniu, w gorące i pośpiechu. Spalone usta wyjękiwały modlitwy, to znów klątwy, skrwawione palce i zdarte pazdury grzebały z furją. Od czasu do czasu wstrząsał nim bezsilny szloch. — Nima haw... nima... Jezisz, Maria, nima.

— Jakoz tu nońść. Maryjo, na takim miejscu? Ono musi haw być. Musi. Zerwał się znowu, mokry, rozdygotany. Jak oszalały przeskakiwał z miejsca na miejsce coraz dalej, to znów nawracał, grzebał powiekroć w miejscach już przeszukanych, wyrwał darń garściami. Słońce stało już wysoko i grzało przymilnie patrząc spokojnie, jak wśród traw



i łomu siepał się szalony człowiek. Potok, nie czuły na ból i rozpacz człowieczą, głądził swoje pogwarki monotennie, z szyderstwem. Na wysokiej gałęzi smreka świergołił mały ptak. Chramiaszek podniósł nabiegłe krwią oczy do góry i wygrażał mu pięścią:

— Śpiwos... zła krew. Nimos nic, to se śpiwos. A jo? Mom to co?

Nagle, tknięty jasną myślą, przypadł do pnia smreka. Jak kot chwytając się niskich konarów, jał drapać się ku miejscu, kędy krzepki smrek rozrastał się w wierchowce. Było to miejsce szerokie jak siodło. Niecierpliwymi rękoma jał grzebać w naniesionym rudym igliwiu, w lekkiej próchnicy. Palce natrafiły na zagłębienie dziuplaste, zagłębiły się w humusie i wyczuły — twardy brzeg kotlika. Serce dusiło go w krtani. Niecierpliwie odrzucał tę ziemię, aż wreszcie wydrapał palcami z wygniłej zapadliny spory kotlik, przykryty płaską skrzyżalką. Nie miał siły jej podnieść. Zesłabł tak, iż czarne koła zaczęły mu tańczyć przed oczyma. Z kotlikiem na kolanach, z zamkniętymi oczyma, błąd jak trup, łapał oddech. Gdzieś we wierchowcach usłyszała wiewiórka jego grzebanię i spłynęła jak czarny płomień po gałęziach tuż nad jego głowę. Kręcąc nosem od nieznośnej woni spoconego człeka i wywijając kitą, pluła głośno i ze skrzekiem schroniła się gdzieś aż w błękanie. Mały ptaszek niefrasobliwie śpiewał dalej.

Wreszcie Chramiaszek drżącą ręką zdjął skrzyżal. Spod nalotu lekkiej pleśni zajarzyły złote, szczerozłote talary. Zanurzył w nich dłoń, jak

w święconej wodzie, z uczuciem nieziemskiego szczęścia. W zbitej grudzie monet namacał krągłe korale. Wyciągnął je i podniósł do góry. Bicz korali, wielkich jak piąstka dziecka, zakołysał się i zajarzył krwistą czerwienią.

Chramiaszek łykał językiem łyzy, spływające po policzkach, i śmiał się jak wariat.

— Talary... turocki... korole... sitko moje.

Nerwowo wyjął zza pazuchy szerzynkę, ułożył ją na podółku i zesypywać ją swoje bogactwo na białe płótno. Suły się z cichym brzękiem bez końca. Starannie owiazał końce szerzynki i opuszczył ją na dół. Spadła stuknąwszy złościście. Do kotlika splunął, wrzucił hubę, którą zerwał z konara, i przykrywszy na nowo skrzyżalką wpuścił w dziuplę. Zasypał go próchnicą i igliwem i zesunął się z drzewa.

Dźwigając złoto szedł lekko jak ptak.

— Sprościlek sie, ej sprościł. Morgi Chłopeckuli moje... talary, turocki... złociste, mojeściewy... moje... Dziękuję Ci tyz, Panie Boze, żeś mi je pokozoł. E, mos tyz ten roncke dobrom, mos. Juz jo cie świckami opędze, nie bój sie. Kiek ślubował, to świcki twoje, trzi... bedzie dość trzi, ni?

Huczało w białej izbie u Kowala na Kotelnicy, jak w skrzyni. Wydawał Frankę za Jaśka od Zwiaczów i sam grał ze swoją kapelą, z Józkiem i Staszkiem od Brzegów. W izbie ciemno było od dymu, gęste, zwarte powietrze sinymi zwojami ko-



lebało się płynąc ku drzwiom. Jak dym falowali ludzie, których upytał Kowal, co godniejszych swoków i kmotrów, i tych honornych, którym nieraz grywał. Siedzieli na ławach, na łózkach, w białej i czarnej izbie, w sieni, na ganku, spali na szopie i wyżce. Dzieci gromadami od samego rana obsiadły opłotki i zaglądały przez okna do izby. Raz wraz zrywała się pieśń, to pojedyncza, poddająca w białej izbie nutę muzykantom, to znowu starsze baby zawodziły przynapite w sieni, objawszy się za szyje. Śmiech, krzyki i pisk dziewczynek, drażniących przez chłopców, świdrowały w uszach.

Chramiaszków Jaś, co ku młodszej Józce Kowalowej chodził, tańczył w izbie. Wywiódł mu Józkę Kotelnicki Staszek, a on sam stał przed muzyką, oparłszy się lewą ręką o biodro a prawą wywijając tuż przed twarzą Józka Brzegowego, śpiewał:

*Wsycy moji bracia pošli poza bucki,  
a jo se nie poseł, bok se beł malučki.*

Podchwyciła muzyka i Jasiek wziął się pięknie nosić po izbie. Drobno przebierał stopami patrząc na nie, jakby się sam dziwił ich prężności, niósł się w tył przestawiając stopę za stopę, to znów w przód i boki. Boczkowała mu Józka wdzięcznie, odwróconą dłoń oparłszy nad biodrami, z odchyloną głową, za którą płynęły warkocze. Tupnął Jaś nogą w dyle, odpowiedziała mu lekkim tupnięciem kierpca, plasnął w dłonie, obróciła się wokół siebie kikakroć, aż spodnice, jak dzwon roz-

łożone, obnażyły jej zgrabne szczupłe łydki. Łyskała białą bogato ząbkowaną i haftem zdobioną spodnicą podspodnia. Doganiał ją Jasiek, a ona uchylała mu się z zalotnym uśmiechem. Tak sobie tańcem mówili swą miłość gorącą, goniąc i oddalając, wabiąc jak kohuty na toku.

Baca Chramiaszek, choć był z lekka przynapity, bacznie pozierał za dziewczuchą. Widziała mu się i z urody, i dla majątku, bo choć ta muzyki radzi mijają dudki, przecie uzbierają ich nie mało. A Kowal grywał tym najhonorniejszym. Siedziała przy nim na ławie baba jego, Agata, czerwona na twarzy jak „piwowonia“, szeroka w biodrach, rozłożysta, dostojna. Drobnyimi łydkami popijała wódkę czerwoną, słodką, którą dolewał jej skwapliwie Samek, Sobestjana ojciec, i ocierała z lica pot piękną chusteczką utrzymaną w ręce.

Poinne chłopcy zawieruszyły się rade przy cudzych babach, jako i ten Samek, ale Chramiaszek trzymał się swojej, po jedno — że się jej bał, po wtóre, że ta jedna w życiu mu starczyła.

Nieraz mruczał sobie w gorzkich chwilach małżeńskich doświadczeń, drapiąc się w łysinę: — Mom se jednom babe za duzo. Ej, mom dość.

Choć Agacie dobrze szumiało w głowie, pozierała za Maryną, młodszą córką, która się gdzieś w tłoku z chłopcami straciła. Trąciła Chramiaszka łokciem i szepnęła:

- Stary, poźrałbyś ta, kany Maryna.
- Kazby beła, dy je przecie haw.
- Kany?



— Na weselu.  
— Głupiś. Podziwiał się, czy się kany z chłopczykami nie straciła.

— Zje, kazby się miała stracić?  
— Na sianie.  
— Z tego jej nie ubędzie. Starcy.  
— Głupiś.  
— Mieli, mocny Boże, dy mi tak całe życie świadcys.

— Przyświadcylabyk ci, kieby my haw beli sami.

— Spróguj — rzekł śmiało, jako że wśród obcych był o siebie spokojny. Zaraz jednak zgasł jak świeca, zobaczył bowiem, że Samków Sobestyjan siedzi nie daleko na ławie w tłoku i trzyma na kolanach ich córkę, Weronkę. Objął ją ogromną łapą przez piersi, wdzięcznie dźwigające malinowy gorset, i tak siedząc śpiewają oboje głośno. Aż zmarł. Trącił on tym razem Agatę i wskazując na nich krzyknął jej do ucha:

— Stara? Widzisz!

— Widzem.

— No i co?

— Kieś taki śmiał, no to idź ku niemu.

Chramiaszek jak żółw wciągnął głowę w ramiona i przygasł.

— Cosi z tego będzie, ej będzie — stękał.

— Cozby miało być? Pobierom się — spokojnie odpowiedziała Agata.

— Pobierom się? Dy mie, zło krew, dobił, kie prziseł do miru w hole.

— No i dobrze zrobił. Teloś wort.

— A jo mu Werunki nie dom — głądził uparcie.

— Ale jo mu jom dała.

— Ty?

— Jo.

— Jakże tak bez mojej wóle? Dy to przecie i moje dziecię.

— Cy twoje, to się o to dziśka bić nie będziemy — rzuciła pogardliwie.

Chramiaszek raz jeszcze spođe łba spojrział w stronę Sobka. Nie było ich już na ławie.

— Pódem za Marynom — rzekł wstając.

— Uważuj, coby ci drugi przy niej nie dobił — natrzęsała się Agata. Sobków ojciec śmiał się z nią razem głośno, prosto w twarz Wojtkowi. Poczł się więc bacia w dusznej izbie nieswojo i ruszył ku drzwiom.

— Kiebyk był młodszy, ej mieli, mocny Boże, wypłaciłbyk cię — odgrażał się w duchu Agacie, rozżłony jeszcze bardziej, kiedy widział, że Samków ojciec trzyma ją krzepko w pasie i coś jej do ucha szepce, aż ognie na nią uderzyły. Wlażł w sieni na Bachledę Księdzularza, bacę z Kondratowej. Był już pijany i, kiedy zobaczył Chramiaszka, rzucił mu się w ramiona.

— O, mój Wojtecku, i tyś haw?

Całował go niedołąźnie w lica, wiosłując z nim jednak pilnie do czarnej izby, gdzie odbywało się dopiero właściwe pijaństwo, podnoszące chłopom czupryny na łbach. Tak dowiosłował z Chramiasz-



kiem, ciągle go boškając, do stołu, gdzie w mętnych szklach iskrzyła się wódka.

— Napijes się ze mnom, Wojtecku?

— Napijem sie.

— Siulim.

— Łyknełi.

— I do pary.

— Do pary.

— Coby sie nam dazyło.

— Haj.

Alkohol uderzył mu do głowy. Ciepłota Księdzularzowej przyjaźni rozrzewniła go do łatwych pijackich łez. Oparł mu łysą głowę na piersi i z płaczem wyskarżył:

— Dobił mie.

— Fto ci dobil? Kie?

— Sobestyjon! Samków Sobestyjon. Bee temu ze śtyry roki.

— E, o coż sie tropis? Dy to dawno. Basama je-go dusiu. Pijmy.

Pili znów. Gęsto zwarły się chłopcy przy stole, gdzie facecjonista Daniel, choć młodzik i ku starym nie patrzył, ale wódkę nade wszystko, nad ta-niec nawet cenił, opowiadał:

— Sliseliście kie, jak sie świąci ludźmirscy w tórbce Łukascykowyj poharkali?

— Slisolek cosi kasi. — odpowiedział Frącysty — ale...

— No to posłuchojcie. Śli chłopcy i baby na od-pust w Ludźmirz, a stary Sobcok Johym Jasiek nie poradził iść, bo go gościec poskręcał, jechać nie

fciół, bo mu z babami nie kompanija, totyz pada do Łukascyka: — Ej, hłopce, kielo my to roków społe chodzowali w Ludźmirz, miely, mocny Boze, a teraz idzies som. — No to sie sebiiecie se mnom, swoku. — Coz kie jo juz nie poradem iść. — E, toś-cie juz rzodki. Jo sie jakosi przy boski pomocy trzi-miem. — No dyjto — rzodki. Joby jesce bez stół hipnon, kieby nie ten gościec, wereda. Wzieno, no-gi poskręcało, a kie stanem, to w nik skrzipi.

— Hej — gwarzi Łukascyk — ono sie ta poma-lučku w cłowieku sytko końcy, kie wom juz do ser-ca gościec dońdzie, bee po vos. Miechy ustanom.

— Jo ta tyz uwazujem, ze wte bee tyz po mnie. Ale wis, Andryś, od serca do piętów daleko. Dopirz mi w kolanak skrzipi. Wysy jesce ze mnie hłop. I ku babie, i ku misce. Ale co ci powim, to ci po-wim, ze kie juz wysy dońdzie bee kóniec.

— No bee.

— A moze jesce ni? Ale wis, Andryś, nie zawadzi sie strzódz. Tobyk cie piknie pytał, cobyś mi na od-puście świątyk nakupił dziewiści. Naucyli jęgo-mość sidziniarki takom nowenke odprawować, to mi moja vse brzęcy: odprow, odprow. No, niekze bedzie, jako fce. Odprowiem. Kozdy dzień bez dzie-wieńć dni a no kozdy dzień do innego świętego. Dy to nie štuka... Karby se porobiem za kozdy dzień, obrozocek poboškom i upytom ik, coby mie popuściło, a kie juz musi być, niekze bedzie poma-lučku. Kupcom tam nowotarzany takimi świenty-mi, bok som widzioł łoni, po pińć grajcarów štuka, to mi tyz, swoku, wygódźcie i kupcie. Macie haw



pół papirka, to sie wom jesce pienć grajcarów zwy-  
sy. Moze ta i miescany popuscom, kielo telo, kie na-  
raz tylu świątyk kupis. A uwazuj, cobys wybirol  
tyk świątyk starsyk i z brzodami, takimi jak świen-  
ty Józef w kościele, bo to wse przecie mądrzejse.  
Oni temu bedom rozumieć, kie cłeka cosi boli.

Zrobiem, jako fcecie, ale cy ta miescany popu-  
scom, to jo tego nie wim. Psie krwie, duse by z tobie  
spyrchorze wyjeni za jednym krajcarzem. Kiek roz  
bicysko w mieście kupcył, to sie taki mąt w mieście  
zrobił, ze sie jaze ziandary zleciały.

— E, o cóz?

— O nic! Wybrołek se bicysko fajne, jak sie pa-  
trzi, i pytom sie takiego miescana, kielo za nie?  
— Ten gwarzi, że trza bedzie dać z dziesięć śćwio-  
roków. Jo mu na to, e, diabli ci w rzyci grali, coz  
tak drogo? heba bez to w dubelt licys, boś psiokrew  
zyzowata.

Narobiel gwołtu, a jo go w kufe tym bicyske i te-  
łoś mie widziol. No, beł mont. Ale tyk świątyk, to ci  
kupiemy dziewiąci, kie juz tak fces mieć i starsej-  
syk, moze ta, co na nik opuscom, telo ze montu przy  
kościelu robić nie fajnie.

Co sie nie robi, kie sie Łukascyk z odpustu obró-  
cili, mieli tyk świątyk, ino jacy pięci. Śćwioro hy-  
biało.

No, kaz ci świąci, pyta sie Sobcok.

E, juz wim, ka sie bestyje stracili. Kiek ik w tórb-  
ke wbił, za małom kwile wzieni sie tam harkać.  
Zbacylek se, ze śtyrok beło młodszyk, bez bausów,  
bo nie beło innyk u kupca. Młode to wse naremn

no i wzieni sie w tórbce harkać. Gwarzem ku nim:  
Cichoze, cicho świąci, porządek musi być. Za kie-  
lek dudom zasel, to tyk pięci starsyk tamtyk śty-  
rok młodszyk zjadło, haj.

— A u zidaś w koremie beł?

— Zje cozyk nie miol być, dyjto przecie odpust.

Gruchły chłopcy śmiechem plaskając dłońmi w ko-  
lana.

— E, best. Obieś. Przy som Panu Bohu — obieś.  
Zagłuszył ich wielki mąt w sieni. Baby darły się,  
dziewki kwiczały. Wyjrzeli przez drzwi Bachleda  
z Chramiaszkiem. Wodzili się tam za łby Polanków  
Bronek z Danielem Klimkiem.

— Bijom sie.

— No niekze — mruczał dobrotliwie Bachleda  
Księdzularz. — Dyjto na weselu.

Rozdzielili ich jednak przytomniejsi.

— Wis, Wojtuś, co ci powim, to ci powim, ale ci  
powim, semnie beł bitnik. Wielgi. Napijmy sie.

— Siedziol wis w Chycowym Potoku taki Chyc  
samo tak jako i jo, Symek. No i, dobrze nie bardzo,  
pobili my sie pirsy roz przy dziwkach w Małolonce.  
Posełek hań z Dziadusie z Jędrzke z Polon, z Groni-  
ka. Chodzowołek hań ku takij Brońci z Roztok, ka-  
ny folus. Dziwka beła pikna do cudu. Kieś jom  
chycił za... kwarde, to beło jak rzepa.

— Kwarde, mówis? — dopytywał Chramiaszek.

— Ba, haj. I jak. Miol tam jakisi juhas organki  
frymuśne, kasi jaze z Cechów, groł, tońcowaliśmy  
i tameśmy sie z tym Symkiem o toniec pobili. Do-  
biłek fte jo jemu. Dopod mie, kie my potrow kosili,



a my wse spółnikowali na Bachledak, dobił on mi. Jo mu zaś, kie my pojechali w miasto na jarmak, u Ajzyka w karcinie. Wyplaciła mie bie-styja w Hamrak, kiek ku panu za kwitkiem pojechał, na drzewo. Moim kuniem mie chłopcy dudom przywiezły, telo mi dobił. Fciała mie krew ujść. No, takiś ty, bestyjo, myślem se, nie bedziemy sie wse tak za darmo bili. Poselek do prawa. On tyz.

Dali mu pół roku, mie ćwierć. Ino wyseł, pobili my sie zaś u Riegelhaupta. Ale mi juz nie odpłacił, bo jakosi pote na sam święnty Mijoł umar. Przisia-dło go drzewo w lesie.

— Umar mój Symuś, wis. Napijmy sie. Telo mi go zol — Wojtuś, ej, zol. Ni miołek sie pote z kim bić. Heba, zebyś ty sie fciol ze mnom bić, co? — zapytał już groźnie.

— Zje o co?

— No dyj to — o co? — Zamyślił się chwilę Księ-dzularz i wreszcie krzyknął:

— Łysaś, bestyjo.

I byłby niechybnie Wojtka Chramiaszka w łeb uderzył, gdyby nie nowy mąt w sieni.

Wyjrzeli. Muzyka stała u drzwi i grała marsza. W ciźbie przepychali się ku białej izbie nowi goście, których witała Kowalka, bo jej chłop grał. Byli to Mateja i Kacka, Jasiek Walczak i Maryna Jarząb-ków, wreszcie ogromny młynarz, Gał Mrowca z Ol-czy.

Pojaśniało w izbie, kiedy usiedli na skwapliwie opróżnionej ławie. Przywiedła Kowalka ku nim młodych. Ujęła Franka pod nogi Mateję, bo był jej

chrzestnym, Walczaka i Gała, obłapił ich i Jasiek. Łaskawie pogłaskał Frankę Mateja po głowie i wy-jął z opaska złotego talara. Pogłaskał i Walczak, i Gał i dali po talarze. Młoda trzymała je w garści olśniona i oniemiała. Muzyka zagrała mocno. Dźwi-gnął się Mateja z ławy i przetańczył jak przy cze-pinach z młodą. Przetańczył i Walczak, i Gał. Ra-dosć i zabawa doszła do zenitu. Jeden Wojtek Chra-miaszek, gdy tylko goście nadeszli, przebierał się co tehu do pola, nagle otrzeźwiawszy. Drżał jak liść.

— Jo juz cujem, co mie haw dzisiok dobijom. Krista Pana, pocózek haw prziseł.

Zupełnie zesłabł, kiedy przypomniął sobie, że Maryna przyszła na wesele w koralach, znalezio-nych w kotliku. Dał je dziewczynie w przystępie nie tyle ojcowskiej czułości, ile na rozkaz Agaty. Przez głowę mu nie przeszło, że Mateja może dziew-czynę obaczyć w koralach. O pieniądzach wiedzieli tylko on i baba, ale korale?

— Sytko bez babskom głuposć — jęczał. — Ten nom odpłaci.

Aż się za głowę złapał w zamęcie myśli. Nagle poderwał się w wybuchu rozpaczliwej energii.

— Kiebyk tak Maryśke dopod, zakiel jom Mate-ja uwidzi?

Nie pomny na możliwą bitkę wrócił ku izbom. Pozierał pilnie, gdzie tylko była jaka gromada, ale nie znalazł jej w domu.

— Fałaz Bogu, nima jij haw. Ka sie mogła stra-cić?



Zaszedł ku szopie i usiadł na pieńku. Ociężała głowę podparł rękoma. — Coz tu konoć — powtarzał bezmyślnie — co konoć?

Dobrze mi gwarzyła Jagata, cobyk jom sukoł. Trza beło przódzi.

Z szopy doleciał go szmer. Nadstawił uszu. Szeptalo dwoje.

— Telo ci piknie w tyk koralak, Maryś.

— Hop. Tuś — pomyślał uradowany Wojtek.

W szopie była chwilę cisza — Ftoby to miol śniom być — medytował.

— Puść mie — szeptala dziewczyna — puść, bo zesłabnem.

— Takaś jak obrazek.

— O, mój Bartecku, dy mie nie bośkoj telo. Jo juz nie wytrzymiem. Puść.

— Puść — krzyknął Chramiaszek, kiedy po głosie poznał, że to Bartek gdowin, Gromadziny, biedak.

W momencie wyskoczył z szopy Bartek z takim rozpędem, że starego, który się dźwignął, obalił na pieńku z powrotem i zniknął w ciemności. Za nim wypadła Maryna. Nim zdążył krzyknąć, albo złapać ją za kiecki, wpadła w sień i znikła w tłumie. Zataczając się uszedł Chramiaszek do swego domu.

— Ten mi do, no.

Kiedy Marysia weszła do izby, tańczyła Kacka ze Staszkiem Sobczakiem, młodym chłopcem, który poza nią świata nie widział. Patrzył na nich chmurno i spod oka Mateja. Właśnie ją Staszek w tańcu zwyrtał, kiedy oczy Kacki padły na świeżą dziew-

częcą buzię Marysi Chromiaszkowej i na jej wspinałe korale. Nie bacząc zupełnie na tancerza, zostawiła go na pośrodku izby i podeszła do Marysi. Zbliżyła do jej twarzy swą smagłą, ciemną twarz, podpaloną ciepłym rumieńcem, i patrząc jej w oczy zapytała:

— Cyjeżes ty dziwce?

Dygnęła przez nią rozplamieniona Marysia i rzekła:

— Jo jest Chramiaszków z Chramcówek Marysia.

— E kielo tyz pikne mos te korole, do cudu. Skądze ik mos?

Nie zdążyła odpowiedzieć Marysia, bo tuż pod jej bokiem wyrosła matka Agata i podparłszy się bucznie w biodrach rzekła z godnością:

— Swoje... rodowe.

Wzięła Kacka w rękę korale i ważąc w smagłych dłoniach o ślicznych długich palcach cieszyła nimi oczy. Puściła je wreszcie tak ciężkie, że ciężarem swym przygniatały drobną jeszcze pierś Marysiną i zamysłona zapomniała o tancerzu siadłszy przy Matei. Coś z sobą długo szeptali.

Mateja rzucił jedno krótkie spojrzenie na Marysię i z oczu strzelił mu ogień. Potaknął głową.

Sprawa stała się dla niego zupełnie jasna. Nikt tylko Chramiaszek znalazł Franków kotlik, a w nim oprócz talarów korale sołtycki z Ważca. Nie inaczej. Rozgarnawszy ręką ciżbę weselną jał szukać Wojtka. Nie było go nigdzie. Wrócił ponownie do białej izby i wbił oczy w jego żonę Agatę. Pobladła pod tym spojrzeniem i oprzytomniała. Wywietrzała



jej z głowy wódka, wywietrzały Samka zaloty. Niecierpliwie wyluskała z tłumu Marysię i pobiegły do domu. Zanotował sobie ich śpieszne wyjście Mateja.

Nie wesola to była noc u Chramiaszków. Ojcowie ciskali się do bitki niemal, Marysia zarykiwała się za koralami.

— Cichoże, nie brzejsz — wrzeszczał Chramiaszek tłukąc się jak wściekły po izbie.

— Cyk ci mówił, cy nie mówił schowoj? Do casu, zakiel sie ucisy. Nie mówilek ci?

— To i co, żeś mówił?

— No, to bee teraz piekło, wis. Dy to przecie zbój, zabije mie.

— To mu ik ciśnij w kufe, niek sie nimi udawi — płakała Agata.

— Takie korole jemu? A tamto? — zapytał ciszzej.

— Hej, wiera, ten nos wypłaci — biadkał dalej bezradnie.

— Oddoj mu, oddoj sytko — łkała Agata.

— Babo. Cyś ty o rozum przisła, cy jak, psia kudło. Teli majontek jo — jemu — oddoć?

— No to coż będzie tera?

— Wseś, zło krew, nade mnie mędrzejsa. Wseś nade mnom wirchowała, a teraz jo mom wiedzieć, co jako? To!

Skoczył ku niej i w ostatecznej wściekłości złapał ją za włosy. Odtrąciła go od siebie jednym zamachem ramienia płacząc bezradnie.

Biadkał z kąta ławy: — Tera się wybroń ty, wis,

ty, kieś taka mondra. Diasi ci w rzyci grali, aj, grali, co cie pokusiło takiemu dziecku korole dawać. Coż tera będzie?

— Odkazemy ziąndarom — krzyknęła żona.

Skoczył jak ukaszony.

— Ziąndarom? Coby sie ospytowali, co i jak, zeby mi to zabrali. I zeby mi tamci wypłacili ka na hali, jak pódem z owcami?

Aż zesiniał ze strachu i złości.

Podeszła ku niemu i ujęła go za ramię.

Wojtek wis, schowojmy to i niek będzie jako fce. A ty — zwróciła się do Marysi — milc. Zeby nie wim fto i co ospytował, milc. Korole som mamusi-ne, mas gwarzić i telo.

Schowali je do skrzyni i legli wreszcie spać. Już zasypiał, kiedy wionęła mu prosto w ucho:

— Kaś schował dudki?

— W somsieku na strychu, w jarcu.

— Sługa nie nońdzie?

— Dy jo som kuniom wydajem.

— No!

Po pięknych pogodach nastały z końcem października dni szare, pełne dżdzu i zimnych mgieł. Drogi rozmokły i opustoszały, wieś jakby przycupnęła do ziemi i zapadła w sen. Pozierali chłopci przez małe okienka ku góróm, kiedy skurzy śniegiem, żeby można po drzewo do lasu wyjechać. Nie działo się we wsi nic. Wesela, gdzie miały być, odbyto — jedynie młode chłopaki ciągały się między osiedlami, śpiewając dla fantazji i zachodząc na



posiady ku dziewczętom, które wieczorami przędły lub tkwały przy płonących sajtach.

W chałupie u Kacki w taki wieczór mżyły okienka mdłym światłem ogniska, płonącego na otwartej nalepie. Tuż przy nalepie siedział na ławie Wojtek Mateja z Kacką, przytuloną do jego ramienia. Patrzyli w milczeniu w ognisko. Wojtek przesiewał przez palce jej długie włosy, pachnące żywicą. Za oknem uderzał w modrzewie wiatr i szumiał.

Nachylił się nad jej smagłą twarzą i patrzył w ciemnoniebieskie oczy. Uśmiechała się do niego odsłaniając pyszne zęby.

— Kielo mi z tobom dobrze, Wojtuś.

— Oprowde?

— Haj.

Przyłgnęła dłonią do jego serca.

— Takiś jest jak góra. Mocny. Jak watra ciepły. Mój.

Owinęła go ramionami, i przywarła ustami do ust. Podniósł ją jak pióro do góry i śmiał się: — Mocnyk?

Tak nimi kołysała miłość jak wicher lasem. Targała i niosła w zatracenie wszystkich uczuć. Zostawało jedno, zespolić się z sobą w miłości mocnej, że aż okrutnej. Nie była to już miłość, ale pierwotna walka pełna krzyków i jęków, zmagania się siły z siłą i uciszeń tak słodkich, że serce stawało w biegu. Zapadli się w tę cichość, aby walczyć. Niejednokrotnie w obawie o uciekające z rozkoszy życie, broniła mu się z siłą taką, że przeciwstawić jej musiał swoją siłę i srogość. Uciekała, zastawiała się

sprzętami, kopala i gryzła. Brał ją w swe czarne, mocne ręce, targał na niej w walce koszulę i przyciskał do piersi. Patrzyli sobie w oczy jak wrogowie. Nagle w jej oczach mętniał świat, żrenica stawała się wielka i czarna jak noc, załamywały się pod nią kolana, wiotczała mu w rękach jak kwiat. Opadał na jej śliczne piersi.

W najwyższym uniesieniu płakała jasnymi łzami dotykając palcami jego czoła, policzków i ust. Błądziła po nim pieczętą wstydliwą a namiętną drząc w spazmie oddania jak liść na jaworze.

— Gorącyś jak watra — szeptała. — Straśnyś, jak niedźwiedź. Ocy u tobie zbójcekie, srogie, corne. Zębce mos jak ryś. Puść mie. Trzymies mie jak w oklepcu. Nie! nie puscoj!

Napadały ich czasami chwile zazdrości tak wściekłej, że obrzucali się wyzwiskami i godzili w siebie jak wrogowie.

— Zabijem cie — warczał łyskając zębami. — Zabijem jak suke. Pocóżeś śnim tańczyła, ze Staske? Widziołek, jak cie po kątach obłapiał, ty — łachudro. I jego zabijem tyz.

Podchodził do niej, ujmował jej białą, wysoką szyję palcami i naciskał.

— Udusem.

Nie zaciskał mocno dłoni. Patrzyła na niego oczyma takimi, że zapierało mu oddech. Opuszczał dłonie i z trudem, z dna serca wydobywał słowa, których się wstydził:

— Ni mógłbyk bez tobie żyć.

Śmiała się gardlanym, gołęmbim śmiechem.



Wpadała i Kacka w szal.

— Co widzis u ni — wrzeszczała — co? Scudło. Telo ze sie koło tobie pokręci, toś juz przepod. War-gula. I śmierdzi — dodawała z odrazą. — To se za-pamiętaj, ze kie cie jesce roz przy ni uwidzem, abo jom przy tobie...

— To co? — śmiał się.

— To!

Błyskawicznie wyrwała spod serdaka nóż i przy-łożyła mu lekko naciskając ostrze — do serca.

Nóż upadł pomiędzy nich, usta zwały się w po-całunku.

Miała od niego Kacka najcieńsze płótna z kez-marskich składów, jedwabne chusty, wzorzyste spódnice. Kierpce nabijane miała złotymi ćwiekami, złoto leżało w skrzyni pochowane, sama mało pa-miętała gdzie. I dzisiaj nasuł jej pełną garść za ko-szulę, na piersi, śmiejąc się kiedy otrząsała się jak szczeniak, a złote monety padały koło niej na zie-mię. Tańczyła po nich, deptała je lekką stopą, nie dbała o nie. Stała tylko — o niego. Nie napotykana to była miłość, nie chłopska a żarłoczna i spalająca jak ogień.

Poraz pierwszy w życiu objawiła chciwość, kie-dy zobaczyła korale u Marysi. Zrozumiała, że to te, o których mówił, z Franka Budzowego kotlika.

Podniecała Mateję, aby je odebrał, aby wywarł na złodzieju zbójnicką pomstę, a kiedy milczał, szydziła zjadliwie i okrutnie.

— Jużeś rzodki. Co z tobie za hłop, kie ci taka,

za przepytaniem, bździna w zembach grzebie. Z gar-dła ci wyjon, a ty nie.

Oczy Wojtka zwięzały się do waziutkich szpare-czek, nieochybny znak jątrzącej go złości.

— No i cożyś ty fciała, cobyk konół? Hy?

— Sciśnij gnide za garło i weź swoje, kieś hłop. Po jednej takiej szalonej nocy, kiedy świat tonął w kurniawie, uciszyło się nad ranem i ścisnął mróz. Kacka czesząc swe długie włosy patrzała przez okno na świat, rumieniący się rannym słońcem. Stała tylko w koszuli i spódnicy, białe toczono ra-miona miała uniesione do góry. Jak woda płynęły jej przez palce suche, lśniące włosy. Nagle krzy-knęła cofając się od okna.

— Coz takie? — zapytał Wojtek, leżący jeszcze w pościeli.

— Chramiaszek! Jedzie do lasa na gnatkak.

Zerwał się jak uderzony. Co tchu obuł się do por-tek, narzucił serdak i cuchę i nie rzekłszy nawet słowa wyleciał z izby.

Sanie zniknęły w lesie. Została za nimi koleina błękitna w jaskrawym śniegu.

Lasem wstrząsał huk siekiery, puszysta okiść spadała z szelestem raniąc gładkość śniegu. Kerdel sarn, zaniepokojony rozgwarem lasu, ruszył z miej-sca błyskając wśród pni białymi talerzami. Z szu-mem przeleciały kwiczoły, w skoruszy jednostajnie wygwizdywał gil. Gdzieś w lesie stuknęła żołna.

Chramiaszek, ślepy na życie lasu, rąbał zapal-czywie smreka ocknąwszy się dopiero, kiedy tuż



przy nim stanął Mateja. Siekiera zawisła w powietrzu. Dreszcz niepokoju zmroził od razu krzyże. Mateja pykając spokojnie fajeczkę zapytał:

— Cóżecie się tak zestrachali? Rąbiecie?

— Nie słisolek wos iść. Rąbiem. Fciołek se sópke okrokwić.

Spokój Mateji ogłupił go do reszty. Nie wiedział, czy rąbać dalej, czy podtrzymać pogwarke, dreptał niespokojnie na miejscu ściskając w garści siekierę. Przez myśl przebiegło jedynie przeświadczenie o konieczności obrony. — Dy mom przecie sikire... sikire mom w garzci...

— Kasiście się stracili na weselu, zek z wami ani nie ugwarził — ciągnął Mateja.

—Przynapityk beł, tok poseł legnać.

— Piknie tyz beł wasemu dziwcęciu w koralak.

Zaceno się — pomyślał Chramiaszek. Wciągnął głowę w ramiona, jak miał w zwyku w trudniejszych chwilach, i żartobliwie odpowiedział:

— Dy to jesce jorka.

— Skodo, ze ni mógł jij widzieć Franek Budz — cedził dalej Mateja.

— Beł tyz to pies na dziwki, ej pies — bałamucił Chramiaszek. (Wytnem złom krew bez łeb, zakiel do mnie hipnie — krzyczał w nim strach).

— Na korole tyz, dy to przecie jego beły.

— Jako gwarzicie?

— Frankowe beły korole, gwarzem.

— Wyście figlorz — śmiał się z czarną rozpaczą w duszy Chramiaszek — co wom to po głowie nie chodzuje? Korole przecie mojjj baby — rodowe.

— Twojjj — szczeknął Mateja już mu nie dwojąc.

— Ba jak?

— Twojjj? Myślis, bestyjo głupio, zek cie nie widziol, fte we Wiktorówkak za mnom łązić?

— Mnie?

— Tobie.

— Kany?

— Ty ze mnie głupioka nie rób, gnido. Coz się mie tak po głupiemu ozpytujesz? Gadać, kany kotlik?

Nim Chramiaszek zdążył podnieść siekierę, wyłeciała w śnieg, silna dłoń skrzyła mu koszulę nad serdakiem przy samym gardle.

— Puście, raty, swoku, puście, udowicie mie. Co się wom troi?

— Gnido. Jo kotlik w smreku nasel, ale w nim ino huba beła. Oddos?

— Puście — harczał prawie już siny Chramiaszek.

Ucisk na szyi zelzał.

— Co wom do głowy przisło — dusił się kaszląc — o nijakim kotliku nie wim. Nie wim, przy sam Panu Bohu, nie!

— Fto się Tellermana ozpytował, kielo złoty talor worce? Fto mu go pokazował? Ty myślis, że jo nie wim nic? Ze mie, taka gawiedź, jakoś jest je ty, będzie cyganić? Kaś je schował, gadoj, pytom cie ostatni raz.

— Nie wim nic — jęczał Chramiaszek — dycieście, swoku, o flincie gwarzili, dyście przecie o flincie...

— O flinciek gwarzył, ale tyś mie przeźrół i prze-



bieg. Na dudki toś ty študer, na takie, co iny na nie robuje.

Pchnął go, aż Chramiaszek w śniegu usiadł.

— Oddos?

— Ni mom wasego nic.

— No to pilnuj sie, bo jo za nimi posukom u tobie w domu.

Splunął pod stopy znękanego Chramiaszka i poszedł.

— Źle — stękał Chramiaszek dźwigając się ze śniegu. — Niedobrze. Sytko skróś babów. Tera mnie ten — haw wyonacy do cysta. Jakoz jo sie wybro niem? Kiz ta diasi, aj diasi, pchali mie rekuratnie dzisiok do lasa, cok sie musiol śnim stretnąć? wypucuje mie — biadkał zaprzęgając trzęsącymi się rękoma konia. — Wypucuje mie.

Ani się na smreka nie obejrzał, zaciął konia i uciekł z lasu.

— Zabiere se som. Taki nie pyta. Sposoby mo. Ckoj — wygrażał prawie z płaczem — zabieres ale g....

Dobze, ze mi tyz nie dobił.

Na Chałupę Chramiaszków padł strach. Mimo mrozu, który coraz bardziej naciskał, sypiali na strychu pod pierzynami. Na dole dla niepoznaki nocowała to Weronka, to Marysia.

— Z takim to ta wiele narabiać nie bees. Letko cłek przy nim o żywot przinǳie.

Targani niepokojem o siebie i pieniądze, czekali napadu, zbrojni tylko w wybieg, chytrość i zacięcie.

Tak się ciągnęło i przycichło trochę. Nadszedł miewsopust, mokry, wietrzny, często poduhiwał halny. W jedną taką rozwichrzoną noc — cicho otworzyły się drzwi izby u Chramiaszków. Na nalepie żarzyły się jeszcze węgle, w kącie na barłogu spała Marysia. Starzy jak zwykle spali na górze, Weronka była gdzieś na posiadach z dziewczkami.

Bezszelestnie wkroczyli do izby trzech rośli chłopci z ciupagami w garści, za opaskami pistolce. Kłobuków nie mieli, głowy wraz z twarzą poobwijali w szmaty.

— Nima ik duma — szepnął któryś.

— Ftosi hań śpi.

Nachylił się trzeci nad zbudzoną, dygocącą Marysią.

— Dziwce — trącił ją.

Otuliła się z głową derką wstrzymawszy oddech.

— Nie bój sie dziwce, ka tata?

— Pošli... pošli sytko do sonsiadów — wydzwoniła zębami z dawna nauczoną odpowiedź.

— Ka skrzynia, mów — szepnął już groźniej drugi.

— W kumorze.

Zapalili na nalepie kaganek i bezszelestnie weszli do komory. Ledwie dosłyszalny trzask doszedł jej uszu. Za chwilę wyszli niosąc w ręce jej, Marysine korale. Rozszłochała się głośno.

— Ci... — przydusiła ją czyjaś dłoń do poduszki, — Ka majom tata dudki schowane, mów!

— Ni... ni... ni majom nijakik — płakała — Raty rozdarła się na cały głos.



Ta sama ręka przycisnęła jej usta i wbiła głowę w poduszkę.

— Nie brzejsc. Ostatni roz cie pytom, kany tata dudki chowajom?

Maryśka walczyła rękoma o oddech. W ślepych, zwierzęcym strachu chwyciła palcami za szmaty na głowie nachylonego nad nią człeka. Niebieskie jej oczy stanęły od strachu słupem.

— Ma... Mateja. Wojtecku, nie zobijojcie mie.

Był to jej ostatni krzyk w życiu. Naciśnięto jej białą szyjkę mocno, że wyzionęła ducha jak liche kurczę.

Obcy wyszli w popłochu nie zamykając nawet za sobą drzwi. Chramiaszkowie ocknęli się na ostatni, śmiertelny krzyk Marysi, „Wojtecku, nie zabijojcie mie“. Porażeni, milczeli nie władając własnym ciałem. Przywarci do siebie, trwali słysząc, jak wiatery targa drzwiami. Ocknęli się na ponowny okropny krzyk. Krzyczała na głos Weronka: mama! tata! laboga! tata! Maryśka zabita! Ratonku! ludzie! laboga! — krzyczała już na dworze jak opętana. Zesunęli się po drabinie na dół. Na ziemi obok łóżka Marysi leżała odrzucona derka, koszula na dziewczęciu była zadarta, obnażając podkurczone białe nogi po biodra. Głowa, nienaturalnie przegięta, zapadła się w poduszki, twarz sina, szyja obrzmiała, lśniące zęby zacięte były na zgrubiałym języku. Agata trzesącymi rękoma nakryła nieśczęsne ciało dziecka, padła przy nim na kolana tuląc twarz do twarzy Marysi i rycząc. Chramiaszek bezradnie błędził po izbie. Wpadli wreszcie

sąsiedzi z latarniami, wyrwani ze snu. Chłopeckich Staszek, Sobków Sobestyan, trzymający krzyczącą Weronkę, jego ojciec — później nadbiegli od Chyców. Patrzyli ze zgrozą na trupa szepcząc pomiędzy sobą.

Stary Samek ujął Chramiaszka za łokieć i zapytał:

— Fto jom zabił?

— Mateja. Nik iny ino Mateja. Krzyczała Mateja, Wojtecku, nie zabijojcie mie.

— Wzieni wom co?

Chramiaszek teraz dopiero rzucił się do komory. Płatając się wśród łachów szukał koralu. Nie było ich.

Świt poruszył wieś jak mrowisko. Szli ludzie gromadami na Chramcówki ku Chramiaszkowej chałupie pomodlić się przy umarłej, pojrzeć na wszystko, posłuchać jak i co było. Chłopi patrzyli ponuro spluwając, potem w karczmie u Chyca pili mocno mało co mówiąc. Łukaszczyk i Księdzularz pierwsi podnieśli gwałt.

— Tego haw nie bywowało — huczał Łukaszczyk — coby takie dziecie zbójniki dusiły.

— To nie zbójniki, ba zbóje. Rabusie.

— Podajom na Mateje.

— Ni moze to być — mówił spokojnie Kubecek — ni moze to być, coby on dziwce udawał. Dy to przecie hłop, nie babroś.

— Krzyczała na niego, sliseli.

— To moze bez to — wtrącił Księdzularz — Spoznała go. Kieby beła nie krzyczała, nie zrobiliby jij nic.



To był argument, wyjaśniający chłopom całą sprawę, pozostał jednak wstręt do zbójckiego czynu i pogarda.

Kiedy przed chałupę zajechał wózek z żandarmami i wójtem, wyszli kupą. Słuchali w milczeniu przebiegu śledztwa, a kiedy wójt wyszedł ku nim przed chałupę, obstąpili go dokoła.

— To sie musi skończyć — mówił przybladły wójt.

— Zbójnickie gniazdo. Trza je ozbić. — warczeli.

— Momy tego juz dość.

— Taki nad innymi wirchuje, zbój.

— Chłopcyska sie przy takik psujom — wrzeszczała do wójta Gromadzina.

— Wytepić!

Podniosły się w górę ciupagi i pięści. Na widok wychodzących żandarmów przygaśli i rozeszli się w milczeniu.

Mateja znikł, jakby w ziemię zapadł. Kacka na każde zapytanie żandarmów odpowiadała mrukliwie: — ni ma go haw, nie wim nic. Nie widziałak go kielo casu...

Dali jej spokój, roztropnie nie zaaresztowali jej tusząc, że przecie kiedyś ku niej przyjdzie. Inwigilacja chałupy u Kacki i na Polanach była bezcelowa tak długo, jak długo leżały śniegi. Mateja nie pozostawiłby za sobą tropów.

Pochowano Maryskę, gwara we wsi ucichła, Mateja nie wiadomo gdzie chodził na ślebodzie. Za nim szła kłątwa nie zbójnickiego a zbójckiego czynu. Tego nie przebaczano i wirchowym chłopom.

Jego nazwiskiem, niegdyś hyrny, straszono dzieci. „Zbój cie weźmie, Mateja“.

Szła wiosna, huczająca lawinami, szumiąca wodami i ciepłym wiatrem. Znikły śniegi, popod regle gorączkowo parło do słońca życie. Zieleniły się brzegi potoków, na żółtych polanach zakwitały krokusy. Po ogrodach z jazgotem szalały dzieci.

Mały Bartuś, służki od Danielów bęś, przyszedł jednego wieczora, cały utyłłany w błocie i wodzie, ku gaździe, który naprawiał bronę na progu przed chałupą, i paplał:

— Gazdo, posłuchojcie, gazdo, zbój prziseł.

Stary nie odezwał się nawet na dziecińskie gadanie. Bartuś trącał go w kolano natrętnie dopominając się uwagi:

— Gazdo, słuchojcie, ku Kacce zbój prziseł.

Daniel nadstawił uszu.

— Kaześ go widziol?

— Siedziołek se u potocka nad baniorem, rybyk wypatrowoł.

— No i co?

— A tu, wicie, z krzoków cosi bez perć hipło i ku izbie, kany Kacka, sło.

— /Skądze ty mos wiedzieć, ze to zbój?

— E, dy przecie widziołek, ze to Mateja śli.

— Idze Bartuś ku mace, niek cie umyje, boś do-babrany.

— Pódem.

Wojtka Mateję z Polan wzięto nocą z izby od Kacki i zakutego odstawiono do Sącza.

Nie zdążył strzelić, nie zdążył hipnąć do okna.



Toczone białe ramiona Kacki trzymały go mocno przez całą pachnącą, wiosenną noc. Nie rozluźniły się w namiętym stęsknieniu o świetle. Z tych ramion wyrwano go i, po krótkiej rozpaczliwej walce, obezwładniono.

Kiedy go rano z gminnego aresztu prowadzono przez wieś, szedł za nim w milczeniu tłum bab, chłopów i dzieci. Jasno świeciło słońce. Tatry ośnieżone lśniły olodowaciałymi graniami. Siwe, jakby wyprane niebo, sklepiło się wysoko nad ślebotnym, pełnym woni i blasku światem. Szedł Wojtek w błysku bagnatów, boso, w portkach tylko i koszuli, tak jak go pojmano, dzwoniąc cicho kajdanami. Chłopcom i dziewczkom, patrzącym spoza płotów i szop, bladły lica. Strach, groza i żal szły za nim w trop.

U Tadziaków na schodkach siedział dziad Trzópek i chleptał z garnka kwaśnicę, którą mu dobra gaździna wyniosła. Zobaczywszy Mateję wstał i chwiejąc się na krótkich krzywych nogach, nie bacząc na żandarmów podszedł ku Matei. Siegnąwszy do torby wyjął miedziak i podając go na dłoni, sztychł:

— Neści, zbóju, na dróge, teroześ taki dziod, jako i jo, Trzópek.

Mateja odwrócił twarz jak od padliny. Trzópek, pchnięty, potoczył się pod płot i śmiał się. Siny wół pod brodą chwiał się w tym śmiechu jak macheryna.

Pod kościołem wsadzono Mateję na wóz, konie ruszyły. Tłum milczał.

Na sądeckim zamku trzymano Wojtka przez cały

czas rozprawy. Odbite kolbą mięso na ramieniu jadziło i gniło. Kurowano go i sądzono. W obliczu trybunału zachowywał tak pogardliwe milczenie, jak wobec dziada Trzópka. Gromiony przez sędziego, trącany przez żandarmów, zachowywał stoicki spokój. Jakby był poza tymi ludźmi i sam. Z rozkoszą tylko grzał lica w promieniu słońca, które zająrzało nawet do izby sądowej.

Z uprzejmym uśmiechem przysłuchiwał się biadoleniu Chramiaszka, skargom plebana z Chochołowa, któremu miał wykraść pieniądze, wszelkim skargom na przewiny popełnione i nie popełnione. Odezwał się tylko dwa razy.

Po raz pierwszy, kiedy wprowadzono do sali Kackę. Zobaczywszy ją zbladł śmiertelnie, spotkały się ich oczy i przypadły do siebie w głębokim, łakomym zapatrzeniu. Piersi jej podnosiły się w gwałtownym oddechu wysoko, na twarz uderzały ognie, to znów bladła śmiertelnie. Śliczne, pełne usta szepotały, zbierał z nich wyraźnie pieśczętę słów.

Pchnięto ją na wskazane miejsce. Przez cały czas przesłuchiwania bronił jej z zaparciem.

Na ironiczne pytanie sędziego, czymże on jest dla niej, odpowiadał z najwyższą prostotą:

— Kohalek jom.

Kiedy ją wyprowadzono, kiedy odmówiono jej prośbie, by mogła z nim pomówić, zrozumiał, że widział ją po raz ostatni. Po raz drugi odezwał się po wysłuchaniu wyroku. Stał wysoki w tej ciemnej, ponurej sali, na której zmrok przedwieczorny rozsnuwał swą pajęczynę. Głowę trzymał prosto.



...na dożywotnie więzienie...

— Dopytuję się łaski ik Wielkomożnościów, czy nie mogliby mnie obiesić?

Sędzia nerwowo składając papiery — zaprzeczył. Spokojnie wyszedł z sali.

Wysokie są i grube mury wiśnickiego zamku. Związane basztami, trwają w chłodzie i cieniu, drzewa się jedynie nad nimi kołyszą szumiąc. Kiedy opadną z nich liście, wirują nad nimi wrony kracząc i spadają na nagie konary, sieczone jesiennym deszczem.

Zimne, ciemne i głębokie są lochy wiśnickiego zamku. Raz na dzień rozbrzmiewa w nich starczy krok więziennego klucznika, raz na dzień otwierają się wrota więziennego sklepu. Z brzękiem opada żelazna antaba, ze zgrzytem przesuwają się rygiel.

Latarnia podnosi się w górę i smuga światła pada na bladą twarz więźnia.

— Żyjesz?

Mdląca woń kwaśnicy i skisłego chleba przylepła na zawsze do ścian, wraz ze stęchłą wilgoci. Czas stanął w miejscu. Dzień czy noc snują się jednostajnie, aż życie się skończy. Rozdziera je od czasu do czasu gwałtowny skowyt serca.

Źródłem światła jest maleńki otwór, nie większy od głowy dziecka, wysoko pod sufitem. Na nim rozpięty krzyż kraty, osnuty pajęczyną. Wątki ten strumień światła oświeca tylko niewielką część sklepienia. Reszta jest zmrokiem.

Ręce dotykają wilgotnych ścian. Spod tynku, któ-

ry opadł wielkimi płachtami na ziemię i wrósł w nią zieloną pleśnią, widać kamienie płaskie, obce, nie górskie. W szczelinach gnieźdzą się obrzydliwe białe stonogi i włochate pająki. W pośrodku ściany jest wyżłobienie śliskie na wysokości siedzącego człowieka. Jakby je ktoś ciemieniem wygładził, wyżłobił i wyslizgał. Nad tym miejscem wbite jest w ścianę żelazne koło. Pod drugą ścianą barłóg ze zgniętych słomy, przy nim na ziemi dzban.

Zrazu krąży. Przemierza przestrzeń z kąta w kąt, dzień i noc, dzień i noc przemierza przestrzeń, jak dziki zwierz na uwięzi. Kaleczy ciężkim łańcuchem kostki u nóg i nie czuje. Po jakimś czasie słyszy z prawa i z lewa takie same pośpieszne zwierzęce kroki a potem wycie.

Biega po przekątnej, a potem kołami coraz ciśniejszymi i coraz szybciej.

Podziemie huczy, brzęczy kajdanami i wyje. Z hukiem walą się po schodach strażnicy, wpadają do piwnicy po sześciu wraz, zbrojni w kije. Biją milcząco, aż pada bez przytomności w kałużę własnej krwi. Nieprzytomnemu założono na szyję obręcz żelazną i przykuto go do obręczy w ścianie. Ciemieniem wygładza, wyżłabia i wyslizguje kamień muru.

Ciemną, zwartą ścianą otacza go milczenie. Głowa opadła na podniesione kolana, ręce wsparły się na mokrej ziemi. Tak jest przez chwilę, jakby leżał w kolibie pod Walentkową. Zasięka deszcz, wilgoć, dookoła husta mgła. Chce się dźwignąć i nie może, przyduszony jest potwornym snem.



— Żyjesz?

I ciągle teraz: — żyjesz? czemu nie żresz? Dzień w dzień pytają: czemu nie żresz?

Chłód podchodzi pod serce, a głowa gorąca jak ogień. Głowa puchnie, jest już tak wielka jak Kościelec, nie może jej udźwignąć. Latarnia przed oczyma nabrzmiewa również jak głowa, rozpęka się na kilkanaście światel i z hukiem, słyszany w własnym mózgu, rozsadza świat.

Więzienny tyfus.

Zwolniony z łańcucha naszyjnego, leży na mokrym barłogu, zlewany raz po raz potem i mrozącym dreszczem. Błądzi w lesie. Zielony szal zastępuje mu drogę, gdziekolwiek się obróci. Liście, gałęzie, konary, pnie chwieją się, szepczą tajemniczo, zastępują, ścieśniają się, tłoczą na niego. Jest w ich szepcie coś tak przeraźliwego, że ucieka, pędzi lasem, a las nie ma końca. Pnie, pnie, pnie. Odbija się od nich, odskakuje, wpada na inne, jest nimi obleżony, w zwariowanym kręgu szepczących drzew — szaleje.

Krzyczy. Drzewa stają się naraz przejrzyste i po cichu toną w niezmiernych, uderzających na nie bezszelestnie wodach. Porywają go w swój nurt i niosą. Wody są kamienne. Toń jest kamienna, jego ciało staje się kamieniem. Kamiennym uciskiem przytłoczony, nie może już krzyczeć. Jeszcze tylko pić. Woda jest kamienna.

— Żyjesz?

Patrzy na starca, trzymającego latarnię w dłoni. Przetrwał głód i tyfus. Zgniła koszula opada

w strzępach, zetlała odzież cuchnie potem i chorobą. Ciało jest zeprzałe jak grzyb po mrozie, skóra zwisa łachmanem na policzkach, na brzuchu. Włosy sięgają piersi, broda wichrzy się kołtuniastym pasmem.

Ogląda własne ręce i obnażone piersi, i martwe stopy, zdziwiony szepcząc do siebie:

— Fto jo jest?

Nie może sobie przypomnieć, nie może znaleźć siebie. Teraz je. Jadłby ciągle, zatyka usta mokrą, cuchnącą ziemią i żuje. Żebrze o jedzenie. Nasycą się nim i rozkoszuje ciepłem, które wsiąka w umarłe żyły i krąży, i pulsuje. Dano mu bieliznę i odzież po umarłym poprzedniku. Ciągle nie wie, kto jest — on. Spod skudlonych włosów oczy świecą jak u psa, biegają niespokojne. Jednego dnia zaczyna skomleć. Codziennie, kiedy przynoszą posiłek, kiedy nadchodzi ront, skomli. Żebrze, prosi, śmiesznie się uniża, obłapia za nogi.

Śmieją się z niego długo i rubasznie. Skomli ciągle, jednakowo, nie podnosi głosu.

— Poczekaj.

Poczeka. Czas się nie liczy. On tylko będzie codziennie skomlał, prosił, uniżał się i patrzył w oczy wolnych ludzi ślepiami bliskiego wściekłości psa.

Pogadano tam na górze, przemyślano, postanowiono. Otwarto szeroko drzwi, obstawione ludźmi i — wychodź zbój — krzyczą. Wcisnął się w ciemny kąt, nie wierzy. Śmieją się, kopią go, wypychają przemocą. Biegnie na czworakach po kamiennych schodach skomląc, prosto w światło, na boży dzień.



Za wysokimi murami piętrzą się ku niebu spienioną zielenią kwitnące kasztany. Oparł się na nich biały obłok, tkwiący w olśniewającym niebie. Wysoko w galezi śpiewa ptak.

Upadł twarzą do ziemi i nie może dźwignąć głowy. Ziemia pachnie, powietrze jest miękkie, suche i ciepłe. Podnosi wreszcie oślepięte oczy. Wszystkimi zmysłami bierze w siebie świat wiosenny. Twarzy dotyka powiew wiatru i słońca. Ze sklepienia drzew płynie z pieśnią biały okwiat i opada na szare odzienie.

Drzewa... niebo... ptok... chmura. Wymawia te wyrazy posuwając się na klęczkach. Nie chce skażać świętości wolnego świata brzękiem łańcuchów. Posuwa się na klęczkach ku zielonej trawie pod murem. Otoczyli go ciekawą zgrają, co będzie dalej. Podpełza i nieśmiało wyciąga ręce gładząc zdrętwiałymi paluchami delikatną więzienną ruń. Trawa ugina się pod palcami z szelestem, jak co? Raty, Krista Pana, jak co? ...włosy ...takie włosy miała mięciuskie, woniące... Przypada do murawy, ogarnia ją ramionami, całuje, bierze ją w siebie.

— Żre czy co — pyta się klucznik. Śmieją się i pluja z obrzydzeniem. Targają za łańcuch. Nie wiadomo dlaczego stali się nagle surowi, brutalni. Czy im obnażył, unaoczniał, jak ślepa, jak nie widząca, jest ich wolność?

Więzień nie chce wstać. Wloką go więc po kamieniach dziedzińca, po schodach. Nawet nie krzyczy. W ściśniętej mocno garści trzyma kępkę zielonej murawy.

Teraz dopiero poddany został torturze wspominań. Aby wycierpiane było wszystko, do dna.

Z drobnej przygarści runi przychodzi zmarłychwstała ziemia górską, wysoka i nieogarnięta. Turnie trwają w wiekuistym zasluchaniu szumu wiatru. Pod nimi hale zielone. Jeziora błyszczą do słońca łuską srebrną, mieniącą. Po upłazach jak wiatr niosą się kozy, świstak gwizda. Pachnie watra.

Przychodzą towarzysze. Są niemi i trwają w dostojnym milczeniu. Mosiądz na nich błyszczy, na opaskach, na pistolcach, na kłobukach. Z nimi przyszła muzyka i pieśń.

Żłobiąc ciemieniem zimny mur, kołysze głową i gdzieś w zatajeniu duszy śpiewa.

Ostatnia przyszła Kacka. Rozpalone łoże tortury wspomnienia.

Zrazu tylko twarz. Wyczarowywał ją z pamięci smagłą, podpaloną głębokim, czystym rumieńcem. Siwe oczy wielkie i bezdenne. Nos z załamaną chrząstką, ptasi, wąski, nad ustami pełnymi i krwawymi. Broda krągła i szyja smukła jak u kwiatu. Zamazywał obraz szaleństwem ruchu po przekątni, w koła, do śmiertelnego zmęczenia.

Obłąkane, straszne noce. Idzie ku niemu, płynie przez mur. Strome piersi, bujne biodra, jak fala na jeziorze, nogi smukłe i zwarte.

Tortury pieszczot bolesnych — do krzyku i rozpalających nienasycenie tęsknoty. Tortury żalości za każdą chwilą przeżyta w odosobnieniu, za każdym dniem jej życia bez niego. Życie stawało się



nierealne, wszelkie odczuwanie uwarunkowane wyrazistością budzących się wspomnień.

Wiecznie milczący człowiek — złamał milczenie.

— Mocie klucze — puście mie.

Stary, siwy klucznik śmiał się długo, naprawdę serdecznie.

— Gdzieżbyś ty szedł, człowieku?

— Do siebie, w hole! Puście mie.

Gorączkowo szeptał: — Mom kotlik hań i hań. Dom wom talarów złotych, srybelnych kielo fcecie. Puście mie.

— Głupiś, chłopie, skądżeby u ciebie talary?

Uśmiechnął się nagle dawnym śleobodnym uśmiechem. I znowu gorączkowo, szybko namawiał: — Pójdziemy społe, poniesiemy się ku góróm. Nie bójcie się nic, jo wom te służbe złotem wypłace. Zóltym, mieniącym, talarami, dukatami. Puście mie. Slisycie? Cłeku, dycieś taki, jako i jo.

Ponawiał te rozmowy namiętnie, sytkim, syczącym szeptem, namawiał, groził bezsilnie. Uderzał w twardy mur.

Ostatni raz zapytał już bezsilny:

— Som jest tu u wos jakie hłopy z gór?

— Nie, nie ma. Ostatni zgnął przed tobą przy tym murze — pokazał gdzie było miejsce, wyślizgane i wyżłobione ciemieniem.

— Ni ma? Ni ma hłopów z gór?

Osaczyła go ostateczna, najzupełniejsza samotność. Jeszcze raz gwałtowny piorun uderzył w skamieniałą skorupę człowieka, który się nazywał Wojciech Mateja, w momencie, kiedy opadły z nie-

go kajdany. Przemierzając bezszelestnie przestrzeń celi, przystanął na chwilę patrząc na ręce. Były wychudłe i wąskie. Stulił dłonie i obręcze zesunęły się mu do stóp. Skamieniał — długo patrzył na ręce, które stały się lekkie jak pióro. Oniemiały z wrażeń, osunął się na ziemię. Z trudem przesunął przez nożne okowy bosa stopy.

Był rozkuty.

Straszny cios kajdan ułożył cicho na ziemi strażnika, otwierającego dzwierze.

Więzień obalił niosących strawę i wypadł jak wicher na schody. Boso, cicho, po schodach, w górę. Zorza świetlista oślepiła oczy, dziedziniec tonął w słońcu. Stał chwilę tuląc dłonie do oczu.

Wypadła wartownikowi z ręki broń, gdy zobaczył widmo człowiecze, śpiesznie przebiegające dziedziniec. Nim więzień dopadł muru, wywalila się na podwórze zbrojna czereda.

Przygiął się — i skoczył. I opadł.

Rozejrzał się dokoła pomału, pomału, popatrzył na odarte ze skóry ręce, jakby w zdumieniu, że go zawiodły.

Zrozumiał.

Poddany zwyczajowej karze stu kijów, został wrzucony do ciemnicy na czas nieokreślony i tam w obłędzie zgnął.



KSIĄDZ SZCZEPAN



Naprzeciw Tatr lesisty świat Gorców śni o swojej przeszłości. Uniżył się Turbacz ludzkiej masie, ale jeszcze w chmurze ciemnych drzew śpi Kudłoń, дума Turbaczyk. Kołyszą drzewiejszą legendę.

Nisko, wsi górskie rozsiadły się w głębokich roztokach. Osiedla wiją się jak strumień, albo przysiadły pojedynczo lub grupami na wydmuchach, na graniach, niby gniazda ptasie w cieniu jaworów i modrzewi. Szumią wierchami nieogarnięte lasy, czerwieni się jesienią dostojna buczyna, posępnie cienia zbocza ogromne jedy.

Siedzą w tej krainie ludzie górscy, nie tacy już szumni jak na Skalnym Podhalu. Przetrąciła im krzyże pańszczyzna, nie dożywiały nędzne zagonki po uboczach, splukiwane deszczami z gleby, zasute kamieniami, zachwaszczone niedolą. Ziemieczka rodziła tyle gruli, żeby ino przeżyć, tyle zboża, żeby ino od święta chlebuś stół mał, zbiedniały, skapiały był ten naród — aż żal.

Trafiały się i tam chłopcy, muzyki, świątkarze albo polowacze zawołane, jak Przybytek, jak Piłka, świeć ta Panie nad jego grzeszną duszą, ale było ich niewiele. Wszystkich za grzdykę trzymała bieda-biedusia kochana. Pieśń nawet była biedna. Śpiewało się tam:



*Urodził sie — płakał,  
Zalicał sie — płakał.  
Pojął porębiankę,  
Do cna na ni skapiał.*

Tak się tam wesoło śpiewało, gdy się szło ciemną nocą po kamieńcach od Szmai. Łatwo potrafiła wódka oszołomić, zmarkotniały w biedzie, łeb.

Proboszczował tam pleban, jakich mało. Góral z tej samej ziemi nie różnił się niczym od chłopów, jeno sukienką duchowną i nadmierną, niepospolitą tuszą, którą mu napytało niecodzienne żarłocstwo. Ogromna głowa, przykryta latem słomianym kape-luszem, w zimie chłopską czapą, szeroka twarz z mięsistym, krwistym nosem, indycza, wiecznie ruchoma grdyka, nożyska w buciorach jak konwie a wejrzenie na świat — dziecinne, proste i niefrasobliwe. Takim wejrzeniem patrzył na życie, jakie ono tam było to wsioskie życie, ze swymi przeja-wami codziennej ludzkiej drapieżności, chytrości i małego kręactwa.

Grzmiał, kiedy trzeba było słowa, walił kijem, gdy trzeba było namacalnego wkroczenia w sprawy ludzkie, sam zaś ulegał wzruszeniom nagłym i silnym, jak sam był silny — i dziecięco nieraz nieporadny. Stękał w momencie, gdy zaskoczyła go nadmierna ludzka niedola, jak niedźwiedź ruszony ze spokojnego barłogu życia. Otwierał wtedy dłoń pomocy, choć był jak góral diablo skapy.

W kościele odprawiał msze bez ostentacji, szybko, z żołnierska, słabość miał jedynie do kazań, któ-

re prawił z ciasnej na jego posturę ambony, góral-ską gwara.

Jo za was — prawił raz — przed Pane Boge nie bede ocyma świecił. Staryk juz jest, to sie ta dość uznoje, zakiel do nieba dońde. Tam w niebie to mi odpoconć nie dadzom, ba sie zarusicki bedom pytać: Kany Książd Scepon z Niedźwiedzia? Hybaj do tronu...

— Maryjo — westchnęła jakaś babina.

To juz sami musicie temu rozumieć, ze sie nie letko idzie przed Pańskie oblice, choć ta księdzu i ze sumieniem spokojnym.

A cy jo mogę mieć sumienie spokojne, kie sie mnie som Pan Bóg zapyta:

Sceponie, tyś jest probosc z Niedźwiedzia?

Kłamać nie bede ani sklić Boskiej personie, choć ta wim juz o cym bedzie sła gwara.

— Raty... stęknęła Bulaska.

— Cicho, baby, słuchajcie, co jako dalij. Pyta sie mnie sam Pon Bóg: Powidz Mi duso ludzka a na ziemi, księze Sceponie z Niedźwiedzia...

— Jezu, Jegomość, dyć przecie zyjecie — zachlipała Andrzejowa, organiścina.

— No, zyjem, ale wim jako bedzie. Powiedz Mi, Sceponie, bez co to w twoji wsi chłopcy same pijoki? Ka ftory jaki dudek zarobi, juz go do Śmaji niesie, a pote do rania jak świnia, z przepytaniem i bez obrazy kościoła, w błocie leży. Doma bida, dzieci-ska przez łachów, zdałoby się niejedno kupić, a tu mos, przepiło sie letko.

— Dyć — stęknął ktoś z babskiego tłumu.



— Abo powiedz mi, czemu w twojej wsi, same proceszniki, bitniki i zbóje? Cemu do ślubu mało ftóra pannom idzie? (i to wom powim, ze takij nie bedziemy grać Wenikrotu).

Stoje przed tronem, łeb mom juz jak ceber wielgom od tego, czemu? i czemu? i pytom sie wos, ludzie, co jo mom pedzieć?

Powim — Panie Boze, przeboc — noród głupi.

Głupik nie siejom, sami rosnom, cemu do skoły nie chodzujem, mało sie to nauczyciel Kurleto na płace na te dzieciska? Ni, oni racyj kazujom dzieciom gensi paść.

To to tak? — wtrącił się som Pon Jezus — dyciek nie był większy od Mijałowego Józka Mysogłada, a juzek musiał do świętego Józefa do terminu iść — śpasów nie beło.

Drapiem sie w głowe i myślę se, jakie by tu choć jedno dobre słowo o wos pedzieć, i gwarzem:

Panie Boze, odpuść: bidni som.

— To to to... westchnął cały kościół.

— E, pockojcie, nie ciescie sie, bok źle utrefił. Jaze sie między jamiolami, jacy ta byli, mąt zrobił

Bidni? wis lo czego bidni? Skrony pijaństwa, procesznictwa. Próżnioki som jest i jakie, pożryj ino jakie som. Wzieny te janioly chmury nogami deptać jak pirze, zrobiła sie w niebie dziura. Patrzem, przy sam Panu Bohu Niedźwiedź widno i Porembe. Kościół, chałupy, dzieci po ogrodak, dwór, jaze mi sie zol zrobiło zek nie hań, ale pozirom pilno.

Mówi do mnie jakisi świenty: Widzis, siana kosom. Miały by być juz skosone, a co sie dzieje

u Jaśka Piłki? Kosa wisi na węgle a mój Jasiu w lesie na robsicerce i to w twoim lesie.

Hej, Panie Jezu, dyciek nie beł, stęknął spod chóru Piłka.

— Cicho, nie godoj nic, tera jo gwarzem. A u Macugi? Ani, ani, bo chłop w sądzie na procesak.

Cemu Wikta mace nie pomoze siano przewracać na polanie? Haj, wstyd pedzieć cemu — ale ona ta wi i Stasek od Polocki, wi tyz!

A Bulos? Żidowi plecami w karcmie ściane bieli i pije w bioły dzień.

Pytam sie ciebie, księdze Sceponie, ni ma to bida być?

Dołek im ziemie — gwarzi sam Pon Bóg — nie nolepsom, ale przecie pieknom, górskom. Ale chłop jako chłop, telo co jom ino jacy podrapie, a juz by fciół mieć sytkiego wysy nosa. A wse pyta to o dysc, to o słonko, to o wiaterek coby mu susył, nie ino Panie Boze zrób, a ja sie Ciebie pytom, Sceponie, co oni la Pana Boga zrobili? Jo mom grzoć, susyć, poliwoć a oni ino żryć? Mom tego dość.

Upytałek Pana Boga przez miłosierdzie o kwilke cierpliwości.

Podumał kwile i gwarzi:

No dockom końdecek, bo ty mie pytos, ksiądz, ale kie sie nie odmieni, to jo juz im dom siustu...”

— Fałaz Panu Bogu — odetchnęli słuchacze.

Miały te kazania kapitalny ton, były to udry dobrego gazdy z wsiowską polityką, z wsioskimi grzechami, z zakamieniałym pijaństwem, dziwkarstwem i przespaństwem. Nie kazał jedynie o obzar-



stwie, bo po prawdzie w tych wsiach nikt nigdy syty nie był, a sam — przebac. Panie Boże — niebywałym był żarłokiem.

Za młodych lat ksiądz Szczepan polował. Nosiła go samotność i młodość po wierchach, po lasach, nosiła gorąca, niewyżyta krew, kusiła kompania łowiecka niefrasobliwa i rubaszna. A nade wszystko ciągnęły góry.

To było dawno, położyła kres temu wszystkiemu zadyszka, która przyszła wraz z brzuszyskiem. Powiesił ksiądz Szczepan strzelbisko na kołku, kazał starannie czyścić kościelnemu i nieraz wieczorami przy brewiarzu tęsknie ku niej pozierał. Wstawali wtedy przed nim godziny wspomnień, stawiali się do apelu ludzie już dalecy, ziemią zasypiani. Drapał się wtedy Ksiądz Szczepan po karku dodając wiele wiecznych odpoczywań do swego niewyszukanego pacierza. Nieraz podochocony opowiadał brewerie myśliwskie, których słuchano — lecz którym jakoś nikt nie wierzył.

Płynęło mu życie pomiędzy plebanią, kościołem, cmentarzem i wśród przyjaciół, jednak zabarwione — zwyczajne. Ożywiały je zdarzenia dla innych pospolite, małoważne, dla serca księdza Szczepana jednak ważne. Kiedy pokazywał się w plebańskim ogrodzie pierwszy szpak, ożywał z zimowego snu, biegł gorączkowo od okna do okna z ciepłym uśmiechem na twarzy mrucząc: szpaki przyleciały... będzie wiosna. Odrywał od najpilniejszej roboty starą gospodynię Martę i wlokąc ją niemal siłą do okna pokazywał grubym paluchem lśniącego

ptaka, muskającego kokieteryjnie pióra. Krzyczał nieomal: „szpak“.

— No przecie widze. Ptaszysko

— Ptaszysko? No to niech Marta idzie robić pierogi — irytował się. A to muszę Marcie powiedzieć, że oczywista łaska Boska, że tego ptaka znów widzimy... żeśmy dożyli — dodawał cicho.

Śpiewało mu coś w duszy radosne Te Deum...

Raz do roku wybierał się ksiądz Szczepan na polany pod Turbacz, do bacy Filousa. Chybcikiem odprawiał cichą ranną mszę, a potem nie bez trudu i stękania wylazł na stół, podstawiony usługnie przez kościelnego, a ze stołka na konia. Podpierał go kościelny z organistą, a koń aż się ugiął pod okrutnym ciężarem. „Organisty“ brał za uzdę, Marta z ganku czyniła w powietrzu znak krzyża świętego, kościelny trzymał w ręku stół i na oczach tej asysty ruszano. Pątowali przez cichy, cienisty, buczynowy bór, kędy słońce kładło przez liście na czerwoną ziemię złociste arabeski. Dążyli ponad roztokę, hen ku wierchom.

Posuwali się wolno gwarząc.

— Ciekawość kiela ta owiec na polanie latoś, nie wicie ta, Andrzej?

— Sie mi widzi będzie do trzysty, ale jo ta nie wim akuratnie pedzieć jegomości.

— Ty byś ta co wiedział akuratnie — źlił się ksiądz Szczepan — Telo wis, co krowie spod ogona spadnie.

— No dyć, jegomość, patrzem kościoła.



— Kościoła? Wiera, kościoła, gazdówki patrzysz i kaby ta co księdzu urwać.

— Wicie, wicie — cudował się organista — cózek zaś wom jegomość wzion?

— A brone? — wrzasnął ksiądz tryumfalnie — Fto mi brone wzion spod szopy?

— Dy ta stara beła. Kie jegomość nowom, frymuśnom kupili, a tamtom pod szope ciśli, myślałem se — trza wzionć — coż sie ma poniewirać, no ni?

— Cuda, cudeńka, poniewirać. Takiś ta o moje starowny? A moja słoma sie poniewirała? Dwieś fury wzion. A nie wziena mi twoja indycek i to śtyry, he?

— He, jegomość, dość. Cichoze. Słomek wzion i prowda, bok juz ni miał co i bydłu pościelać, ale wyście mieli dość, a mnie penksyja juz dwa miesionce nie sła, a to je rezyka. A indyki, pytom sie, cyja kwoka wysiedziała?

Mojij. No to sie jij cosi za to nolezi, ni? Choćby i te ta indyki trzy, a nie śtyry.

— Ale jo je żywił.

— Ale moja je chowała.

Nie złościli się na siebie, broń Boże, ale o czymś trzeba po drodze pogadać.

Po chwili gwarzy organista: — Tak się mi widzi, ze Janielka Bockowa zlegnie niedługo.

— Co mówisz. Dyć nie wydana.

— Nale, wydana to ta nie jest, ale zlegnonć, zlegnie.

Zmarszczył się ksiądz Szczepan.

— Kara boska na nik. Nijakiego rozumu, bida ik gniecie, a oni się gzijom. I z tego to uchowa.

— Hej, jegomość, przy bidzie to sie jesce więcyj fce. A uchować, to sie ta i uchowo. Kogo Pon Bóg stworzy, to go nie umorzy, a i pon leśnicy wymawiać się nie bedzie, bo ta i honorny, i nie bidny.

— Tuś mi. Zaś on. Skaranie boskie z tym cłem. Kie sie przecie usatkuje. Dy to nie pirsie.

Tu jednak umilkł ksiądz Szczepan, bo miał dziwną słabość do leśniczego.

Był to chłop, ten leśniczy, jak się patrzy, wielki, mocny, zdrowy, rumiany i krwisty. Brat-lata do pitki i do bitki, złotego serca choć w gębie niewydarzony. Myśliwy zawołany, i choć się nieraz ksiądz z nim swarzył, że mu pod samym kościołem „na skale“ zające nad potokiem wybija, przecież zajączki te zjadał w leśniczówce. Jedyne to był dom, gdzie ksiądz zachodził po ludzku pogadać, a i w preferansika zagrać.

Opędzał się tam psom, zwierzom rozmaitym, co się na leśniczówce chowały, opędzał się i dzieciakom. Pani domu staroświeckie dusery prawił, a w preferansie cyganił jak z nut, podpatrywał renons, podpowiadał wyjście partnerowi zduszonym szeptem, który brzmiał jak trąba jerychońska. Wżył się w ten dom jak swojak i wiele wybaczał młodemu oczajduszy. Niejedna tam szynka poszła na jedno posiedzonko, ku temu bochen chleba razowego, słupek alkoholi i dwadzieścia szklanek herbaty. Niepojętnego partnera, czy to aptekarza z miasteczka, czy weterynarza, czy nawet samego



konsyliarza cybuchem wyszturgał, kiedy się podszeptów tajemnych przy preferansie nie słuchał. Wygraną przeliczał skrupulatnie na centy i „ryńskie“, przegraną notował dobrze w pamięci i przy każdej okazji wymawiał gorzko.

Frankowi, który go na plebanię z latarnią odprowadzał, dawał zawsze pięć „centów“ — gdy wygrał, gdy przegrał nie dawał nic, jeszcze lagał wyszturgał, gdy w błoto wewiódł. Nie trapił się Franek, bo wiedział, że drugim razem po wygranej swoje dostanie z zażenowanym mruknięciem:

— Neści, trombo, za tamten raz, ale osoby duchownej w błoto nie pchaj, bestyjo.

— Dy jo wos nie pchoł, jegomość, inoście byli źli, toście ani nie wiedziol, ka leziecie.

— No. Nie mędrkuj. Przeklęte te obrazki — wzdychał do siebie ksiądz Szczepan. Zamiast w cieplej izbie siedzieć, żur pić, walać się po nocy.

— Dyć byście mogli kućmi jechać. Swoimi — dawał przezornie Franek.

— Głupis.

— Toto, to jo wim, jegomość.

— No, przecie jeden mądry.

— Dopirzeście gadali jegomość, zek głupi — dziwił się Franek.

— Boś głupi — jak cap.

— No niekze bedzie.

Raz, po długich wstępach i z zażenowaniem, radziła się pani domu u księdza Szczepana, jak ma postępować, żeby jakoś zahamować to mężowskie baraszkowanie z dziewczkami.

— No — zapytał ksiądz Szczepan marszcząc surowo brwi. — No, a jakże tam w domu? Niestarowny?

Spiekła pani raka ale, pod chmurą tych oczu, musiała wyznać że, no, nie można się zalić, i owszem...

— Ha — odsapnął rubacha — dobry parobek i w domu zarżnie i sąsiadowi omłóci.

Tym zamknął kwestię na zawsze.

Kiedy więc organista, nie bez złej intencji, wskazał autora przyszłego wioskowego „przespanka“, ksiądz sapnął i rzekł:

— Od przybytku głowa nie boli. Jak myślicie, Andrzej, pogoda wytrzyma?

— E, dyć przecie pięknie, chłodek, słonko nie pre, bee pięknie. Rosa beła i kogut jegomości do dnia pioł. Je to tyz kogut je.

— Juz ci sie i ten widzi — co?

— Dy jo ino tak, względem pogody. Cozeście, jegomość, taki swarliwy?

— A ty ni?

— Ałkpie.

Było to najdumniejsze słowo Andrzeja.

Gdy się już wydostali nad lasy ku polanom, było tam miejsce, skąd widok słał się rozległy, na Tatry, ku Babiej i Pieninom. Tu ksiądz Szczepan zsiadał z konia i kazał iść Andrzejowi ku szałasom, a sam siadał na kamieniu granicznym, na którym były jakieś prastare, niezdarne znaki pasterskie czy zbójeckie, i patrzył milcząco na świat. Wpadał w zachwyt, który przyspieszał mu bicie serca. Głowa zwracała się na wszystkie strony w niemej ado-



racji, potężne ciało chwiało się pod wichrem wzruszenia, wreszcie całą postacią wtulał się w halną trawę, wdychając jej gorzki macierzany zapach. Grubymi wargami dotykał świętej górskiej ziemi. Wyrwała się z tego prostego, chłopskiego serca najcichsza modlitwa uniesienia:

Panie Boże, dziękuję Ci, żeś mi pozwolił latoś jako i łono na dzieło Twoje pojrzeć —

niechże się święci imię Twoje na tej cudownej ziemi...

niech przyjdzie na niej królestwo Twoje...

niech się dzieje wola Twoja przenajświętsza — a jeśli już tak być musi, żem tu po raz ostatni, i za to dziękuję, że jeszcze żywymi oczyma na Twe dzieło cudowne patrzę.

Boże Cudowny jak ten świat, niech będzie imię Twoje pochwalone, po stokroć, po tysiąckroć przez wszystkie wieki wieków...

Z mokrymi od łez policzkami, które osuszał szeroką dłonią, dźwigał się z ziemi z westchnieniem. Ciągnęła go już ku sobie. Ruszał wreszcie ku hali. Stali przed bacówką wszyscy juhasi, z bacą Filousem na czele, starym opilcem i gawędziarzem. Skłaniał się bacia ku ogromnej dłoni księdza i składał na niej swe chytne wargi.

— Niek będzie pokwalony...

— Na wieki wieków — odpowiadał ksiądz Szczepan, i szerokim gestem ramienia czynił nad zebranymi, nad trzodą, nad ziemią szeroką i nieogarniętą znak krzyża. A potem z dziecinnym uśmiechem dodawał:

— Jo zaś haw.

— No i dobrze, Bogu fała — niezmiennie odpowiadał chór pasterski.

Wzruszenie wyprawy, przeżycia ranka zaostriżyły księdzu Szczepanowi apetyt. Do legendy przeszło, jak to ksiądz na Filousowej bacówce sześć czerpaków żętycy, krug sera i bochen chleba na raz pochłonał.

Stawiano przed nim pucierę z żętycą, na białym rąbku samodziałowym stawiano chleb, ser i grubą sól.

Zza cholewy wyciągał ksiądz Szczepan własny nóż i tak się posilał na polanie wśród pasterzy i owiec. Musiał mu Filous szeroko rozpowiedzieć, „co sie latoś na polanak wyrabia, kielo owiec zagineno, fto z cym zachodził, kogo widziano, jak sie dzieje wołom opasowym, ka dziki zryły, ftore owce sie nie dojom“.

Wszystko było dla niego ważne i istotne.

Własnoręcznie dotykał ksiądz Szczepan chorych owiec, czy tych od żmii ukąszonych, czy tych nieżernych, ugwarzył, doradził, a potem wolnym krokiem wierchem zmierzał ku kośnym polanom. Wyprawiał się bowiem zawsze w czas największego urodzaju tej ziemi, w czas kośby. Wysokim głosem wyskały dziewczki, kiedy zobaczyły ogromną postać plebana. Biegło ku niemu wszystko, co żywe, wiodąc go ku kopom. Tam siadał na trawie i patrzył do wieczora na ludzki trud, radosny, wonny znój. Pod wieczór wypijał gar gorącego mleka przegryzając glonem czarnego chleba i pozostawał pod



gwiazdami już sam. Wiedzieli ludzie, wiedział „organisty“, że teraz nie trzeba księdzu wadzić.

Układał się świat do snu pod rosą. Gorzały purpurowymi kwadratami drzwi szalasów, wonny dym kładł się po ziemi wraz z szeptem świata. Na ziemię schodziła nieogranięta cisza nocy górskiej.

Rozmawiał ksiądz Szczepan sam ze swoim Bogiem i nikt nie wie, jakie to były pogwarki.

Wietek księżycą oparł się na jedli, na kraju polany, dalekie Tatry jarzyły poświęta, słyhać było nieomal szum wszechświata.

Ksiądz Szczepan tkwił nieruchomo, z twarzą zwróconą ku góróm. Jedyne wargi szeptały cicho — Bogu. Czasem wstrząsał nim ogromny dreszcz, jakby w tym ciele w bólu przychodziło do głosu serdeczne uniesienie. Kończył ksiądz Szczepan swój dzień cichą, starczym już głosem śpiewaną pieśnią: Anioł pański...

Podchwytowały ją szalasy i echo górskie.

O północy, kiedy już na niebie mżyły kury, wstał ksiądz Szczepan i szedł ku bacówce. Czuł się lekki, na duchu uniesiony. Sadzano go na konia uroczyście.

— Ostańcie z Bogie!

— Boże prowadź — odpowiadała noc.

Zjeżdżał w milczeniu ku dolinie. Długo, długo szło za nim po rosie granie Filousowej fujery, instrumentu, który wraz z bacą na wieki położył się w grób. Odbijało się od uboczy i spływało w roztopki, konało. Ksiądz zdązał prosto na ranną mszę do swego starego, do drewnianego kościołka.

— Ej, było tyz fte komu groć — prawil Andrzej — ksiondz śpiewanom odprowiol i dar sie jak mlody na prymicjak.

Tak z roku na rok rozjaśniał się Ksiądz Szczepan wśród jagniąt i gór. Latem lubiał siadywać na ganku na plebanii. Stara była chałupa, modrzewiowa, z gankiem, nad małym potokiem, koło którego szła droga. Palil ogromne fajczysko i zaczepiał każdego przechodnia. Nigdy nie był syty rozmowy i ludzkiego ciepła. Prawilo się tam z każdym o wszystkim, o krowach, świniach, koniach, żonach i mężach, o dzieciach, o karczmie, o bijatykach, weselach i jarmarkach. Radzi ludzie z proboszczem ugwarzyli, chyba że już ktoś tam miał coś na sumieniu, to z daleka plebanie omijał.

Opowiadał Andrzej:

— Beł taki gazda, z Hamaryki wróciel, murowanice pobudowol, jantarasa roztomaite robił. Wołali go Mijoł, pisa sie Zbrozek. Prziseł on roz ku jegomości na plebianijom o dudki niby na jantarasa pytać. Jegomość sie skrencoł, ale ze jantaras beł fajny, cysty, zawierzył Mijałowi ryńskik sto. Co sie nie dzieje, jantaras sie udoł, ale Zbrozek kasi inendy piniondze minon, i tak sie zwlekło. Ani dudków, ani procentu. No, pomstowal tyz jegomość kielo wlasło, odkazowal temu Zbrozkowi przez ludzi, nic.

Skrecoł sie Zbrozek, kielo mógl, cekoć kazol, ze przecie nie ucieko, ze jest go na cym posukoć, ale dudków nie oddol. Wzion mu jegomość z ambony przymawiać, he to Zbrozek od ty niedzieli do kościoła w Olsówke chodzowal. No i tak sie wlekło.



Jakosi jak był już jej czas, musiał Zbrozek, za przepytaniem, z krowom do bycka iść. To ci dopiero los, jegomość tylko mieli byka najlepszego, cyrwieniatego, dobryj krwie. Wypatrowały Zbrozkowe dzieci, cy tak jegomość nie pojadam z duma, jaze wypatrzyły w którysi dzień, że księdzów Jasiiek kunie zaprzęga. He w te pędy do taty, że Jegomość kasi— musi być w Msane — jedzie, bo Jasiiek jegomościów kunie ryktuje. Odcekalikwile, bo od nik do plebanie nie było widno, i kie sie już dało sliseć, że kunie jadom, łap ten Zbrozek krowe na postronek, papirka do garzci, bo tela sie fte płaciło, i na plebanijom ku gospodyni.

Co sie nie robi w złom godzinie, nas Zbrozek na podwórko, a tu jegomość na ganku siedzi, fajke pokurzuje. Skrećilo Mijałem, ale coż bees robił? Pozdrówkał piknie i stoi. A jegomość nie — ani nie krzicom, ino patrzy do Mijała i wse kurzi. Dopirz po kwili — tak sie mi widzi, że go musiało zrazu zatkanąć — prawi ale jakosi pocichusku:

— Tuś, zła krew. Z cymze?

— Jo tu, z przepytaniem, z bydlęciami, cybyście nie pozwolili jegomości moji krowie ku byckowi?

Fte dopirz jegomość kie nie wrzasnom:

— Ka moje dudki. Som se, psiokrew, na krowe skoc.

No, zbirał sie ta Mijoł wartko z ganku, cybuchów nie licył, sytko dzieciom i babie w chałupie oddoł, co od jegomości dostoł. Pote się ujedniali, bo Mijoł dudki i precenta odniós.

Tego roku przisła na ludzi strasna bida. Wiosna

beła ciepła, pote wzieno kwasieć, lało w same zbiórki, tak że mało komu dało zebrać, pote przisła powódz, narobiło kwasu do ostatka, zaś od świętyj Jadwigi wzieno śnigiem kurzić i kurziło do samyk Godów. Nojstarsi ludzie nie bacyli takik casów. Rok był świński, to sie i dzikie świniie pokozwały, grule ryły, co ik ludzie z bidom i lamentem spod śniegu kopali. We wsi bida, głód. Pędzili te dziki, polowali na nik pon leśnicy i towarzysia, chodził za nimi Przybytek i Piłka, ale dołbyś ta temu rady? Tu ik wyzieniom, na to sie obrócom kainendyj, i wse ku ludzkij skodzie. No i co sie nie dzieje, w samyk Trzok Króli. Zesło sie naroda dość na sume, chocia śnig był taki, że bida było z chałupy wyjść. Poprzebierali sie jak mogli bez zaspy, cy to na nogak, cy kónimi, mróz był wte setny.

Zepchali sie ludzie jak mogli do kościoła, tłok i puk co cud. Jegomość sume odprawioł. Co sie nie dzieje, kie już ksiondz na ambone wylaz, leci ode wsi chłopcysko z krzikiem. Akurat przy dzwierzak stoł pon leśnicy, a chłopcysko do niego. Panie leśnicy, styry dziki na smentorzu ryjom, wielkie co cud, ino im grzbiety ze śnigu widno. Co tu robić, kie leśnicy z gwerem do kościoła przecie nie chodzuje. No, ale on choć ta tyz gruby, wartki był. Obleciół kościół, stanon na murku, poziro ku smentorzowi, wiera dziki som, ino sie w tym śnigu pławiom. Skoczył do zakrystyje, dołapił kościelnego i gwarzi:

— Wojciechu, dejcie jegomości wiedzieć, że dzi-



ki na smentorzu ryjom. Pytajcie, kany ma patruny, bo gwer, to jo wim, ka wisi.

Jużsi, sprawa ważna — dziki na smentorzu. Przepchoł sie Wojciech ku ambonie, lezie na racku po schodak, zeby go zaś ta nie sytka widzieli, i ciągnie jegomości za komezke.

Urwali jegomość, poziro ku Wojtkowi i pyto sie:

— Coz fcecie po mnie?

Wojciech mu tyz po cichutku, co i jak kany — pyta sie — te patruny som?

— W bibliotece za ksionzkami — fuknął jegomość, i zaś sie ku ludziom obrócił, nale się mu cosi zbacyło, a Wojtek juz we drzwiak, no to na cały głos wrzasnon:

— Powidz ta leśnicemu, ze co zabije, do połowy ze mnom, bo patruny moje i gwer.

Mieli ludziska świętokrólskie kazanie, lemze końca docekoli, telo beli ciekawi. Pobili ik ta pon leśnicy dwa, a dwa posły.

Okno szpitala wychodzi na ogród. Bije w nie wiatr marcowy wraz z deszczem, gnie czarne konary. Książd Szczepan oparł czoło o szybę i ślepyimi oczyma chce wyłowić z mroku dnia choć jeden kontur znajomy. Daremno. Obcość miejsca dręczy, gorzej od bólu. Odrywa się od szyby i zmierza w głąb izby. Drżącymi rękoma szuka przed sobą wolnej przestrzeni, z trudem dociera do łóżka, wspiera siwą głowę na dłoni i zapada w zadumę.

— No, tok juz gotów — szepce do siebie mową

rodzinnej ziemi. Tak trwa, obezwładniony nie-  
szczęściem, zgarbiony i bezradny.

Bezszelestnie wchodzi do izby szpitalnej Marta. Przybyła z nim do obcego miasta, jedyny łącznik z minionym życiem, wierna do ostatka.

— Znowu dumacie jegomość? — mówi z wyrzutem i ciężkim westchnieniem.

— Szpaki przyleciały — dodaje ciepłej.

Podniósł głowę. Ośleple oczy są okropnie żałosne w wyrazie. Są jak oczy dziecka, które zbłądziło i już krzyczeć nie może.

— Szpaki? Toli ja ich nie widzę i nie zobaczę.

Ożywia się naraz i szepce tajemniczo:

— Marta, jakby my sie tak zabrali do domu, do Niedźwiedzia, zaraz.

— Nie można, jegomość, trzeba troche przecierpieć. Pojedziemy, jak bedzicie zdrowy.

— No, wtedy ja pojade, a ty pójdiesz za mną piechty. Gdziesi tu niedaleko na cmentarz.

— Co wy, jegomość? co wy? — wykruszyła spłoszona.

Leży pomiędzy nimi milczenie ciężkie jak kamień.

— Wolałbym w Niedźwiedziu... pod drzewami. Tam już trafię, nie zbłądę — dodał gorzko.

— ...straszenie tu obco...

Układa go na łóżku Marta i otula, i płacze. Nie może powstrzymać szlochu.

— Czego ryczysz?

— Jegomość. Jegomość... — obejmuje spuchnięte nogi i skłania na nie siwą głowę.

W nocy budzi się z niespokojnego snu. Straszny



ból — jak piorun drzewo — rozłupuje go, rozsadza i spala. Suche i spękane wargi szepcą. Słysząc szezęk kontaktu.

— Zaświeciłaś? Nic nie widzę, Marta.

— Jestem tu, jegomość.

Dotyka rękoma jej twarzy.

— No tak... już wszedłem w ciemność. Marta. Daj mi tam z walizki zawiniątko, nieduże w szerynce. Leży na dnie.

Słyszy jak stara sługa grzebie nieporadnie w walizie. Czuje wreszcie w rękach płótno. Ksiądz Szczepan uśmiecha się, opuchłe palce rozsypują poóółkłę płótno, walczą z węzłami. Są cierpliwe i nabożne, jakby przerzucały paciorki różańca.

Wyjmuje z szerynki kawał suchego, owsianego placka i całuje gorąco. Łza wielka i błyszcząca wypływa spod powieki.

— Matka... matka mi ten chlebuś na plecach do szkoły niesła, — mówi wolno, jakby czytał ewangelię. Na nogach, pieszki, w deszczu niesła, dla synka. Matka. Mama.

Ze szerniałą zeschlą grudą chłopskiego placka na piersiach umarł ksiądz Szczepan w obcym mieście, w szpitalu, z dala od gór, i tam pochowany został.

## OSTATNIA NUTA



Szary zmrok spływał na górski świat, a wraz z nim ostry chłód posiał rosę po polanach. Wielkie, granatowe łapy smreków chwiały się w cichym odwieczrzeu jak przyjazne cienie, przywołujące noc ku sobie.

Pod niebem, przechodzącym z zieleni w granat, barwiła się ostatnim fioletowym poblaskiem ściana Giewontu. Zakwitały na niebie pierwsze gwiazdy. W ciszy przednocnej szumiał po żabicach młody potok kryjąc się w podbiałach i kaczeńcach.

Z Matejowej chałupy, gdzie Daniele, smużył się prosto w niebo dym, pachnący jałowcem. Rozpływał się w chłodnym powietrzu jak mgła. Przemijała nad ziemią chwila odwieczrza piękna aż do smutku.

Stara Danielka wyszła z izby posługiwać koło bydła. Stanęła na chwilę przy płocie, pod modrzewiami pozierając ku ścieżce. Niska, niemal we dwoje zgięta, jakby pod naciskiem życia, wdychała głęboko zapach nocy. Tkwiła chwilę pod modrzewiami, tak sobie, od starego nawyku. Tak wycekiwała swojego, kiedy się popod regle przebiegał do domu, zamroczony uciechą. Ponad szum potoku doszło do niej dalekie granie. Suchą zmarszczoną twarz Danielki rozjaśnił uśmiech. Przytulona do drzewa, łowiła rutę, podsuwając pod nią okrutne słowa:



*Młodość moja, młodość,  
Wysłaś mi na marność,  
Radość moja ginie  
Jak liść na wierzbinie...*

Bartuś się redyka grajency — pomyślała odrywając się od płota spłoszonym ruchem. Stara pieśń, gorzka niby piołun, niosła się smutna jak młodość miniona.

Weszła do obory nie czekając, aż ją Bartuś minie. Tańcowała po karczmach, po weselach, pod Bartusiową muzykę, i tu zaraz w tej izbie pobok, gdzie się chłopcy o Kackę pobili, aż krew „skła“ po ścianach.

Na zime będzie jom Jasiek burzył — przeszło jej przez myśl — no niekze, mija się pomalućku sytko... Siadła na niskim stołeczku w cieple ciemnej obory, podparła głowę ręką.

...Bartek gro... chłopcy tańczujom, śmiejom się, pijom. Stajon Daniel przed muzykom, w portkak ino i w kosuli przy spince, podpar się prawom renkom pod bok, lewom zatoczył koło przed muzykom i po-dał nute:

*bodaj ten cłek nie zył, bodaj nie wiekoroł,  
co on to kohanie na świecie fundoroł.*

Podjena muzyka. Daniel tońcy ona mu bockuje, Daniel nosi się po izbie jak kohut, blacha od spinki na piersi łyska, rude baussy jak u puhaca ino za nim wiejom. Tońcy... mieli, mocny Boze.

Stała przed nią jak żywa ta twarz wiecznie uśmiechnięta, pogodna. Szept: telo mnie rada widzisz?

Ciepły rumieniec wypłynął na twarz na wspomnienie tej nocy lipcowej.

...duł fte wiat, siano woniało do cudu...

Złapała ją za grdykę żalność starczej samotności. Żywymi oczyma patrzyła, jak go przynieśli z gór do domu, bez życia. Bartuś mu grał na ostatnią drogę, tę nutę najsmutniejszą.

E, dy on naozajst ten nute gro — szeptała nasłuchując. — Musiał się mu mój spomnieć.

Słuchała ze ściśniętym sercem, jak się niosła po rosie, aż straciła się w szumie potoku.

Mo on tyz jescze chody, mo. Dy hań mostek płony, ślizgi, jescze śniego skielźnie. Stary je przecie, starszy od mojego o kiel roków, a mój się już minon. Świecie...

Bartuś sunął wolno w ciemnym tunelu drzew. Nie niosły go już nogi. W chłodnej nocy pot rosił czoło.

Płonyk... telok już rzodki, co cud. Krew mi się popod miechy zasiekła, bez to ni mogem dychnonć. No i roki... dyciek jo już stary jak buk. Bee mi bezma seś a siedemdziesiąt roków.

Sabała byli starsi a kielo jescze wartcy przede śmierciom. No, jo już naproci nim — dziód.

Oparł się o smreka i otarł ręką pot z czoła. Księżyc znalazł drogę pomiędzy drzewami i położył się srebrną smugą na murawie.

Miesioncek świci, pikna noc. Nie roz, nie dwa



śli my w takom noc hore dolinami. Kie ino kopliny stały, śli my na ptoka, kany w Rycarowe abo w Wiktorówki. E, dychnem se kropke.

Osunął się wzdłuż smreka na suche igliwie pomiędzy świerkowe korzenie. Od serca, bijącego głucho i tępo, rozszedł się po żebrach aż poza łopatki ból. Nie wiedział, kiedy zapadł w drzemkę jak w omdlenie. Ocykał się z uczuciem, iż zapada w otchłań bez dna, jakby się z lawiną zesunął w najczarniejszą dolinę. Słyszał wyraźnie szum i łoskot. Otworzył zamglone oczy, noc stała się jeszcze jaśniejsza, srebrne łachmany chmur gnały ponad smrekami od Tatr ku dolinom, drzewa gięły się na wietrze, zrodzonym w samym sercu gór, potężnym, gorącym.

Duje... bee sie śnieg w halak tracić... wyzenom bacowie w hole owce.

Głowa bezsilnie oparła się o pierś, gdzieś z przepastnej głęбини lat przyszła powietrzem niezapomniana woń nagrzanej słońcem trawy na wysokiej hali, smolny zapach kosodrzewiny, koszar.

W wielkiej cichości świata, pod cieniem błękitnych turni mały Bartuś-honielnik siedzi na wancie i gra. Trzyma przy piersi jaworowe złóbczaki, jak miód złote. Ciągnie nutę ostro wybijając bosą stopą takt. Latał za tą nutą zimowym czasem do Sikoniowskiego Sabala, mało że się w śniegach nie utopił. W odwieczny dopiero zaszedł. W izbie był mrok, na nalepie płonęły smrekowe sajty.

Rzędem pod ścianą siedziały chłopcy, Szymek Tatar, Maciek Sieczka, Wawrzek Nędza, Marduła, Sa-

bała z braćmi. Na stole w szkle palenka i bryndza w misce. Siwo było od dymu machorki.

Pochwalił Pana Boga i bośkał dłonie rzędem siedzącym. Nie poznał go Sabala w pomroce izby.

— Cożes za jeden, chłopce. Z cymżes prziseł?

— Jo je Bartek Obrochtów. Kozoliście mi krzesny jesce latoś, cobyk ku wom prziseł. Mieliście mie nauczyć nuty...

Gruchnęły chłopcy śmiechem.

— Ej, Jasiu, skołe haw bees trzimać.

— Organisty przy tobie schudnie — zaśmiewał się Marduła.

— Pomału, chłopcy, pockojcież. Telo wom rzeke, ze tego śpika nima co wiele ucyć. Ucho mo, sytkie nuty pamięta. Nukało mnie toto chłopcysko, cobyk mu kie swoje nuty podół, o starodawne mu idzie. U Kowala w Kotelnice wse wysiaduje. No, Bartuś. Zagroże krzesnym ozwodnom, te wis... — tu mu ją cichutko poddał.

— Bolek sie — duma Bartuś — boleć sie telik chłopów i takik siumnyk. Ocy do mnie wbili i słuchajom. Cos miołek konać? Nie cekałek, ba grołek. Ozwodne, wirchowe, a kiek na drobne prziseł, skocyli Marduła na izbę tończyć. Sabala wzieni swoje gęśle, nie groli, ba mi ino przybrzękiwali, ka beło trza.

Juz sie mi pote chłopcy nie śmiali. Sabale było fte wysy pindziesiont roków.

Poprawił się Bartuś pod smrekiem, omdlałym ruchem podniósł skrzypce. Spróbował tej nuty raz i drugi. Przeszedł z niej na Matejową.



Uderzył go w oczy blask, z brzękiem, z trzaskiem, jakby z podniebnej krainy orzeł spłynął, z szumem stanął przed nim chłop. Świeciły do słońca blachy na opasku, spinka na piersi, pistolce mosiądzem wykładane i bulki na nożu. Czapa na głowie wysoka z łańcuszkami, wiatr czarne włosy targa jak listowie na buku. Strzelba przez plecy, ciupaga w garści. Stanął nad Bartusiem i popatrzył mu bystro w oczy.

— Zagraj ze mi chłopce ten samom nute. I jesce... Skondze jom mos?

— Od krzesnego Sabały, Matejowa.

— Moja.

Na chwilę, na chwileczkę zastygło w Bartku serce. Nie urwał nuty, grał dalej. Mateja, wsparty plecami o wantę, trwał w bezruchu jak orzeł na grani. Wbił oczy „we świat“. Bartek przeszedł na Słodyczkową. Dźwignął się Mateja, wbił rębanicę w ziemię i jał się koło niej nosić w milczącym tańcu, uroczyście, ale z coraz większą pasją. Nuta jęła przechodzić w spazm. Już nie Mateja tańczył, na polanie wirował blask i dźwięk.

Później nosili się społem po wirchach z jego pierwszą Bartkową kapelą. Znosili mu chłopcy „dudki“ i jeszcze nad nie cenniejsze — nuty, z dalekich górskich stron, z ciepłego południa, gdzie dziewczki mają ciemne oczy i gładką skórę. Schodzili w doliny skisłe nędznym bytowaniem, witani lękiem, a żegnani sercem i niejedną dziewczynską łezką.

Kasi on ta w lochu skonol i zgnil w rzetezach, Mateja. Dźwignęła się na chwilę Bartusiowa gło-

wa. W księżycowym blasku, w cieniach targanych ciepłym podmuchem wiatru, widzi go przed sobą, jak go widział wtedy na hali. Stoi. Przytulił Bartuś skrzypce do brody i cichutko zabrzączał Matejową. Spłynął od widma uśmiech szczęścia i blask jak wtedy — na hali.

Dreszcz wstrząsnął Bartkiem. Okrucem świadomości wspomniał, że Mateja nie żyje. Mateja... szła od niego woń ślebody, beztroska, dzwoniły w tórbee talary, talary złote i śrybelne, z orawskich, z lup-towskich skrzyń.

Nie wiadomo skąd przysiadł się do Bartusia Tyrała. Śmieje się wesoło pod żółtymi wąsami, wykrzykuje:

— Ej, Bartuś, stobie obieś, ej obieś.—Czuć zapach dymu. Siedzą obaj pod cienistym jaworem, czarny dym bije wysoko pod niebo, skłębiony, gorący. Pływają nad nim białe gołębie spłoszone, nieuchwytne jak blask. Chałupa stoi w ogniu od podwaliny po grzebień. Bartkowa baba krzyczy, dzieciśka wystraszone płaczą się jej koło spodnicy, spółnicy biegają, drą się o wodę, targają węgly.

Bartek siedzi z Tyrałą na pniaku i patrzy w mąt i skręt, jakby to nie jego chałupa płonęła. Wyjął skrzypce, dostroił i gra. Jakby pod tę nutę świat stanął w biegu. Ustał skręt i płacz, ludzie bezradnie patrzą na Bartka. Gra.

— Coz wy, swoku, cy sie vos mąt chycił?

— E dy jo se grom, coby sie temu hań w górze nie widziało, ze stojem o ten chałupe. Wystrojem



se innom, dy mnie na to stać. Wygrom se jom, wyśpiwom, wytońcem...

— Ej, obieś stobie, obieś — skrzeczy Tyrała.

Nie wie Bartek, czy jest jeszcze na tym świecie. Widma go witają, ciało jest lekkie jak myśl, jak nuta. Nie wiadomo jak znalazł się nad Cichą. Kroczy przed nim ciemna pochylona sylweta Sabały. Cuchą targa przedświtowy wiatr. Wietek księżycy gaśnie nad Osobitą. Namienia na świtanie. Trawy i jafery oprzędzone białym szronem, nisko u stóp, w delikatnej mgielce tonie bezmiar lasów. Z cichości doliny podnosi się ku nim rozgwar potoka. Trawiaste upłazy spadają w ciemne fale kosówek jak w morze, sucho pod kierpcami szuści szron.

— Dobry je wiater... dobry — mruczy Sabała. Idzie od dołu. Śniesiemy się ponad wolarski sałas. On tam rad gazduje pomiędzy kosówki.

Przenieśli się cicho po boku upłazami. Niebo wyraźnie bladło nad graniami, na wschodzie wykwitał złoto-pomarańczowy rąbek. Ziąb ranny wnikał pod koszulę. Z dala od Ciemnych Smreczyn płynął jeleni pozew, odbity od ścian gór.

— Słysz, Bartuś? Pikny to źwirz, ej pikny, ale niedźwiedź pikniejszy. Za tym, co hań dziśka na niego cekomy, chodzem kielo roków? Juz som nie bacem. Mo taki bioły kwiotek pod garle i na łopatkak. Stary jest je, ej stary. Widzieli my sie nie roz, nie dwa.

Chłopska śnim robota, bo i rozum w nim chłopski. Tak sie mi cosik widzi, ze sie dziśka nagodzi, no i śnisko miołek fajne. Bratowie w Ciemnyk

Smrecynak trzeci dzień siedzom, to on sie kasi haw zwlece, bo nie rod widzi, kie mu cosi pod nos śmierdzi. Lubi gazdować som. Wygazdował on latoś bacy w Wierchcichej owce. Chodziła wereda po nocy jak po swoje. Holofili, strzilali z pistalców, sajтами z watry za nim prali, a ten nie, ino owce na kupe bił. Narobił hań jatki do cudu. Odkazował po mnie baca, Sabała — pada — przyjdźcie ku nom, zratujcie nos, bo mi sie przindzie z owcami dołu redykać. Ślakował go, jak ku Hlińskij bez młaki seł. Ej, stryla ci do boku, jo ta nie ułomek, ale kiek kierpce na jego ślaku stanon, to sie zwysyło kielo od palców. No, myślem se, nie bedem ci załować prachu, a i kule dwie naryktowane som. Nie bedem załować, ni, ej ni.

Przysiedli za wantą nad kosówkami, oparli flinty o wantę, czekają. Odezwał się siwarnik. Z dna doliny potok wołał ludzkim głosem, zakrzwawiły się upłazy od słonecznego blasku. Siwe piargi zakwitły miedzianą śniedzią, ani jeden obłok nie plamił kopuły nieba. Głęboko błękitne, oparło się o góry ciche jak wieczność. Jedynie orzeł tkwił w nim czarnym krzyżem. Spostrzegł go kerdel kóz i zaalarmował sam siebie nerwowym psykaniem. Lekki oddech wiatru uderzył im w twarz. Sabała głęboko wciągnął powietrze nozdrzami, czujniej omiatał oczyma kosówki. Spadały im spod nóg okrągłymi płatami, pomiędzy którymi płynęły potoki zieleni, lśniły operlony rosą trawy, błękitne jesienne goryczki i puszyste poduchy jafaru.

Najlichsze źdźbło obrzeżone było złotą nicią słoń-



ca i tęczową rosą. Spośród kosówek wyprysnął nagle rogacz. Parł przed siebie jak ślepy prosto na strzelców, przystając od czasu do czasu i patrząc w dół. Parostki wypolerowane na końcach do białości, lśniły w słońcu.

Sabała przywarł do wanty. Wysunęli strzelby poza jej krawędź, czujni jak żbiki. Bartuś poczuł serce w krtani. Instynkt najgłębszy szepnął mu, że tam niżej idzie On. Zachwiała się gałąź kosówki, siwarnik pomylnym lotem przemknął tuż nad nimi. Nie wiadomo kiedy w oknie wśród kosówki stanął wprost pod słońce ogromny niedźwiedź. I jego oblokła, oprzędła słoneczna śreżoga. Kufa wciągała z chrapliwym poświstem powietrze, krągłe uszy strzygły, oczka przenikliwie świdrowały otoczenie. Nie ostrzegło go nic, wiatr szedł od dołu, a jednak widno było, jak potężny zwierz niespokojnie bada otoczenie. Już zniżył głowę i potężną łapą skosił naręcz borówek i raz jeszcze wyprężył się patrząc ku wancie, gdzie strzelcy zapadli.

Strzał jeden i natychmiast drugi rozdarły powietrze. Niedźwiedź jak człowiek złapał się łapą za bark i zbeczał straszliwie. Ryk gromki, śmiertelny poniósł się po upłazach, wzmożony stokrotnie echem, niosąc skargę króla tatrzańskiej krainy we wszystkie strony świata. Zniknął w kosówce. Chwiała się za nim długo jak fala na wodzie, słychać było trzask, huk kamieni, jeszcze ryk, i ucichło wszystko.

Bartuś zerwał się zza wanty. Przygwoździła go żelazna garść Sabały.

— Waruj się z pustom flintom ku niemu iść. On je mocny. Nabij godnie. Onemu ni mas co żalować, prachem ni mas co kłamać, bo samom naremmościom dźwirza nie zabijesz. Kie go dołu prasło, to on juz nas, trza mu ino zostawić cas na umarcie. Kie On umirowo, ni mos mu co w kufe poziroć, bo to nie fajnie. Trza i jemu spokoju do umirania, dy to nie rogoc, nie cap, ba niedźwiedź.

— Weźmiemy się, Bartuś, dołu, ale nie tak sprosta jakoś fciał. Ominiemy se piknie kosówecki po ubocy, bedziemy pozirać pilno, ka jest je.

Poszli zgięci w pół, ze strzelbami w garści, gotowi do strzału. Szli cicho po upłazie w wysokich trawach, popod kosówki, które urywały się nad lasem. Widno było po rosistej trawie szlak, jaki niedźwiedź wyrzeźbił swym ciałem, szlak ten zniknął w płytkim żlebie. Podeszli nad żlebek. Trawy bujne, łopuchy zafarbione były juchą, miejscami czarną, miejscami spienioną, różową. Widno było, że zwierz, ciężko ranny, targał pazurami ziem. W miejscach tych były kałuże krwi.

Żlebek spadał prosto przez wąską szyję lasu ku potokowi na niewielką polankę. Zaszli ku niej kołując od drugiej strony, zza potoku. Leżał tuż nad wodą na polance. Skrzyżował łapy jak do spoczynku i oparł na nich ciężki kudłaty łeb. Od czasu do czasu drgał jeszcze szybkim dreszczem, pomieszany jękiem. Strużka krwi smużyła mu się zza ucha na łapy.

Patrzyli obaj niemo na owo konanie. Raz jeszcze dźwignął niedźwiedź głowę. Promień słońca, prze-



siany przez gałęzie, spoczął na jego szerokim czole. Oczy zamglone podniosły się ku niebu, by zamknąć w sobie na zawsze widok krainy wolnej, wierchowej, puszczonej i odejść w inne ostępy. Głowa opadła wreszcie bezsilnie i jęk ustał.

Wtedy Sabała podniósł kamień i cisnął nim w niedźwiedzia. Zwierz nie drgnął.

— Umarty — szepnął.

Wyjęli obaj złóbezaki z rękawów cuch i zagrali nutę, godną niedźwiedziej śmierci.

— Kie Jonicka wiedli do Lewoce...

Wstrząsający marsz z dna smutku, nad umarłą wielkością poczęty, zmącił im oczy nieuchwytną mgiełką.

— No. Umirało się mu letko — rzekł Sabała oglądając trupa. — Moja kulka przisła mu haw za ucho, twoja bez bontrowe na płuca.

Obielili niedźwiedzia. Dym zmieszany z zapachem pieczonego mięsa i topionego sadła rozplął się w powietrzu. Wysoko nad nimi rozdarło ciszę jesienną chłopskie holofienie.

— No ci już hań musieli nas wysłakować, abo uwidzieli dym w górze iść — rzekł Sabała.

Hucznie, z brzękiem, znieśli się ku nim Marduła, Sieczka i Jędreka, brat Sabały. Kiedy już byli blisko, Sabała przyłożył instrument do serca i ogłosił się im pieśnią:

*Idzie se Jonicek popod zieleniny,  
ej idzie se i piska, pojod niedźwiedziny.*

Tryumfalnie wróciła pieśń, odbita od gór. Stoją tuż chłopcy mocarne, wsparte na ciupagach, w czarnych koszulach, pod obwisłymi konarami smreków. Wiatr włosami targa, księżycowa poświata wybiera im śmiertelnie lica. Stanęli nad Bartusiem półkolem, ogromni.

— Groj.

Podjął nutę:

*Bratorowie, bratorowie, kohani bratorowie,  
Budom nam rubali hlarowiczki katorowie.*

Podjęli pieśń:

*Zábili Jonicka miedzy turnickami,  
Leje się krew sniego trzoma potockami.  
Zábili Jonicka na zielonyk łukach,  
Cemus się nie bronił, miał ciupazkę w rukak.*

*Zábili Jonicka w zielonej ubocy,  
Ino się od niego kapelusik tocy.  
Zabili Jonicka pod zielonom turniom,  
A dzienocenta płacom, jaze Tatry dudniom.*

Halny wtórował ponurej pieśni kładąc smreki do samej ziemi. Podjęli:

*Jonicku, nieboze, zenom cie w pororozie,  
Żleżes se poradziel, miely mocny boze  
Nie bedzie, nie bedzie twa miła wiedziała,  
ka się bedzie z tobie krewoka ozlirwała.*



Komuż to gra tę pieśń? Omotał go najwnikliwszy szept serca: *Miłości moja.*

Łuska po stawie chodzi srebrzysta, słoneczna. Południe spoczywa na Tatrach ciężkim żarem. Krowy zaległy w cieniach żując strawę. Na dnie doliny drży powietrze. Siedzą, przytuleni do siebie, nad wodą niezgłębioną, zieloną. Są w krainie zakłętej, pod niebem utopionym w jeziorze.

miłości moja.

Czarne warkocze łaskoczą twarz, ciepłe mocne ręce opłótły mu kark, czarne przepastne oczy patrzą w niego, tuż. Anielcia. Biodra jak fala jeziora, kołyśliwe, rozlewne, wonny chłód stromych piersi, operlonych rosą miłosnego znużenia. W nieogarniętej pustce górskiego świata piją z siebie szczęście, jak tęcza wodę.

Groj.

Widzi ją tuż przy sobie. Wyszła, wykwitła z dalekich lat.

*To moje serduszko za tobom banuje,  
Jako ten miesiąc po niebie faluje.*

Cichy odśpiew serca:

*Śpirom jo se, śpirom, łzami sie oblirom,  
Nie wie moja mama, co jo tu uzyrom.*

Leży na zielonej trawie, głowę podparła dłonią i patrzy w niego czarnymi oczyma.

Cekałek na tobie kiel roków, bacys? Teroześ mój.

Podniósł oczy z nad skrzypiec. Już jej nie ma, chłopcy tylko stoją wedle smreka, rzędem, czekają. Trącił smykem dziką nutę:

*ej madziar pije, ej madziar traci...*

Ruszył się krzesny Sabała, za nim Marduła, Sieczka, Mateja i inni, milczący.

*Tańczyli zbójnicy w murowanej piwnicy,  
Kozali se piknie grać i na nózki pozirać,*

niosą się pomiędzy światłość księżycową i cienie. Raz zabłysną, to znowu pochłania ich noc. Płyną w tańcu milczący i niemi.

*Hej idem w las, piórko mi sie migoce...*

przysiadają w tańcu, unізają się w przysiadach, biali, poważni. Porwała ich wichura, schował las.

Chciał się Bartuś dźwignąć i iść za nimi. Nie władał już swym ciałem. Jak onemu niedźwiedziowi upadła głowa na skrzypce, ostatni cichy dźwięk jak wołanie stygnącego serca:

*Byli chłopcy, byli, ale sie mineni,  
I my sie miniemy, po malućkiej chwili.*

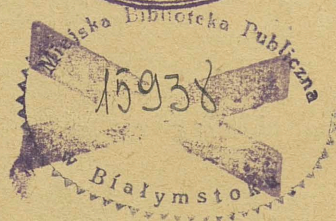
Zagrał się w samą śmierć ostatni skrzypek, Bartuś Obrochta, o siwych jak niebo oczach, zagrał się na



śmierć w noc majową pod regłami, kiedy halny  
wiatr splukiwał śniegi z hal.

*Zahucaly góry, zasumiały lasy,  
Ka sie popodziały starodawne casy...*

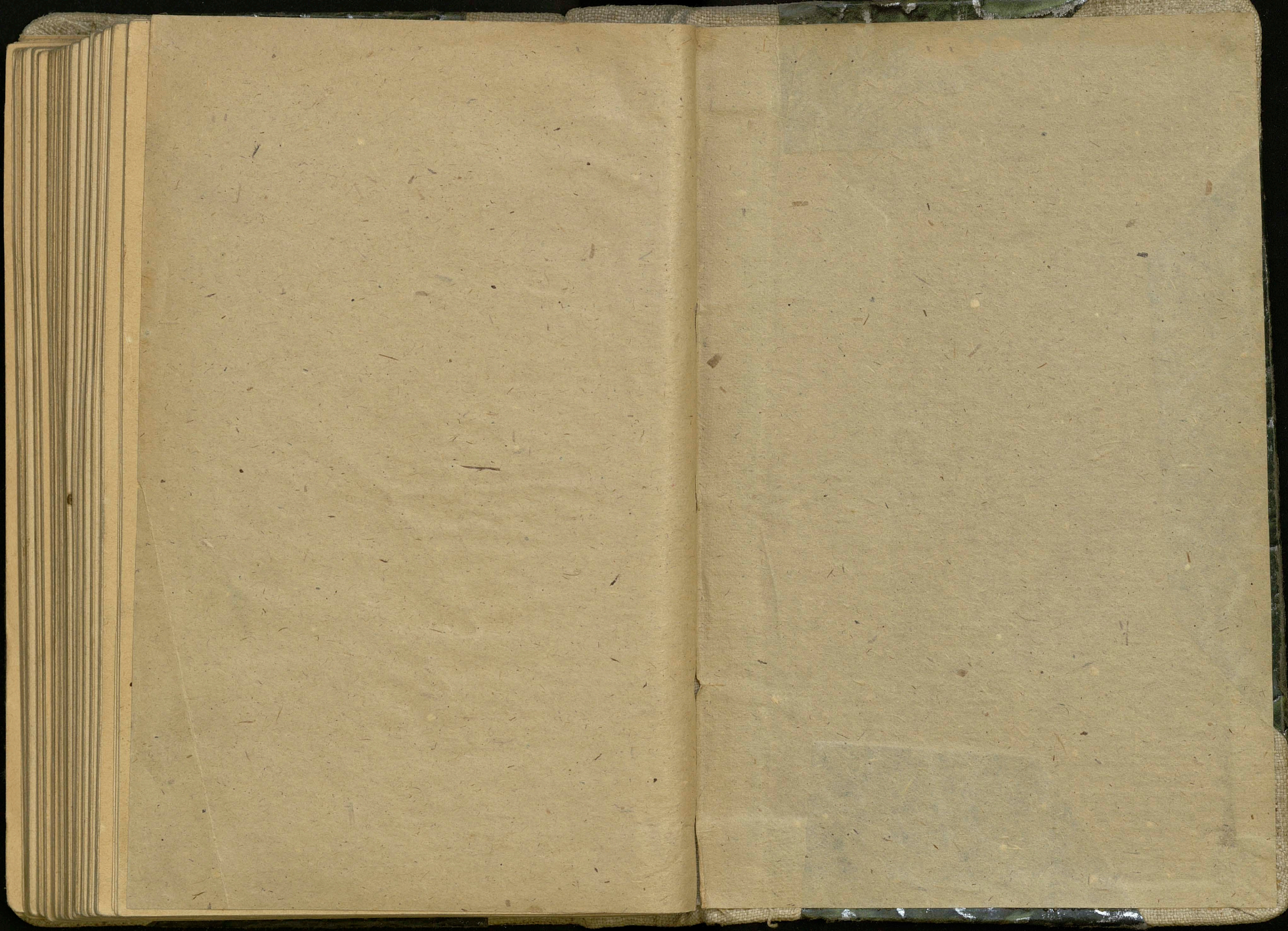
Zakopane 1938 r.



## SPIS RZECZY

Zły rok . . . . .	7
Bratowie . . . . .	55
Józek Dezenter . . . . .	83
Śrybelnia na Pysznej . . . . .	109
Wojtek Mateja . . . . .	161
Ksiądz Szczepan . . . . .	225
Ostatnia nuta . . . . .	247







5938

